

Aleksandra
Zgorzelska

Stanisław August nie tylko mecenas



DZIEJE NARODU I PAŃSTWA POLSKIEGO

Będzie królem!

Starożytni wierzyli, że gdy narodzi się człowiek, u jego kołyski gromadzą się muzy — protektorki wszelkich talentów i umiejętności. Boginie, w łaskawości swojej (lub nielaskawości — zawsze według ich uznania), obdarowują nowo narodzonego przymiotami, których szafunek w osobistych kompetencjach każdej z dziewięciu córek Zeusa pozostaje. Tego mroźnego przedpołudnia 17 stycznia 1732 roku, nad ośnieżoną równiną poleską, gdzieś między potężnym Bugiem a łagodną Pulwą, ruch w przestworzach panować musiał nadzwyczajny. W Wołczynie, dziedzicznej majątności Czartoryskich, przekazanej Konstancji, córce pana kasztelana wileńskiego Michała, i jej małżonkowi, możnemu panu wojewodzie mazowieckiemu Stanisławowi Poniatowskiemu — rodził się czwarty już wojewodzie. Muzy stawily się w kompiecie i, zda się, nie próżnowały ni chwili. Niewykluczone, że to ich pracowite konsylium dostrzegł pewien wędrowiec, tajemną mocą jasnowidza i wróżbity obdarzony, a nie wiadomo skąd akurat właśnie do Wołczyna przybyły. Zapytany przez ojca o przyszły los nowo narodzonego, obwieścił:

— Będzie królem!

Na chrzcie świętym, którego ceremonii dopełniał przyjaciel rodziny, biskup płocki Stanisław Andrzej Załuski, a dziecię podawali wujostwo, czyli senator Rzeczypospolitej, książę wojewoda ruski Aleksander August Czartoryski ze swą niedawno poślubioną małżonką Zofią — dano mu imiona Stanisław Antoni.

Los tak urodzonego i tak skoligaconego młodego człowieka w każdym kraju i w każdej epoce może być tylko świetny. Na wszelki jednak wypadek w rodzinnym kręgu Stanisława Antoniego Poniatowskiego nie zaniebano ni jednego posunięcia, by to, co prawdopodobne — uczynić pewnym.

Staranne oświeceniowe wychowanie

Konstancja Poniatowska, dumna, światła i ambitna pani, świadoma wagi i wpływu oddziaływań edukacyjnych na młode umysły, zbyt nisko ceniła pedagogiczne dzieło ówczesnych przyklasztornych konwiktów, by te zakłady naukowe uznać za odpowiednie dla jej potomstwa — jagiellońskiej wszakże krwi. Wojewodzice kształcili się więc w domu, pod czujnym okiem doskonałych nauczycieli, a przede wszystkim — jej samej. Wychowa-

niem najukochańszego — Stanisława — matka zajęła się, gdy miał trzy lata. Czyniła to z niesłabnącą troską, wedle specjalnie ukierunkowanego — może zrodzonego z wiary w przepowiednię tajemniczego wróżbity? — programu. Wdzięczny syn tak te starania wspominał po latach: „Ta prawdziwie niepospolita niewiasta nie tylko wyuczyła mnie sama połowy wszystkiego, co zwykle pozostawia się obcym nauczycielom, ale nadto starała się zahartować i podnieść duszę moją, co też w istocie, zgodnie z jej zamiarami, wyróżniło mnie od innych dzieci, ale zarazem stało się powodem niektórych wad moich. Uważałem się za wyższego od współtowarzyszy, bom nie pozwalał sobie na to, co im poczytywano za winy, a umiałem niejedną rzecz, jakiej ich jeszcze nie nauczono”.

No właśnie. Mierzono wysoko. Przesądzało to, oczywiście, dobór treści i metod. Dość powiedzieć, że pierwszym „najętym” do domu młodego Stanisława nauczycielem był Jego Ekscelencja baron Hermann Karol Kayserling, ambasador rosyjski w Warszawie, wielki miłośnik matematyki i logiki. Prawdę mówiąc, baron sam zabiegał o możliwość kształcenia tak uderzająco inteligentnego chłopca, a że lekceważyć ambasadorskiej łaskawości było niepodobna, zafundowano — dwunastolat-kowi wówczas! — lekcje logiki w najstosowniejszym zapewne wydaniu.

Logika zresztą była zaledwie jednym z elementów wszechstronnego wykształcenia młodzieńca, sposobionego przezornie do najwyższych w państwie stanowisk. Po kompetentnym wstępnym ociosaniu charakteru i intelektu syna — w duchu patriotyzmu, surowych zasad moralnych, prawdomówności, w szacunku dla starszych i umiłowaniu piękna — Konstancja Poniatowska powierzyła go ufnie uczonym zakonnikom, braciom teatynom. Ci zaś dalej rozwijali umysł i liczne talenty wojewodzica, utrwalając w nim rozbudzone przez matkę cnoty, a zwłaszcza gust do wszelkich sztuk i potrzebę doskonałego piękna. Czynili to perfekcyjnie. Po to wszakże — dla nauczania szlacheckiej młodzi — przybyli do Polski z dalekiej Italii, z kraju pełnego najpiękniejszych pamiątek historycznego i artystycznego dziedzictwa, starej, wysublimowanej kultury i cywilizacji. Autentyczną miłością do niego zarazili Stanisława Antoniego nieuleczalnie: „rzymską” czy „włoską miarę” w sposobie widzenia i ocenie dzieł artystycznych wdzięczny uczeń stosować będzie przez całe życie.

Teatyni wyuczą go też języka włoskiego, którym posługiwać się będzie pięknie i z lubością, choć — o pa-

radoksie! — na przekór marzeniom, nigdy do ukochanych Włoch nie dotrze.

Języki obce stanowiły w ogóle przemożną część tej nowocześnie zaprogramowanej edukacji. Stanisław, i w tym kierunku wyjątkowo uzdolniony, poza włoskim — swobodnie władał francuskim i niemieckim. Nieco później zaś angielskim i rosyjskim. Doskonale też poznał łacinę, w tym bowiem języku studiował rzymskie prawo i mowy złotoustego Cyserona, które stały się podwaliną jego sławnego w dorosłym życiu publicznym krasomównictwa. Po łacinie poznawał także dzieje starożytne, studiując w zaciszu domowej biblioteki starannie przemyślane lektury, mające pogłębiać wiedzę i w sposób pożądaný kształtować jego charakter. Od Liwiusza przejął podziw dla hartu ducha i niezłomności cnót bohaterów dawnego Rzymu. Umoralniający patos Tacyty zdał mu się z kolei tak skutecznym środkiem wychowawczym, że — gdy to już będzie od niego zależało — dołoży starań, by dzieła tego mędrca przybliżyć rodakom, w zamówionym u Adama Naruszewicza przekładzie na język polski.

Te i podobne im pouczające lektury rychło odniosą skutek. Pomogą ambitnemu wojewodzie w zbudowaniu młodzieńczo pryncypialnego systemu niekwestionowanych wartości. Wiele lat później, wspominając siebie — nastoletniego, napisze: „wierzyłem, że kto nie jest przynajmniej Arystydesem albo Katonem, ten jest niczym”.

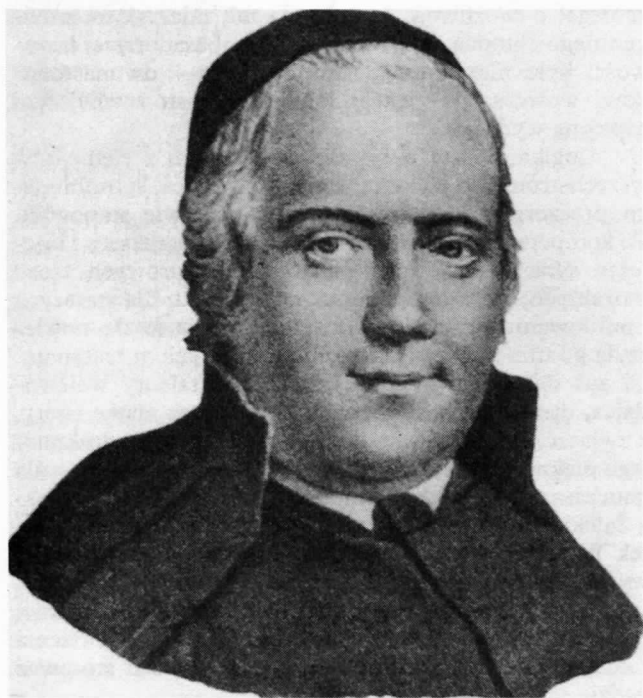
By stał się kimś, nie pozwolono mu poprzestać tylko na mądrościach i naukach starożytności. Zgodnie z duchem nowej epoki, której zwiastuny docierały już w tym czasie dość swobodnie do wielkopańskich polskich domów, zapewniono mu wykształcenie formujące nowo-

czesnie oświeconego człowieka. Służyła temu, oczywiście, znajomość języków, ale równie ważne były studia nad literaturą i historią ojczystego kraju, wiedza o genealogii rodów, zainteresowanie przyrodą i geografją, poznanie zagadnień prawa, polityki, a także najnowszych osiągnięć fizyki i matematyki. Wskazówki pedagogiczne księdza Stanisława Konarskiego, który właśnie zasłynął swą reformą systemu edukacji najlepiej urodzonych młodych Polaków, kształconych w specjalnie z tą myślą stworzonym, wzorcowym zakładzie naukowym — sławnym Collegium Nobilium — stały się dla pani Konstancji bezcenną w tym dziele pomocą.

Służyły jeszcze temu celowi nieodzowne dysputy o tym, jak żyć mądrze i dobrze, zachowując właściwe poglądy na świat, Boga, człowieka i jego postępowanie, na występki i cnotę. Wpajane przez matkę już w okresie dzieciństwa nauki w tym przedmiocie, znalazły pogłębioną kontynuację w poważnych studiach filozoficznych, szczególnie owocnie uprawianych pod kierunkiem osobistego spowiednika młodego Poniatowskiego, wizytatora generalnego misjonarzy w Polsce — księdza Piotra Śliwickiego. Ten duchowy opiekun okazał się bardzo mądrym nauczycielem. Gruntownie zapozna swego ucznia z najnowszą filozofią francuskiego Oświecenia, wskazał mu dzieła zwolennika idei tolerancji religijnej i racjonalizmu — Montaigne'a, zachęcił nawet do lektur wielkiego sceptyka — Woltera. Z przyjacielską przy tym i duszpasterską mądrością uwalniać będzie swego podopiecznego od budzonych tymi lekturami niepokojów i z wątpliwości młodzieńczego ducha. I do końca swego życia pozostanie jego spowiednikiem.

Podróże do Europy

Szesnastolatкови, starannie, ale wszakże pod kobiecą kuratelą edukowanemu, zasadniczy szlif wychowawczy postanowił nadać ojciec. Zajęty zwykle sprawami państwowymi wojewoda rzadko bywał w domu, jednakże jako dzielny i głośny niegdyś — podczas wojny północnej — żołnierz, wsławiony swą generalską i dyplomatyczną służbą w szeregach szwedzkiej armii Karola XII, w edukacji młodzieży cenił wysoko doświadczenie bojowe i starał się wyposażać w nie swych synów. Uznał więc, że czynnie przeżyta kampania wojenna i dla Stanisława juniora znaczyć będzie więcej niż wszystkie w świecie akademie. Właśnie pojawiła się okazja: przez Litwę i Koronę przechodziły wojska rosyjskie pod wodzą księcia Repnina (ojca przyszłego ambasadora Rosji w Polsce), spiesząc na pomoc cesarzowej Austrii, Marii Teresie, w jej wojnie sukcesyjnej przeciwko Francji i Hiszpanii. Rozpoczęto zatem przygotowania do wyprawienia wojewodzica na wojnę, nim wszakże do tego doszło — pokój w Akwizgranie (30 kwietnia 1748) pogodził zwaśnione strony. „Nie zobaczysz tym razem wojny, ale dla przypatrzenia się przynajmniej zgromadzoną armiom ruszaj natychmiast” — senator wyraźnie chciał wykorzystać okazję. I przydawszy — dziecku jeszcze — opiekuna (rezydenta domu, majora Königfelsa), sporządził listy polecające do najsłynniejszych wówczas w Europie mar-



Stanisław Konarski (1700–1773)

szałków: Maurycego Saskiego i Ulryka Loevendala, a także do kilku przyjaciół w rozmaitych krajach, które ambitny, wstępujący w życie człowiek winien odwiedzić.

Nadarzała się znakomita sposobność, by poznać świat. Poczuć jego nęcący smak.

Oddajmy, co należne ojcowskiej trosce i przezorności. Wojewoda przeczuwał — ba! wiedział zapewne, że właśnie jego synowi podróże zagraniczne dostarczą kapitału doświadczeń, z którego niewyczerpanie korzystać będzie przez całe życie.

Przed wyjazdem, jak uprzednio od starszych braci, tak teraz i od niego, rodzice zażądali słowa honoru, że nie będzie grał w „gry hazardowne”, nie skosztuje wina ani mocnego trunku i nie ożeni się przed trzydziestym rokiem życia. Jako zabezpieczenie przed pokusami świeżo pozyskanej samodzielności i nie doświadczonej jeszcze dorosłości, okazało się to bardzo skuteczne. Stanisław Antoni dochował tych przyrzeczeń i po trzydziestce, przy czym wierność drugiemu żądaniu uczyniła z niego — dość wyjątkowy w niepomiarowanie za Sasów pijący Polse — wzór abstynenta. W Polsce stanisławowskiej — wzór królewskim przykładem upowszechniony i, owszem, tu i ówdzie nawet naśladowany.

Ale wracajmy do podróży.

Ojcowski nakaz zaprezentowania się sławnym marszałkom wiódł młodzieńca przez Maastricht w Niderlandach (kwatery Loevendala) do Brukseli, gdzie zameldował się żywej legendzie bojowej — zwycięskiemu Maurycemu Saskiemu. Na głodnym wrażeń wielkiego świata szesnastolatku marszałek uczynił wprawdzie wrażenie „najpierwszego na świecie męża”, ale ponieważ od dwóch miesięcy trwał już pokój, podróż nieubłaganie traciła wojskowy charakter. „Ciekawość mą i upodobania pociągało wszystko, co ten kraj piękny ma do widzenia pod względem kultury, sztuk pięknych, a szczególnie malarstwa: czulem się porwanym na widok Rubensów i van Dycków, a mój mentor tak był rad, że gonilem jeszcze tylko za obrazami, iż pomimo całej oszczędności swojej pozwolił mi w Brukseli zrobić pierwsze tego rodzaju kupno: nabywszy mały obrazek myślałem, że posiadam skarb prawdziwy”.

Prawdziwa na pewno była potrzeba otaczania się rzeczami pięknymi. Natura dała o sobie znać przy pierwszej okazji. Narodził się kolekcjoner.

Blisko półroczny pobyt za granicą niemałych dostarczył wrażeń. Bruksela oczarowała podróżnika architekturą, Antwerpia — galerią obrazów sztuki flamandzkiej. Od *Zdjęcia z krzyża* Rubensa w tamtejszej katedrze długo nie mógł się oderwać, zachwyciła go uroda i kunsztowność sławnych gobelinów, wszystko poruszało jego artystyczną duszę, tak pieczołowicie przez matkę i teatynów uwalnianą na piękno. Nie mniejszych, choć odmiennych wrażeń, dostarczył młodzieńcowi pobyt w holenderskiej Lejdzie, gdzie z zainteresowaniem zwiędził blisko dwustuletni wówczas uniwersytet, przeżywający pełnię swego rozkwitu. Po pouczającej wizycie w tamtejszym ogrodzie botanicznym, który — ciesząc oczy estetów — był jednocześnie pożyteczną placówką naukową, młody podróżnik poznał również nowoczesne

uniwersyteckie pracownie: fizyczną i astronomiczną. I dokonał tam kolejnego, właściwego mu i znaczącego posunięcia: zakupił teleskop. Na koniec był jeszcze Amsterdam — miasto portowe, którego rozmach gospodarczy, szerokie otwarcie na świat, wielkowiejskość, nowoczesny handel imponujący skalą dokonywanych tu operacji, doskonale zorganizowane kupiectwo, i wreszcie przemysł, z licznymi fabrykami, produkującymi cenione wyroby, dostarczyły przybyszowi ze wschodu Europy bogatego materiału do refleksji i pomogły zrozumieć, dlaczego jego bywały w świecie ojciec właśnie ustrój państwa holenderskiego uznał za wzorowy.

Trzeba jednak było wracać do Warszawy. W Rzeczypospolitej, groźnie murszejącej w starych strukturach ustrojowych i pod rządami kolejnych Sasów, dążyła się tymczasem rzecz ciekawa i ważna. Zaostrzała się walka polityczna o reformy, które zdołałyby powstrzymać rozkład państwa, widoczny dla przenikliwych oczu najświatlejszych obywateli. Najbardziej dynamicznemu z ówczesnych ugrupowań politycznych, o najszerzej zakrojonym programie naprawy — głośniejszej „Familii” — przewodzili Czartoryscy: Michał i August, wujowie Stanisława Antoniego, wspierani przez popularnego w kraju polityka, a swego szwagra — Stanisława Poniatowskiego seniora. Gra szła o wysoką stawkę: o wzmocnienie państwa, naprawę jego finansów i aukcję — czyli powiększenie stanu — wojska, o zniesienie *liberum veto*, reorganizację trybunałów, polepszenie doli miast; o cały odważny



August Czartoryski (1697–1782), wuj Stanisława Augusta Poniatowskiego, ojciec Adama Kazimierza Czartoryskiego



Michał Fryderyk Czartoryski (1696–1775), wuj Stanisława Augusta Poniatowskiego

program reform politycznych, sformułowany między innymi w głośnym piśmie Poniatowskiego-ojca: *List ziemianina do pewnego przyjaciela z innego województwa*. Chodziło więc o wsparcie szeregów rzeczników tego programu, o jednanie dlań zwolenników i zwalczanie przeciwników. Moment na edukację polityczną mógł być świetny. Niestety, wuj — podkanclerzy litewski, książę Michał Czartoryski, któremu na rok prawie oddano pod opiekę młodego Stanisława — w ogniu politycznych zabiegów nie mógł siostrzeńcowi poświęcić zbyt wiele czasu. Z jedynej praktycznie „okoliczności politycznej”, w jaką został przez opiekuna wciągnięty — otwarcia trybunału w Piotrkowie — inteligentny młodzian samodzielnie wyciągnął nauki i wnioski. W przyszłości pokusi się o ich realizację, na razie jednak bez żalu porzuci dość beczynne usytuowanie przy wuju i wyjedzie w nową podróż. Do Berlina.

Dwór króla Fryderyka II — żołnierza i filozofa — nie uczyni na nim większego wrażenia, jeśli nie liczyć pewnej konfuzji, jaką wywoła w pałacu Charlottenburg widok marmurowej głowy Juliusza Cezara wciśniętej pod kanapę. Jedno tam wszakże nastąpi zdarzenie, które wyrwie niemalże wpływ na życie Poniatowskiego: pozna i zwróci na siebie uwagę sir Karola Hanbury’ego William-

sa, posła angielskiego w Prusach, wyśmienitego dyplomaty, znawcy dworów i polityki europejskiej, człowieka o niezwykłej kulturze, wielbiciela antyku, uznanego poety, ciętego satyryka, znawcy i propagatora dzieł Szekspira. Ten doświadczony światowiec obsypie młodzieńca „grzecznościami i dobrocią”, a potem wielokrotnie do wiedzy swej dla niego przyjaźni, ucząc go sztuki dyplomacji i znawstwa życia. W trzy lata potem, przy ponownym spotkaniu — z rozpoczynającym właśnie karierę polityczną dwudziestolatkiem — przepowie mu, że będzie wielką, znaczącą dla swego kraju postacią.

W Rzeczypospolitej Obojga Narodów karierę polityczną młodzi ludzie zaczęli od posłowania. Zabiegi o uzyskanie mandatu (z ziemi łomżyńskiej na sejm grodzieński 1752) wzbudzą w wykształconym i doskonale ułożonym młodzieńcu, zmuszonym nagle do kampanijnego zetknięcia się z szeroką reprezentacją swego elektoratu, uczucia, najłagodniej mówiąc, niesmaku. Odrażę do zapijaczonych waszmościów („trzeba było — wspominał — przed sejmikiem kilka dni z rzędu rezonować od rana do wieczora z tą ciżbą, podziwiać ich brednie, zachwycać się ich płaskimi konceptami, a nade wszystko ścisnąć ich brudne, kapcańskie osoby”) pokona z godną zamierzzonego celu determinacją, a narady i biesiady w gronie wyborczej braci, odbywane „za stołami równie brudnymi, jak lichy obsługiwani”, dostarczą mu wielu obserwacji obyczajowych i wzbogacą jego wiedzę o życiu w szlacheckiej Polsce. Obmierzłe realia walki politycznej, zerwanie sejmu i kolejne wypadki w budzący podziw łańcem i kulturą świat zachodnioeuropejski, umocnią w nim przeświadczenie o konieczności dokonania zmian we własnym kraju. Takimi refleksjami zaowocuje zwłaszcza półtoraroczna niemal podróż do Francji i Anglii.

Jej program za niejedną, zapewne, starczyłby uniwersytet. Od izb parlamentarnych po izby walk kogutów, od pokojów monarszych po teatralne łoże, przez salony dam i filozofów, portowe zaułki i pracownie malarskie, przez galerie, katedry, pałace, ogrody, przez niezliczone spotkania z najciekawszymi bodaj ludźmi spełniać się będzie „dyplomowy” etap edukacji przyszłego króla, którego już wkrótce współczesna mu epoka uzna zgodnie za najbardziej wykształconego monarchę swych czasów.

Paryż — wielki ośrodek kultury europejskiej, kolebka myśli oświeceniowej, dyktatorska stolica mody — otworzył się przed nim szczerze. Polecający list ojca do dawnej przyjaciółki, Marii Teresy Geoffrin, wprowadził młodzieńca do jej ekskluzywnego salonu, w którym zbierała się od lat intelektualna śmietanka Paryża. To tu poznał Diderota i d’Alemberta, redaktorów sławnego *Słownika rozumowanego nauk, sztuk i rzemiosł*, czyli wielkiej *Encyklopedii* francuskiej, która świeżo właśnie zaczęła się ukazywać i wzbudzać umysły i emocje. Nieocnione były jej zasługi w dziele upowszechniania najnowszych — światoburczych, jak się okaże — poglądów filozoficznych, krzewionych w XVIII wieku we Francji. Tu zdążył jeszcze spotkać sławnego myśliciela, Karola Monteskiusza, autora *Listów perskich* i traktatu *O duchu praw* — dzieł, które wywołując dyskusję nad koncepcjami ustroju społecznego i politycznego, i formując nowatorską zasadę trójpodziału władzy (ustawo-

dawczej, wykonawczej i sądowniczej) jako gwarancji wolności w państwie, inspirowały rewolucyjne przemiany w Europie na przełomie wieków. Tu dane mu też było wieść długie rozmowy z Bernardem Fontenellem, wielkim racjonalistą, prekursorem francuskiego Oświecenia, wówczas prawie stuletnim („pani Geoffrin stawiała przy nim piecyk mały, żelazny, aby go utrzymać w temperaturze, jakiej potrzebował do życia przy swych 97 latach”). Ten dożyłotni sekretarz Akademii Francuskiej, propagator i popularyzator nauki, autor *Rozmów filozofa z damą o wielości światów*, których pierwsze wydanie polskie w przekładzie księdza Eustachego Dębickiego ukaże się drukiem w 1765 roku — mimo sędziwego wieku olśniewał żywością umysłu. A i czarował pełnym kokieterii *esprit*, gdy pytał najpoważniej w świecie młodego zagranicznego gościa, czy umie równie dobrze mówić po polsku, jak po francusku...

Ach, ten francuski salon, z jego wyrafinowaną niepowtarzalną atmosferą! Odrobina niewymuszonej powagi, naturalna lekkość toczzonej konwersacji, radosna swoboda zachowania — *joie de vivre* — i niekrępujący, a nieodzowny takt i umiar we wszystkim... Poważne dysputy nad poglądami Woltera, prowadzone z uczonym d'Alembertem, można tu było przeplatać sztubackim przedrzeźnianiem błaznów teatru włoskiego — także z udziałem tego szacownego filozofa i geometry.

Taki Paryż bez reszty oczarował przybysza. Stanisław Antoni chłonał to miasto, jakby czuł, że musi się nim nasycić na zawsze. Wizytował wykwintne domy i rezydencje, podziwiał wspaniałą architekturę pałaców, urodę francuskich ogrodów i kunszt tamtejszych ogrodników, obyczaje dworu monarszego i sztukę artystów teatru i opery, brał lekcje tańca u sławnego Marcela (będą potem złośliwie opinie, że w tej właśnie umiejętności do najwyższej doszedł perfekcji), z wziętym portrecistą Quentinem de La Tourem dyskutował żywą kolorystykę jego pastelii, a z uczonym księdzem Barthélemy, kustoszem gabinetu medalierskiego Ludwika XV, zgłębiał tajniki kolekcjonerstwa, utrwalając ostatecznie zamiłowanie do gromadzenia rzeczy rzadkich i pięknych, „wśród których doskonałości życie ludzkie wynosi się na wyżyny...”.

Rozmaitość paryskich doznań rodziła fascynację, choć nie bezkrytyczną, tym niezwykle miastem i ludźmi, którzy je zapełniali. Uniesie ją z sobą Poniatowski daleko, wraz z najpoważniej pielęgnowaną nadzieją na przeniesienie — kiedyś? jakoś? — stylu, atmosfery i treści nadsekwąńskiego życia — nad Wisłę.

Z tym większą uwagą, nie miejmy mu tego za złe, wysłucha wieszczów znanej paryskiej kabalarki, madame de Puget Lhullier, która pewnego wieczora, podobnie jak ów błędny wędrowiec przed dwudziestu dwoma laty w Wołczynie, przepowie Stanisławowi Antoniemu koronę. I uzyska w zamian obietnicę zaprosin do Warszawy, jeśli przepowiednia się spełni.

Słowo, przez lata nie zapomniane, zostanie dotrzymane.

Młody podróżnik tymczasem pospieszy do Londynu.

Pięćdziesiątysięczna wówczas stolica Anglii zrobi-

ła na nim wrażenie „miasta niezmiernego”. I choć pobyt tutaj, podobnie jak w Paryżu znaczony wizytami na dworze królewskim i w salonach arystokracji, upłyne na obserwacji życia politycznego — tak wysoko w tamtejszym wydaniu ocenianego przez samego Woltera i tak znakomicie prezentowanego Poniatowskiemu przez troskliwego Williamsa — to akcenty kulturalne i tej podróży zaowocują znaczącymi konsekwencjami. Pierwsze sztychy, które Stanisław Antoni nabeździe w Londynie, staną się zaczątkiem jego pięknej kolekcji: sławnego Gabinetu Rycin (dziś własność Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego), tragedie Szekspira zaś, ujrane tam po raz pierwszy na scenie — dotychczas znane mu tylko z lektur — odmieniają jego spojrzenie na teatr: „Przyniosłem tam z sobą (do teatru — przyp. A.Z.) żywą pamięć wszystkich pięknych prawideł o trzech jednościach, których ściśle przestrzeganie wpaja francuskim dramatycznym pisarzom świadomość własnej wyższości nad Anglikami; ale przyznaję, że im więcej poznawałem sztuk Szekspira, tym mniej zaczynałem wierzyć w tę zasadę. Czułem się zajęтым, ubawionym, a nieraz prawdziwie zbudowanym, i wniosłem stąd, że mogę odnieść przyjemność, a nawet i pożytek z oglądania sztuki, której akcja trwa dłużej niż jeden dzień, a scena przenosi się w różne miejsca, jeżeli tylko autor posiada gruntowną znajomość obyczajów, namiętności, błędów i cnót nawet, do jakich ludzie są zdolni; jeżeli osobom swoim każe przemawiać w sposób podnoszący w mych oczach wartość cnoty, dobroci i mądrości, a wszystko przedstawi jak najprawdopodobniej. Owóż zdaje mi się, że szczegóły, w które tak obfitują sztuki angielskie, a zwłaszcza sztuki Szekspira, szczegóły tak malujące dokładnie epokę i kraj, w którym się rzecz dzieje, większe daleko dają mi złudzenia, niż zawsze jednostajnie wzniosły, a przez to samo napuszony styl tragedii francuskich. Bez złudzenia zaś nie masz przyjemności w teatrze”.

Edukacja polityczna, która wszakże zdominuje ten pobyt, doprowadzi Poniatowskiego do ważkich wniosków reformatorskich, podejmowanych z myślą o przeżywającym chaos polityczny własnym kraju. Pomny doświadczeń wyborczych w Polsce, z zainteresowaniem i uznaniem śledzić będzie operację i przebieg wyborów angielskich. Dostrzeże duże wyrobienie polityczne i społeczne Anglików, rozwagę i trzeźwość w traktowaniu problemów państwowych, rzeczowość i brak zaciętrzewienia w sporach. Godny naśladowania poziom parlamentaryzmu angielskiego, sprzęgniętego z silną władzą wykonawczą, której system rządzenia formułował jeszcze w poprzedniej połowie wieku premier-reformator sir Robert Walpole, był istotą ustroju, jaki młody polityk rad był widzieć i we własnym kraju.

Właśnie stamtąd w połowie 1754 roku nadeszło wezwanie do powrotu. Usłuchał, choć wyjeżdżał z uczuciem, że widział ledwie czwartą część tego, co chciał poznać i zbadać.

Polityczna kariera posła kolejnego sejmku, na co po angielskich doświadczeniach miał tej jesieni wielką ochotę („Łatwo wyobrazić sobie, jak ponętą być musiała dla młodego człowieka, wracającego z Anglii, możliwość wystąpienia w roli, która wydawała się śmiałą i sprawied-

liwą”) — z wyraźnej woli rodziców ulec musiała odroczeniu. Spór, w który na tym forum sejmowym musiałby się włączyć, stawiałby go w niezręcznej sytuacji. Natura wszakże nie znoś próżni... Tę niełaskę losu wynagrodzi łaska królewska. O tę przychyłność zadba przewidujący rodzina. Pięknie rokujący dwudziestotrzylatek wyniesiony zostanie w tym czasie przez Augusta III do pierwszej poważnej godności urzędowej: stolnika litewskiego.

Czas politycznej edukacji kończył się. Należało przejść do działania o własnych siłach.

Rosja

Okazja, jaka się właśnie nadarzyła, miała, zdaniem wielu, decydujący wpływ na ciąg dalszy politycznego życiorysu Poniatowskiego. Droga do ziszczenia świetnych przepowiedni wiodła, jak się okaże, przez Petersburg. Wyjechał tam w czerwcu 1755 roku.

Oficjalnie miał nad Nową sekretarzować świeżo mianowanego ambasadorowi króla angielskiego, sir Charlesowi Williamsowi, wypróbowanemu osobistemu przyjacielowi. Nieoficjalnie — być samemu „ambasadorem” interesów rodzinnego stronnictwa i zabiegać o przychylne dla politycznych planów „Familii” stanowisko kół dworskich i samej cesarskiej Elżbiety. „Familia” bowiem, zerwawszy w owym czasie z Augustem III, którego nie udało jej się pozyskać dla reformatorskich zamysłów, zwróciła się przeciw niemu. Postawiła na Rosję, jako sojusznika i protektora, z którego wojskową i polityczną pomocą da się, być może, obalić nieudolne rządy Sasa w Polsce i przeprowadzić w państwie niezbędne reformy.

W obu tych misjach młody stolnik sukcesy odnotował raczej umiarkowane. Powiodło mu się natomiast, i to niezwykle, na gruncie osobistym. Zakochał się! Bez pamięci, żarliwie, i — jak wielu utrzymuje — dozgonnie!

Ona była piękną i wielką indywidualnością. Jej obraz przywoływany we wspomnieniu po latach, wciąż opromienia żywe uczucie, wyczuwalne w każdym zdaniu słownego portretu, stworzonego w prawie dwadzieścia lat później na użytek *Pamiętnika*. Czuli wizerunek zwieńcza szczerze wyznanie: „Stała się panią moich losów. Oddałem jej całą moją istotę...”

On okazał się towarzystwem „odpowiednim jej umysłowi” i sercu. Ona zrewanżowała się uczuciem równie gorącym. Miało to skutki znamienne i znane. Ukochana bowiem, wielka księżna Katarzyna Aleksiejewna, żona następcy rosyjskiego tronu, sama w przyszłości, już za lat siedem, obejmie tron carów, usuwając zeń bez skrupułów swego prawowitego i szczerze znienawidzonego małżonka. Skutecznie rozbuduje i umocni potęgę wszechrosyjskiego imperium. Zasłynie jako Katarzyna II. Caryca. Często zwać ją będą „Wielką”.

W 1764 roku w Polsce — państwie sąsiedzkim, którego destabilizacja i słabość wewnętrzna będą w kalkulacjach tej władczyni czynnikami godnymi podtrzymywania, bo korzystnymi w jej imperialnej międzynarodowej grze — zapragnie osadzić na opustoszałym, elekcyjnym tronie odpowiedniego do takich zamysłów kandy-

data. Potrafi to zrealizować. Ale na razie czytać z nim będzie uczone książki, dyskutować Woltera. Zakochany młodzieniec otworzy przed swą wybranką duszę, powie o skryte tajemnice, wyjawia ambicje, długo mówić będzie o zamierzanych projektach reform w swojej ojczyźnie...

Latem 1756 roku, gdy wyjeżdżał do Warszawy — po raz kolejny przywołany przez rodziców i niezmiennie im posłuszny — wielka księżna obiecała dopilnować jego rychłego powrotu.

Jakoż istotnie, szybko i troskliwie dała o sobie znać. Z jej woli, za wstawiennictwem cesarskiego kanclerza, Aleksego Bestużewa, stolnik-dyplomata przed ponownym wyjazdem do Petersburga otrzymał najwyższe polskie odznaczenie: Order Orła Białego z błękitną wstęgą. Drobną pomyłką, jaka zaszła przy tej uroczystej dekoracji, jest zbyt wymowna, by nie wspomnieć o niej w tym miejscu: zamiast „zwykłej” orderowej gwiazdy z napisem łacińskim *Pro Fide, Rege et Lege* (Za wiarę, króla i prawo) stolnikowi Poniatowskiemu przypięto gwiazdę o wiele rzadziej stosowaną, z napisem: *Pro Fide, Grege et Lege*. Za wiarę, naród i prawo.

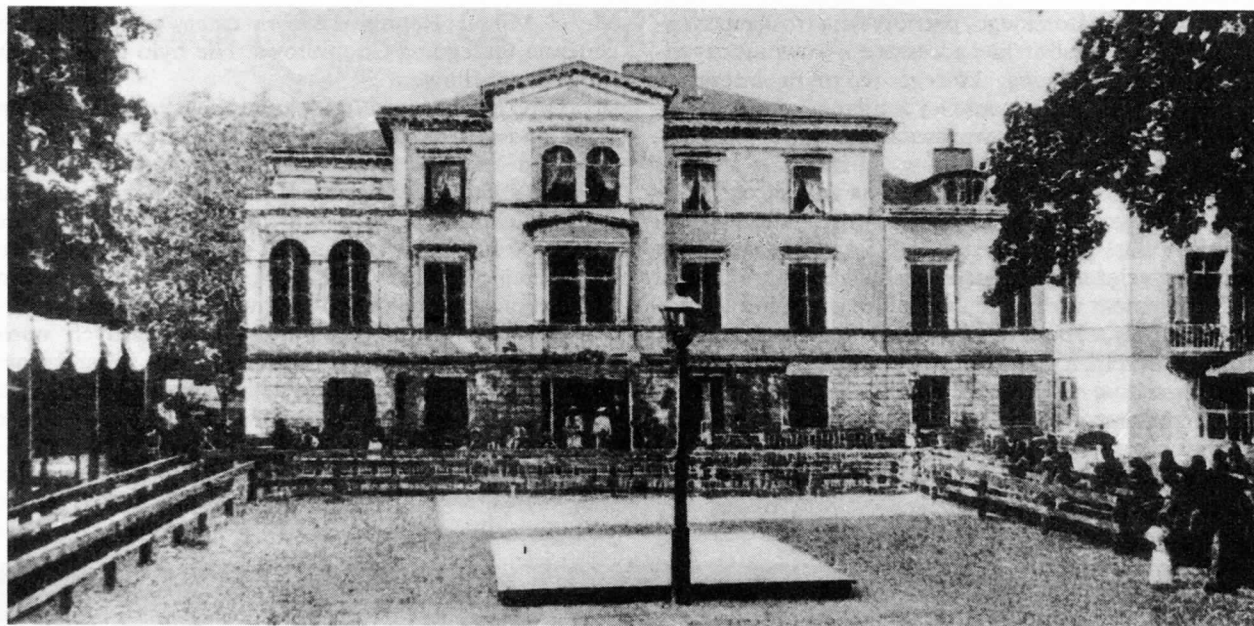
Ta wersja zarezerwowana była dla najdostojniejszych kawalerów orderu. Dekorowano nią tylko... królów.

A był dopiero rok 1756. „Zaszczytną” pomyłkę, oczywiście, naprawiono, zamieniając order.

Drugi, półtoraroczny pobyt nad Nową wypełniła dyplomatyczna służba, tym razem „w barwach” elektor-



Marcello Bacciarelli (1731—1818), autoportret w rogatywce



Pałac Bagatela M. Bacciarellego, przebudowany przez Jana Chrystiana Kamsetzera

skiej Saksonii. I, oczywiście, miłość. Czasy były burzliwe, a sytuacja międzynarodowa — wobec rozgorzałej właśnie wojny siedmioletniej — skomplikowana, więc niewątpliwie sukcesy odnotował młody dyplomata raczej w tej drugiej dziedzinie. Polityczne zajęcia czekały na niego w kraju.

Królewskie nadzieje i kalkulacje

Polityka stanowiła istotę rodzinnego życia „Familii”, a stolnik był jej naturalnie sprzymierzonym kuzynem. „Familijne” dążenia do koniecznych reform ustrojowych narastały wraz z przedłużającym się panowaniem starego, nieudolnego Sasa. Urzeczywistnieniu spiskowej idei detronizacji odmówiła jednak pomocy Katarzyna II (niedawno jeszcze zakochana wielka księżna, wtedy już — od połowy 1762 roku — dalekowzroczna caryca), choć na to w gronie „Familijnym” poważnie liczono, inwestując w petersburskie podboje przystojnego krewniaka. Czekano więc na śmierć żalosnego władcy i przygotowywano się do przejęcia władzy, co musiało niewątpliwie nastąpić. Rozważano strategię i królewskie kandydatury... Z płonącym czołem, po wielokroć, stolnik litewski wczytywał się w początek osobistego listu carycy, nadesłanego mu rychło po zdobyciu przez nią rosyjskiego tronu: „Wysyłam bezzwłocznie hrabiego Keyserlinga jako ambasadora do Polski, aby zrobił Ciebie królem po śmierci tego. A jeśli mu się to nie uda, to życzę sobie, aby królem został książę Adam”.

Książę Adam Kazimierz Czartoryski, syn wuja Augusta, kuzyn najbliższy, otwarcie zgłaszał swoje *désir* dla korony. Od dzieciństwa wygórowana ambicja Stanisława Antoniego otrzymała więc potężny bodziec. Rozpalała jego wyobraźnię i nadzieje... Tymcza-

sem posługując i politykując pilnie, nie zaniedbywał upodobań i potrzeb ducha. Z Rzymu, z pomocą swego dawnego teatyńskiego wychowawcy, księdza Portalupiego, sprowadzał gemmy i starożytności. Emocjonował się sprawą odkrywanych właśnie skarbów Pompei i Herkulanum. Ożywił kontakty z utalentowanym malarzem włoskim, pozostającym w służbie Augusta III — Marcellem Bacciarellim. Wraz z kuzynem, księciem Adamem Kazimierzem, wydał kilka pierwszych numerów „Monitora”, pisma politycznego, skupionego dydaktycznie na krytyce narodowych wad. (Niemal ulotne w swym niedługim istnieniu, pismo to użyczyło tytułu powstałemu prawie dwa lata później, sławnemu i zasłużonemu reformatorskiemu periodykowi). Posłuszny zaś skali zadań, do których zdawał się sobie predestynowany, w zaciszu domowym tworzył *Anecdote historique* — powiastkę filozoficzną o nieszczęśliwym królu polskim Władysławie IV, w której pod maską historycznego kostiumu i romansego wątku pomieścił reformatorskie myśli o konieczności naprawy ustroju Rzeczypospolitej. „Historyczna anegdota” sugerowała sprawy poważne: zniesienie wolnej elekcji i *liberum veto*; wzmocnienie władzy wykonawczej w państwie przez zerwanie z zasadą dożywotności funkcji publicznych i poddanie działalności urzędników państwowych publicznej, na sejmikach, ocenie; ograniczenie władzy hetmanów, marszałków, podskarbic i kanclerzy poprzez przyjęcie angielskiej zasady kolegalności rządu i możliwości ingerencji króla; stały sejm i niezawisłość trybunałów; wzmocnienie finansów i zwiększenie liczby wojska.

Wszystko to, zadedykowane carycy, niezwłocznie zostało przesłane nad Nową.

Źródła politycznych doświadczeń autora — francuskie i angielskie peregrynacje — były tu czytelne. Naiwność politycznych kalkulacji, wyrażona w ufnym prze-

słaniu tego reformatorskiego, patriotyczną troską nasyczonego projektu petersburskiej adresatce — równie oczywista. Władczyni państwa, którego jedynym interesem wobec Polski było utrzymanie jej w niemocy i nieograniczonej zależności od Rosji, wprawdzie nigdy nie otrzymała „Anegdoty”, ale i bez tego — w dobrze sobie znanym Stanisławie Antonim, wyrastającym na znaczącego polityka nadchodzącej doby, czytała jak w otwartej księdze. A właśnie zmarł wreszcie August III i ten poszukujący dróg przezwyciężenia wewnętrznych słabości kraj stawał przed problemem wyboru nowego króla. Ogólnie życzo-
no sobie, w Polsce i poza nią, by został nim wreszcie Piast, czyli Polak. Czartoryski? Branicki? Ogiński? Poniatowski? Powszechnie też było wiadomo, że od 1697 roku, a więc przez trzy ostatnie elekcje — decydowały o tym wyborze obce, sąsiedzkie potęgi. Z Petersburga ruszył zatem do Warszawy kolejny ambasador Jej Cesarskiej

Mości, Mikołaj Repnin, a także... cztery tysiące żołnierzy generała Grzegorza Chomutowa. Nie było to więc tylko wsparcie duchowe...

Dnia 6 września 1764 roku na elekcyjnych polach na Woli pod Warszawą jednomyślnie okrzyknięto królem jedynego kandydata. Spełniły się przepowiednie ludzi i wyroki gwiazd. Stanisław i Konstancja Poniatowscy nie doczekali, niestety, dnia synowskiego triumfu, choć zapewne do końca życia wierzyli, że nastąpi. Ich syn zaś, przybierając królewskie imię, zachował swe pierwsze, na chrzcie mu dane po ojcu, i dodawał doń drugie — nowe. Nawiązywało ono do imion jego popularnych wśród narodu poprzedników, ale i wskazywało na głęboki osobisty związek młodego władcy z dawno minioną epoką i światem, którego dzieje, cywilizację, kulturę cenił i podziwiał najszczerzej.

Zwać się miał Stanisław August.



Elekcja Stanisława Augusta Poniatowskiego (fragment obrazu B. Belotta)

Protagonista polskiego Oświecenia

W chwili gdy obejmował ster Rzeczypospolitej szlacheckiej — znane mu monarchie Europy rozkwiwały gospodarczo. Politycznie zaś — budowały i umacniały podstawy nowoczesnej państwowości, która, wzbogacana późniejszymi korektami, w odmiennych warunkach ustrojowych zachowuje wszędzie do dziś zdrowe, wytworzone wówczas elementy swej struktury. Już od początków XVIII wieku kraje te w politycznej i gospodarczej praktyce dnia codziennego realizowały formułowane przez swych znakomitych ideologów i myślicieli, postępowe naówczas poglądy o konieczności wyzwolenia człowieka z więzów feudalnych i o potrzebie reformy świata w imię urzeczywistnienia elementarnych praw ludzkości do pełnego rozwoju, sprawiedliwie należnych wszystkim. W efekcie tego przeistaczania dokonywał się tam, brzemenny w skutki, społeczny i kulturalny awans nowego reprezentanta narodowej zbiorowości — mieszczanina, który zdobywając majątek i obywatelskie znaczenie, ważył się kwestionować podstawy dotychczas istniejącego systemu. Także moralnego, spletanego okowami religijnych norm i zakazów. Nowe prawdy nowych ludzi gloryfikowały „oświecony” rozum, uwolniony z „przesądów”, czyli więzów narzuconych przez dogmatyczne dyrektywy teologiczne, zdolny do zasadniczej weryfikacji zastanych norm i wartości. Ta rekomendowana przez filozofów swoboda myślenia zaowocowała wrzeniem pobudzonych intelektów, które najoczywistszy wyraz znalazło w nieposkromionym w owym czasie rozkwicie nauk, licznych odkryciach, powszechnym ożywieniu umysłowym. Inspiracje intelektualne ewokowały zmiany jakościowe we wszelkich dziedzinach: w polityce, gospodarce, oświacie, moralności, obyczajach, a te z kolei pogłębiały i pomnażały dorobek umysłowy edukujących się narodów. Anglia, Francja, Holandia prosperowały — i tę to, tak ekscytującą fazę rozwoju tych państw obserwował przed dziesięć lat Poniatowski.

Teraz sam stawał na czele kraju. Jakże odmiennego! Politycznie, gospodarczo i intelektualnie tkwiącego w głębokim zacofaniu. Słabego, pogrążonego we wszechogarniającym kryzysie. Rzeczpospolita zdumiewała Europę i epokę anachronizmem swych rozwiązań ustrojowych, słabością władzy monarszej, uwiązaniem wykonawczej, przekupstwem sadowniczej i praktycznie brakiem ustawodawczej — lekceważonej i unicestwianej na zrywanych kolejno sejmach, w imię absurdalnie apologetyzowanej złotej wolności. Przerażała sejmikowym awanturnictwem, ciemnotą umysłową, fanatyzmem religijnym i kulturowanym wręcz pijaństwem. Zaskakiwała feuda-

lizmem stosunków społecznych, w których szlachecka, ledwie ósma część narodu, sobie tylko przyznając prawo jego reprezentacji, zastrzegła dla siebie wszystkie przywileje, reszcie rodaków przeznaczając wyłącznie obowiązki. I bezwiednie, lub z wygodnym, bo najczęściej sówicie opłacanym przyzwoleniem, dawała sobą manipulować garstce możnych „właścicieli Rzeczypospolitej” — mag-



Stanisław August Poniatowski w stroju koronacyjnym

natów, którym niewiarygodne bogactwa i wzajemne koligacje zapewniały wyłączny niemal dostęp do najpierwszych urzędów, i z pokolenia na pokolenie utrwały ich decydujący, właściwie niekontrolowany wpływ na życie polityczne kraju.

Rzeczpospolita wielbiła ten luby, odwieczny, staro-szlachecki porządek. Był jej własnym dorobkiem, dumą, powodem do usprawiedliwionego wywyższania się nad inne narody. Tym „innym” nie ufała, cudzoziemców nie lubiła, obcych nowinek się strzegła, czując instynktownie, że próba ich przeszczepienia na grunt polski może zburzyć zazdrośnie przez wieki strzeżony ład. Pełna wewnętrznego samozadowolenia — krok za krokiem zmierzała do samounicestwienia.

Najświatlejsi spośród jej obywateli dostrzegali jednakże, że kraj wymagał pilnej interwencji — reformy, która pozwoliłaby ocalić jego byt w zmieniającym się świecie. Ambitni i energiczni, od wielu lat podejmowali próby politycznych reform. Istotę, przyczyny i zakres tych poczyną opisała szczegółowo Zofia Zielińska w wydany w początkach niniejszej serii *Dziejów narodu i państwa polskiego* opracowaniu, zatytułowanym *Ostatnie lata Pierwszej Rzeczypospolitej*. Stanisław Antoni Ponia-

towski, była tu już o tym mowa, brał żywy udział w reformatorskich działaniach swego rodzinnego stronnictwa — „Familii”. Kontynuować je będzie jako Stanisław August, czyniąc z nich zasadniczy wątek swego panowania. Ze zmiennym, na pewno nie dopisującym mu nadto łaskawie powodzeniem, przy wszystkich przeciwnościach, których ani los, ani ludzie mu nie oszczędzą. Ale jako wybitny reprezentant swej epoki, człowiek oświecony, wszechstronnie wykształcony, o głębokiej kulturze — na kulturę właśnie postawi w swym reformatorskim dziele. Uczyni z niej oręż posłuszny sobie i nad podziw skuteczny w zdumiewających rozmachem staraniach o odmianę oblicza kraju, pogrążonego w zgubnym, post-saskim błogostanie.

W realizacji tego dzieła, które budzić będzie uznanie zewnętrznego świata, ale chyba nie dość współmierną do zasług wdzięczność rodaków, współczesnych i potomnych, zamyśli zaszczyć im chwalebą, bo kształtującą byt i światopogląd potrzebę wiedzy i kultury. Rozumienia znaczenia sztuki. Pragnienia piękna. I w ciągu ledwie trzydziestu lat swego panowania, niezwykle trudnych dla niego i dla kraju, doprowadzi do, jak to w półtora wieku później określi Jan Parandowski: „europeizacji Polski, którą zastał na głuchym pustkowiu Wschodu”.



Pamiętnik elekcji króla Stanisława Augusta

Ubiory polskie w XVIII wieku (według J. Kossaka)

Zwiastuny przemian

Potomek starożytnego włoskiego rodu, arcybiskup Antonio Eugenio Visconti, nuncjusz papieski w Polsce w latach 1760—1766, już w pierwszych miesiącach panowania Stanisława Augusta wystawił mu taką oto cenzurkę: „Król jest utalentowany, wykształcony, ale przede wszystkim pochłania go chęć reformy. Gdyby mógł, zreformowałby w jednym dniu cały kraj, cały naród, by go podnieść na poziom innych narodów o większej kulturze”.

Choć w dziedzinistwie strzeżony pilnie „od obcowania ze wszystkimi, których przykład mógł mu szkodzić” — w młodości zbyt dobrze poznał swój kraj i ziomeków, by zostawiać królem uznać, że ma przed sobą choć dzień do stracenia. Zaczął ostro, z młodzieńczą gorącością. Od... niedopełnienia (wielu powie — sprzeniewierzenia się!) prawie 450 lat liczącej tradycji, która od czasów Władysława Łokietka na miejsce królewskiej koronacji wyznaczała Kraków, z jego wawelską katedrą Świętego Wacława i Świętego Stanisława. Postanowił koronować się w Warszawie, w tutejszej kolegiacie Świętego Jana. Przed nim uczynił to tylko jeden jego poprzednik, także Stanisław, Leszczyński, ale wówczas wojenne wrzenie w kraju nakazywało pośpiech i praktycznie uniemożliwiało daleką wyprawę do starej stolicy. Tym razem pośpiechu i wojny nie było, przesądziła wola elekta. Wśród do dziś dyskutowanych przyczyn, dla których tak zdecydował — świadomie przecież narażając się tradycji w kraju, gdzie obyczaje przodków ceniono nad miarę — wskazywano wiele racjonalnych, obiektywnych. Złośliwy i szczerze nieprzyjazyńcy mu pamiętnikarz Jędrzej Kitowicz, wyjaśnił rzecz jednym zdaniem: „zbył się jazdy kosztownej do Krakowa, na którą, jako chudeusz, nie miał wątku” (tzn. środków). Jest jednak prawdą, że koronacyjny Kraków był w owym czasie, po pożodze wojen szwedzkich, miastem wciąż jeszcze podupadłym. Niewielkim przy tym, dziesięcioletnim, z ledwie czterystu zrujnowanymi domami, które z pewnością nie dałyby rady przyjąć natłoku koronacyjnych gości. Zniszczony Wawel też raczej nie mógłby stanowić godnej oprawy dla tak świetnej ceremonii... Spróbujmy jednak domyślać się dalej. Zamiana Krakowa na Warszawę, poza oczywistą wygodą takiego rozwiązania, mniej może była wyzwaniem rzuconym tradycji — na to był zbyt wielkim dyplomatą i zbyt delikatną miał naturę, która na pewno nie dopuszczała zuchwałych manifestacji. Bardziej — znakiem dawanym współrodakom, o co naprawdę chodziło. Zwiastunem początku — „nowego”. Ta dobrze dziś zrozumiała figura frazeologiczna zdaje się nieźle oddawać istotę intencji osiemnastowiecznego reformatora. Był ryzykantem — nie wstępował na tron w atmosferze powszechnej przychylności, a tą decyzją zrażał sobie przeciwników jeszcze dogłębniej. Ale był uczciwy i sygnalizował u progu, że od tej chwili wiele się zmieni, a już na pewno tyle, ile będzie od niego zależało. „W ideach reformy, chwały i pożytku ojczyzny odnajdywałem prawdziwą ośnowę swego życia” — wyzna po latach. Więc i brał się do tego dzieła od zaraz, wszelkimi sposobami. Przy pierwszej nadarzącej się okazji wskazał miasto,

które — obojętne kilku poprzednim monarchom — od tej chwili stać się miało nie tylko stałą siedzibą króla, ale prawdziwym ośrodkiem życia państwowego, jakiego dotychczas nie było, promieniującym na kraj. Z jego woli. Jeśli spojrzeć na to od innej strony — nawiązywał do znanego w dziejach kraju faktu. Wszak czynił podobnie, jak niegdyś Łokietek, który poniechawszy tradycyjnie koronacyjny w Gnieźnie i odprowadzając tę doniosłą uroczystość w Krakowie — gruntował tym aktem kreowanie władcy całej Polski, wznowianym po dwustu pięćdziesięciu prawie latach, stołeczną pozycję tego miasta w zjednoczonym po długim rozbiću państwie.

Jeśli przypomnimy sobie choćby *Anecdote historique* — w ogóle zanosilo się na wielkie wstrząsy. Na razie młody król, zadbawszy o sobie o ścisłą, poza zmianą miejsca koronacji, zgodność tego obrzędu z tradycją i dopełniwszy rytuału w ceremonialnych szatach — z kościoła wyszedł już przebrany nie w zwyczajowo stosowany narodowy strój polski: kontusz, delię i obszerne hajdawery, ale, jak to skrupulatnie zanotował ksiądz Kitowicz, w „kamizelkę opiętą i pluderki także białe, at-



Autograf króla w księdze Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie



Stanisław August Poniatowski w stroju króla Henryka IV. Mal. Elisabeth Lebrun Vigée

łasowe, pończochy i trzewiki białe oraz z przednich koronek brabanckich wielkie kryzy na szyję”. Mówiono, plotkował Kitowicz, że to strój hiszpański, i tym samym istotnie dawano świadectwo pewnemu zdezorientowaniu. Strój taki był bowiem szerszym rzeszom panów braci nie znany, francuski w stylu (Brückner uzna go za kostium fantastyczny *à la Henri IV*), i z pewnością miał wymownie świadczyć o obyczajowej orientacji nowego władcy, który w tej dziedzinie zamierzał sięgać do wykwintnych, francuskich wzorców. Jako król — miał być przykładem do naśladowania, i niewykluczone, że widząc oczyma wyobraźni swych krewkich rodaków poprzebie-ranych w modne atłasy i peruki — liczył na uładzenie i tym sposobem ich „kapcańskich” manier i wybuchowych sarmackich temperamentów. Podpisując wcześniej *pacta conventa* — ten zbiór warunków, na jakich każdy elekt otrzymywał koronę — wyprosił sobie niebłahe ustępstwo: zwolnienie od staropolskiego podgalań głowy i noszenia wąsów! Nie wymigiwał się natomiast od innego tradycyjnie umieszczanego w *pacta conventa* nakazu. Za niezwykle istotne zobowiązanie uznał warunek, którego nie spełnił przed nim żaden z jego obieralnych poprzedników (choć każdego z nich, poczynając od Wależjusza, błagała o to Rzeczpospolita). Założył państwo-wy, szeroko dostępny bezpłatny zakład oświatowy dla

szlacheckiej młodzieży: Szkołę Rycerską, czyli Korpus Kadetów.

Sam nienagannie wykształcony, w upowszechnieniu oświaty widział pierwsze, naturalne źródło siły przemian w państwie. Dokonać się one musiały, wiedział to, za sprawą nowych ludzi — świadomej potrzeb kraju elity obywatelskiej. Skuteczność tej drogi była oczywista i nawet jeszcze w saskiej Polsce w pewnym stopniu dowiedziona. Oto od 1740 roku działał w Warszawie i przygotowywał starannie wykształconych absolwentów nowoczesny zakład naukowy, tyle że wielce elitarny, ledwie 60 miejsc mający, kosztowny, przeznaczony dla synów magnaterii i zamożnej szlachty. Było to Collegium Nobilium, założone przez światłego pedagoga, edukowanego we Włoszech i Francji pijara, księdza Stanisława Konarskiego. „Niech chłopcy wiedzą, co winni ojczyźnie, co należy im przez całe życie dla ojczyzny robić, jak konieczną jest rzeczą wychowywać ich na dobrych obywateli, aby mogli odwdziżyć się ojczyźnie przez wspomaganie jej, bronienie i dodawanie jej sławy” — takim założeniom podporządkował Konarski program kolegijskiego nauczania i wychowania, forsując z trudem, ale i z uporem otwarcie szkoły. Wykładane w niej nauki przyrodnicze (Collegium miało pierwszy w Polsce nowoczesny gabinet fizyczny i globus do nauczania geografii), lekcje nowożytnych języków obcych i, co szczególnie ważne — zrównanie języka ojczystego z wszechwładną w dotychczasowym szkolnictwie łaciną (to przeciwko zachwaszczeniu nią rodzimego języka napisał Konarski swoje słynne dzieło *O poprawie wad wymowy*) stanowiły zapowiedź przemian w polskiej oświacie. Szerszą skalę przyjmą one po reformie wszystkich szkół pijarskich (pójdą za nimi jezuickie), do czego odważny reformator doprowadzi po czterestu latach cierpliwych zabiegów. Po następnych dziesięciu, jedną z pierwszych decyzji nowego króla, zostanie Konarski zaszczytnie uhonorowany za swe zasługi specjalnie na jego cześć „postanowionym” medalem, z wymownym wyrazem monarszego hołdu: *Sapere auso*. „Temu, który odśmielił się być mądrym”.

Komu zacząć się udało,

Ten ma połowę dzieła.

Zaczynaj więc, czyni śmiało

Odważ się być rozumnym...

zachęcał adresata swego poetyckiego listu Horacy, z którego Stanisław August — wielbiciel starożytności — zaczerpnął, trawestując stosownie, te piękne słowa. Przy niekwestionowanym jednak uznaniu dla wysiłków Konarskiego, miał monarcha świadomość, że w dziele upowszechniania oświaty w narodzie i wychowania szlacheckich synów mądrym pijarowi ledwie „zacząć się udało”.

Szkoła Rycerska

„Ledwie dziecię zabelkotało i oczy otwarło, przede wszystkim uczono je kłaść na sobie znak Zbawienia, godło naszej wiary, krzyż święty. Pierwszymi słowami naszymi była modlitwa do Stwórcy, pacierz, któryśmy za matką powtarzali”.

Ambitniejszy dom, jeśli piśmienny, uczył jeszcze



Szkoła Rycerska w Warszawie (obraz Z. Vogla)

dziecię tajemnic alfabetu oraz podstawowych życiowych umiejętności, resztę edukacji, po takim wstępnym „otarganiu”, powierzając szkołom zakonnym. Tam treści naukowe i metody wychowawcze wypróbowane były od lat:

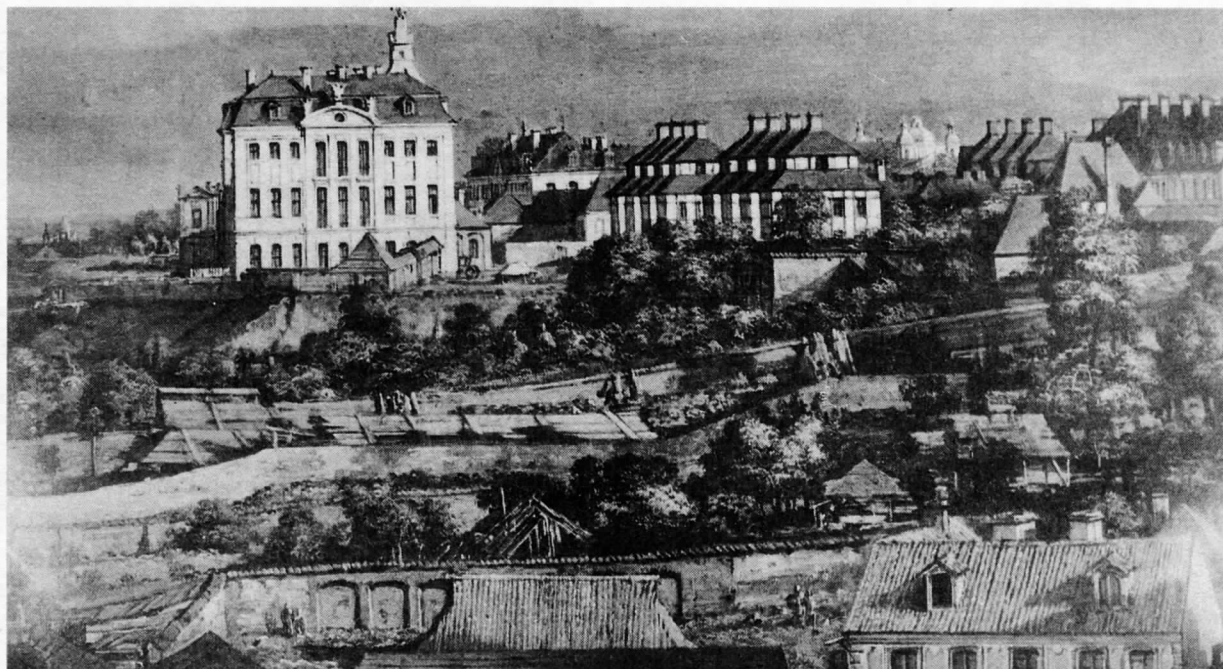
„Plagi były jednym z najdzielniejszych środków wychowania i uśmierzania wybuchów krwi nadto żywo płynącej. (...) Nahaj niesiono za idącym do szkoły księdzem Patrem jako widomą oznakę siły i wraz z teką rozkładano go na katederze, abyśmy zbawiennego monitora nigdy z oczu nie tracili. (...) W połowie XVIII wieku wychowanie w Polsce było jeszcze na bardzo niskim stopniu, jednakże odpowiadało ono potrzebom czasu i kraju. Uczeń wyszedłszy ze szkół znał łacinę lepiej i mocniej niż język rodowity, umiał się gracko bić w palcaty, a nawet w pałasze, zresztą przywykły był do ślepego posłuszeństwa, i to stanowiło posadę niejaką przyszełego rozwinienia człowieka”.

Udatny ten opis najpowszechniej w przedstanisławowskiej epoce praktykowanych zabiegów edukacyjnych przekazał nam naoczny świadek, autor barwnych i smakowitych pamiętników (kształcony znacznie staranniej, oddajmy mu tę sprawiedliwość) — Jak Duklan Ochocki.

W roku 1764 jednakże „potrzeby czasu i kraju” najbardziej oświeconym zdawały się już zgola inne i naglące, a dotychczasowa „posada przyszełego rozwinienia człowieka” niczego nie gwarantowała. Dla reformatorsko więc zorientowanego Stanisława Augusta, który w poczuciu potrzeby działania zdawał się ulegać wrażeniu, że wraz z koroną odebrał narodową nominację na — powie-

dzielibyśmy dziś — premiera nowego rządu, nie było czasu do stracenia. Jeszcze w grudniu, ledwie w kilka tygodni po koronacji, przywołał swego kuzyna i współnika w „Familijskim” dziele naprawy Rzeczypospolitej — księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, człowieka równie jak on młodego i oświeconego, generała ziem podolskich, a w przyszłości uwielbianego przez młodzież wychowawcę, by przedyskutować z nim sugestywną myśl mądrego księdza pijara, który przebudowę państwa radził rozpoczynać od przebudowy systemu wychowywania młodzieży. Myśl ta zresztą od prawie dwustu lat krążyła nad Polską, rzucona jeszcze w XVI wieku przez fundatora Akademii Zamojskiej, Jana Zamoyskiego, który wieścił z przekonaniem: „Rzeczpospolite zawsze takie będą, jakie ich młodzieży wychowanie”.

„*Amore boni publici* szkołę rycerską postanowić pragniemy i pilne mieć oko, aby w przyzwoitym była ćwiczeniu” — takie zobowiązanie przyszedł król zaprzysiął był jeszcze w *pacta conventa*. Teraz, jako Stanisław August, na jego realizację przeznaczał 300 tysięcy złotych polskich z własnej kiesy (licząc, oczywiście, na dofinansowywanie w przyszłości tego przedsięwzięcia przez sejm), upatrywał miejsca, w którym mógłby taki zakład pomieścić, Czartoryskiemu powierzał nad nim komendanturę i kuratelę pedagogiczno-programową, Augustowi Sułkowskiemu — administrację, sobie zaś pozostawiał obowiązek — a i przyjemność! — doglądania całości spraw z tym związanych oraz należne mu z urzędu, wojskowe szefstwo Korpusu Kadetów.



Pałac Kazimierzowski i Koszary Kadetów (fragment obrazu B. Belotta)

Szkoła Rycerska, powstająca pod wysokim, osobistym protektorem monarchy, była oczkiem w jego głowie i cieszyła go podwójnie: przez ćwiczenia z bronią, musztrę i zajęcia polowe przysposabiała młodzież do służby wojaskowej, przygotowywała fachową kadrę oficerską, co — choć sam na wojnie nigdy nie był — popierał gorąco, z myślą o obronności kraju. A przez naukę ogólnie kształcącą, z bogatym, osobiście przez niego akceptowanym programem, zapewniała, że ci oficerowie także w cywilu sprawnie pełnić będą obywatelskie obowiązki. Staną się potrzebną krajowi służbą urzędniczą.

W ten sposób tworzył więc zarazem szkołę przyszłej administracji kraju, przygotowującą fachowców, jakich dotychczas w Rzeczypospolitej nie było.

Przyjmować do niej miano — warto to zapamiętać — synów niebogatej, drobnej i średniej szlachty. Zaczynać z ośmio-, dwunastolatkami. Pierwszy uczeń, Józef Ułatowski z Mazowsza, zjawił się w szkole 23 czerwca 1765 roku. W dwa tygodnie potem przybył z Rusi Grzegorz Komański. Po roku była już w niej czterdziestka kadetów ze wszystkich zakątków kraju. Przez dwadzieścia dziewięć lat istnienia Szkoła Rycerska dochowała się około tysiąca absolwentów — gorliwych patriotów i walecznych żołnierzy: prawie połowa rocznika 1794, czyli wszyscy, którzy potrafią unieść broń, pójdzie do powstania kościuszkowskiego. Wśród jej sławnych wychowanków, którzy w daleką przyszłość poniosą chwałę tej uczelni, będą: Tadeusz Kościuszko, Julian Ursyn Niemcewicz, Jakub Jasiński, Józef Sowiński, Michał Sokolnicki, Karol Kniaziewicz.

Król sam wybierze miejsce jej usytuowania. Z ustanawiającym wyczuciem *genius loci* upatrzy Stanisław

August na ten cel posiadłość nieodległą od Zamku Królewskiego usytuowaną: duży, siedemnastowieczny pałac, zwany Kazimierzowskim. Od ostatniego właściciela, Józefa Aleksandra Sułkowskiego, odkupił go król za 1 200 000 własnych złotych i przekazał Korpusowi Kadetów. W ten sposób rycerska szkoła, która rozgości się tam i w sąsiadujących z pałacem pawilonach dawnych koszar saskich, stanie się prastadnią naukowego i żakowskiego życia stolicy, które przetrwa w tym miejscu do chwili obecnej, dziś już jako dostojny Uniwersytet Warszawski.

Program wychowania szkoły młodych szlachciców był, to oczywiste, rycerski z ducha, ale nowatorsko wprowadzający potrzebę rozumienia i poszanowania takich świeckich wartości, jak dobro ojczyzny, obowiązki wobec niej i wobec współrodaków. Formułował go *Katechizm Kadecki* — zbiór prostych pytań i jasnych odpowiedzi, osobiście przez księcia Adama Kazimierza, komendanta Szkoły ułożonych i wszystkim kadetom do obowiązkowego przyswojenia przekazywanych. Na pytanie, jaki powinien być kadet, *Katechizm* odpowiadał:

„Powinien mieć miłość, bojaźń Boga, i przywiązanie do religii przed oczyma; powinien ojczyznę swą kochać i jej dobro nade wszystko; i sposobić się do tego, aby się mógł zdalnie poświęcić na jej usługi; powinien być cnotliwy, pełen poszanowania dla zwierzchnych, dobroczynności i afektu dla równych, względu dla niższych”.

Program nauczania, również przez księcia komendanta z aprobatą królewską stworzony, szokował swój czas odmiennością i różnorodnością treści, które młodym umysłom wpoić zamierzano. Od pierwszego roku znajdowało się w nim poczesne miejsce dla języka ojczystego, historii polskiej i powszechnej, arytmetyki, rysunku,



Julian Ursyn Niemcewicz (1758—1841)

języka francuskiego i, oczywiście, wciąż powszechnie używanej łaciny. Co roku dorzucano nowe przedmioty: historię starożytną, język niemiecki (sześć godzin w tygodniu!), angielski, geografie, „dysputy syllogistyczne” (dziś zapewne nazywałoby się to nauką logicznego myślenia i wnioskowania), prawo cywilne i architekturę cywilną, a z upływem lat jeszcze naukę moralności, naukę o prawach natury, historię naturalną, fizykę, elementy administracji. Odrębnym torem bieгло przygotowanie wojskowe. Wykładano inżynierię wojskową z rysunkiem, sztukę fortyfikacji, taktykę. W tarasowo uprawianych ogrodach z tyłu Pałacu Kazimierzowskiego, na zboczach wisłanej skarpy, prowadzono ćwiczenia bojowe, przed pałacem zaś kadeckie oddziały godzinami wprawiały się w musztrę.

Obowiązkowo uczano *stricte* rycerskich specjalności: szermierki... oraz tańca. Elew był wszak człowiekiem „z towarzystwa”.

Uczniowie, wygodnie rozlokowani na drugim piętrze pałacu, wszystko, co do efektywnej nauki potrzebne, mieli pod ręką. Na pierwszym piętrze były klasy, w podziemiach — jadalnia i łazienki, na trzecim — biblioteka i gabinety naukowe. Pozostawiano im dużo czasu na naukę i wymagano, by uczyli się pilnie. Mogli też czytać, co chcieli, bez żadnych cenzorskich ograniczeń. „Rzecz szacowna — zanotował fakt ten anonimowy obserwator — w Szkole Rycerskiej (...) metrowie [nauczyciele] do swobodnego życia i umysłu chcąc przywieść i przyuczyć, najskrytszych zagranicznych do czytania dają

autorów”. W bibliotece, którą zorganizował książę Adam (król chciał dla potrzeb Szkoły zakupić sławną Bibliotekę Żańskich, ale biskup-fundator, Józef Andrzej, nie wyraził na to zgody), było 10 tysięcy tomów, a wśród nich — oprócz fachowej literatury wojskowej — dzieła klasyczne i najnowsze, historyczne, filozoficzne, literackie: Bayle’a, Hume’a, Woltera, Rousseau, Moliera, Boileau i Destouchesa. Julian Ursyn Niemcewicz, wspominając Szkołę po latach, zwierzy się, że pasja do czytania, tam w nim rozbudzona, nie odstępowała go przez całe życie. A przecież książki nie były jedynymi pomocami ofiarowywanymi uczniom. W tej samej bibliotece znajdował się bogaty wybór planów zagranicznych twierdz i drogie wóczas mapy. Za 1000 dukatów zakupił Czartoryski w Anglii do gabinetu fizycznego „maszynę planetarną, wyobrażającą system obrotu ciał niebieskich” według teorii Kopernika. Wiedzę o przyrodzie przybliżały zbiory roślin i minerałów, żywoty mitologicznych bogów i herosów — gipsowe odlewy ich postaci, a dzieje ojczyzny — historyczne malowidła Jana Piotra Norblina, zdobiące rekreacyjne sale szkoły. Zgodna z duchem epoki, nowoczesna metoda nauczania poglądowego, dystansująca dotychczas praktykowane metody werbalizmu i pamięciowego opanowywania wiedzy, w Szkole Rycerskiej niepodzielnie święciła triumfy.

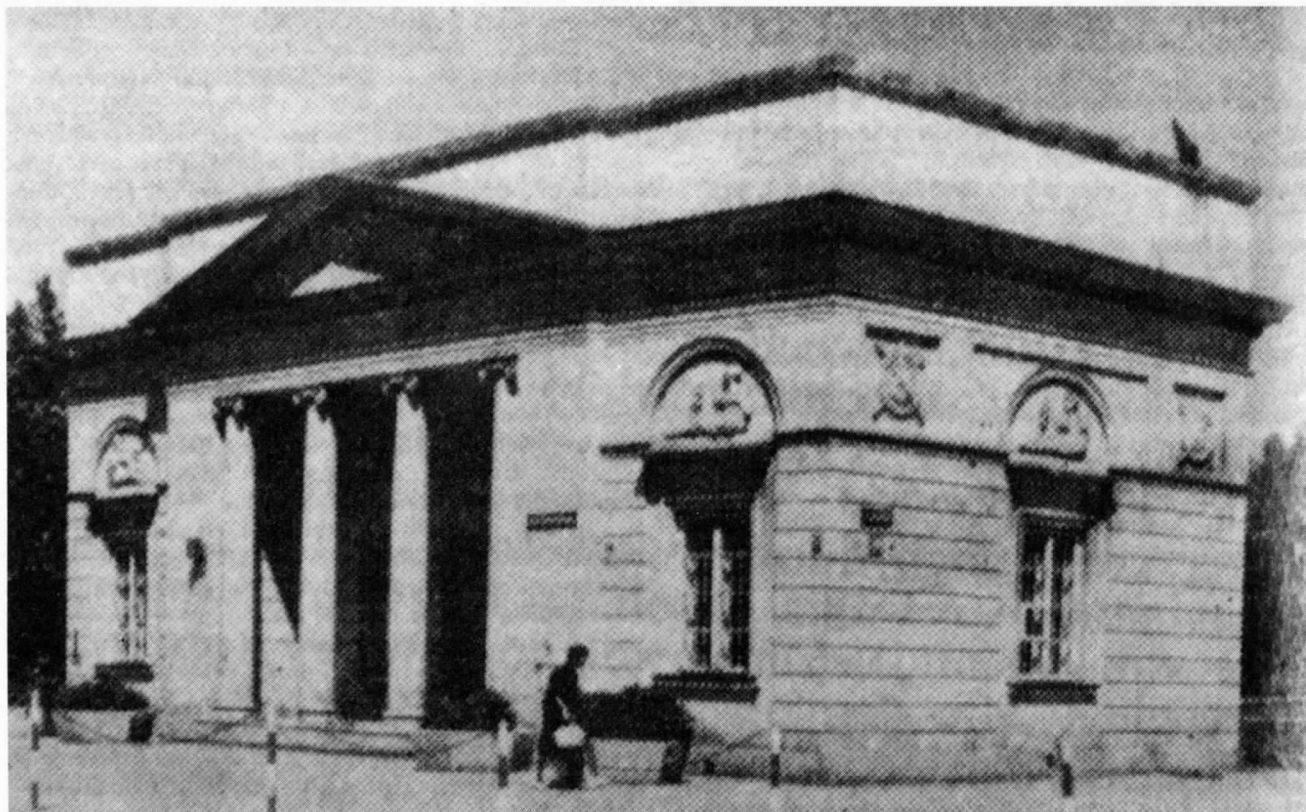
Nowością były też podręczniki. Z braku wzorców — głównie tłumaczone, przygotowywane były i wydawane przez Towarzystwo Literatów w Polsce Ustanowione dla Wydawania Najlepszych i Najpożyteczniejszych Krajowi Książek. Powstało ono równocześnie ze Szkołą, z inicjatywy jej komendanta. Drukowano je w pierwszej w Warszawie świeckiej drukarni Wawrzyńca Mitzlera de Kolof, kiedyś lekarza nadwornego Augusta III, założonej jeszcze w 1756 roku i robiącej nie najlepsze interesy na szlachetnej próbie wydawania polskich książek. Zamówienia Pałacu Kazimierzowskiego umocniły byt tej zasłużonej placówki drukarskiej. Rychło zresztą, bo w 1768 roku, z powodu narastających potrzeb Szkoły, odkupiono ją od właściciela i przejęto na wyłączność Korpusu Kadetów.

Nad prawidłowym przebiegiem procesu edukacyjnego czuwało w Szkole Rycerskiej starannie dobierane grono pedagogiczne. Nierzadko kandydatów na profesorów osobiście kwalifikował król. Podstawowym kryterium doboru były umiejętności pedagogiczne i to tak nadrzędnie, jako wymóg, traktowane, że — mimo zaleceń sejmu, by wychowawcami młodych Polaków byli tylko rodzimi katolicy i szlachcice — nie brakło w Szkole nauczycieli cudzoziemców, ludzi innych wyznań i — co szczególnie zdawać się mogło wstrząsające — mieszczan, którzy zresztą waleśnie do rozwoju uczelni się przyczynili. Ich pracy sprzyjała ogólna, kultywowana tu atmosfera oświeceniowej tolerancji i poszanowania praw jednostki (w tym właśnie zakładzie naukowym pioniersko zniesiono karę chłosty!), gwarantowana dodatkowo kuratelą Jego Królewskiej Mości. Król nie tylko hojnie Szkołę wspierał, ale i sam często w niej gościł, a także regularnie kadetów do Zamku zapraszał. Śledził ich postępy, osobiście zachęcał do pracy. Najlepiej też podobno czuli się w świątecznym kadeckim mundurze — granatowym,

z paśowymi wyłogami, do którego, jako zwierzchnik Korpusu, miał naturalne prawo. I przez całe swoje pełne trosk panowanie cieszył się tym bezsprzecznie własnego autorstwa dziełem: pierwszą polską szkołą, która dała krajowi znaczny zastęp młodych, światłych ludzi, ukształtowanych według wychowawczej wizji przez niego osobiście zarysowanej.

*Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe!
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe
Byle cię można wspomóc, byle wspierać
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.*

Ten codziennie uroczyście śpiewany *Hymn do miłości ojczyzny*, na specjalne zamówienia Stanisława Augusta napisany dla Szkoły Rycerskiej przez księcia oświeceniowych poetów — Ignacego Krasickiego, i wyryty złotymi literami na ścianie największej szkolnej sali, utrwał w sercach i umysłach podopiecznych królewskich nakaz dopełniania powinności, do jakich ich przygotowywano. Gruntował świadomość obowiązków wobec ojczyzny i narodu, wobec państwa i współobywateli. „Prawidła cnoty, honoru, miłości ojczyzny — wspominał Niemcewicz — te to z dzieciństwa wpojone wrażenia sprawiły, iż w trudnych później przygodach, w których się kraj nasz znajdował, rzadko który z kadetów zboczył z drogi cnoty i uczciwości, wielu wślawiło się odwagą, cnotą i najszlachetniejszym dobrej sprawie poświęceniem.”



W 1770 r. otoczono Warszawę i Pragę wałami i zabezpieczono wjazdy do miasta murowanymi domkami rogatkowymi. Na ilustracji rogatka na rogu ulic Zamoyskiego i Lubelskiej

Podstawowe znaczenie pierwszych reform

Dzieło oświeceniowej reformy państwa, podjęte przez Stanisława Augusta niezwłocznie po wstąpieniu na tron, powstawało w specyficznej atmosferze, którą król tworzył wokół siebie, i którą zarażał swe otoczenie. Pierwsze trzy lata jego panowania można by chyba określić jako „gorliwą, gospodarską krzątanie”, choć przyjęta — proporcjonalnie do „gospodarstwa” — ogólnokrajowa skala poczynań, budzi podziw rozmachem, zakresem i różnorodnością. Było bardzo wiele do zrobienia i niemal wszystko zaczynało jednocześnie. Przede wszystkim, z królewskim wsparciem i ponaganiem, wcielano w życie reformatorskie postanowienia majowego sejmu konwokacyjnego i grudniowego — koronacyjnego. Przezornie przez Czartoryskich obmyślane komisje — skarbowe i wojskowe — podjęły pracę. Miały teraz współrządzić kolegiąlnie, by ograniczyć jednoosobową władzę, zwykle samowolną i bezkarną, suwerennych dotychczas podskarbic i hetmanów, dożywotnio sprawujących swe urzędy. Na realizację tych działań król pocznie szukać środków. Zarządzi więc i przeprowadzi pierwszą od prawie stu lat lustrację dóbr królewskich, z których „kwarta”, czyli czwarta część dochodów winna być przeznaczana na potrzeby wojskowe. Lustracja wywoła niezadowolone starostów administrujących królewszczyznami, nienawykłych do kontroli, ale skarbowi i wojsku zbawczo podreperuje budżet. Umożliwi to w przyszłości cały ciąg korygujących posunięć organizacyjnych, które zdyscyplinują i unowocześnią skromną polską armię, choć nie zmieniają jej wątpliwej liczebności, narzuconej przed laty (na sejmie niemym) przez dbałych o słabość Rzeczypospolitej sąsiadów. Zmienione zostaną regulaminy poszczególnych formacji, zasady wyszkolenia, w pewnej części także wymieniona zostanie kadra oficerska. Dla dozbrojenia wojska i wzmocnienia obronności kraju, już w 1766 roku uruchomi się zniszczoną podczas wojen szwedzkich odlewnię dział. Zlokalizowana w centrum stolicy, na rogu Podwału i Wąskiego Dunaju, królewska ludwisarnia dostarczać będzie armat dla twierdzy w Kamieńcu Podolskim i do warszawskiego arsenału. I pracować będzie jeszcze podczas insurekcji kościuszkowskiej.

Perspektywę nowych dochodów zarysuje też zastąpienie dotychczasowych cel prywatnych jednym cłem generalnym, mającym, zgodnie z ustanowieniem sejmowym, obowiązywać jednakowo wszystkich, „począwszy od najjaśniejszego króla, aż do ostatniego obywatela i kupca”. To odważne posunięcie stwarzało realne możliwości ożywienia handlu i — choć wkrótce zostało

zablokowane przez króla pruskiego Fryderyka II, rozszerzonego groźbą wzmocnienia polskiego skarbu — cieszyło reformatorską determinacją. Przełamywało bowiem trzystuletni, jeszcze z czasów Jana Olbrachta wywodzący się przywilej szlachty, która na swoje potrzeby wwozić lub wywozić przez granicę mogła wszystko, nie opłacając się Rzeczypospolitej najmniejszym groszem. Ten grosz zresztą, marniejący z chwili na chwilę, też zostanie uzdrowiony. Polska, od lat stu nie bijąca w kraju monety, odziedziczyła po Sasach kompletnie rozregulowany system monetarny i zalany fałszywymi złotówkami rynek. „Rudych tyńfów” (płacił nimi za kalendarz szlachecko-prostak w *Chudym literacie* Naruszewicza), czyli monet o zmniejszonej zawartości srebra, oszukańczo zastąpionego miedzią, było w obrocie — jak obliczał Stanisław August — około 200 milionów. Produkował je Fryderyk II, z autentycznych stempli do wybijania polskich pieniędzy. Stemple te wpadły w pruskie ręce po zdobyciu przez Fryderyka II w wojnie siedmioletniej (1757—1763) Lipska, w którym sascy królowie utrzymywali mennicę. Teraz za fałszywe złotówki wielki Fryderyk wykupywał w Polsce towary, rujnując polski rynek i kraj. Stanisław August, przekazując rodzicielską posiadłość w Warszawie, przy ulicy Bielańskiej, na potrzeby polskiej mennicy, co rychlej ustanowił Komisję Menniczą i zobowiązał ją do jak najszybszego wypuszczenia nowego pieniądza. Przy okazji, z myślą nie tylko o monetarnych potrzebach, lecz i o rozwoju krajowego przemysłu w ogóle, powołana została wówczas Komisja Kruszcowa, a jej zadaniem było rozpoznanie krajowych możliwości rozszerzenia wydobywania i przetwórstwa rud.

Na nowy, 1766 rok, pierwsze srebrne, stanisławowskie monety znalazły się w obiegu.

Wcześniej jeszcze ruszyła zreformowana poczta. Królewski uniwersał z 18 grudnia 1764 roku stawiał przed nią zadanie na miarę nowoczesnego państwa: sprostanie wymogom współczesnej cywilizacji. Dla pożądanego sprawności komunikowania się w całym państwie, uniwersał nakazywał utworzenie sieci królewskich urzędów pocztowych, ustalenie szczegółowej taryfy opłat (dość wysokiej!), jednakowo obowiązującej wszystkich i zapewnienie bezpieczeństwa przewozu przesyłek i ludzi. Zobowiązywał do poszanowania tajemnicy korespondencji oraz do szybkiego i punktualnego wykonywania usług. Zalecał dbałość o warunki podróży. Rozbudowane więc zostaną trakty pocztowe; co 3—4 mile powstaną przy nich stacje, oferujące możliwości noclegu, wyżywienia i zmiany koni,

obsługujące fachowo i na europejskim poziomie. Stanisławowskiej poczcie klientów nie braknie, cudzoziemcy będą sobie polecać jej usługi. Przedsiębiorstwo oznaczone królewską cyfrą — rozkwitnie. Żyć z niego będą wygodnie pracownicy, znaczne dochody czerpać stąd będzie król.

Ożywienie gospodarcze poruszy handel i przemysł. Jeszcze w 1764 roku podejmuje się próbę ujednolicenia miar i wag, których dotychczasowa dowolność i nieprzebrana różnorodność często wręcz uniemożliwiała dokonywanie transakcji. „Nie miasta, każdy kupiec ma osobne miary, na które sfalszowane sprzedaje towary” — ubolewał Wacław Potocki jeszcze w XVIII wieku. Z akcyjnym udziałem królewskim (ale i... kupieckim) powołana zostanie w 1766 roku Kompania Manufaktur Welnianych, a w ślad za nią powstaną inne, wcale liczne inicjatywy przemysłowo-handlowe (Kompania Solna w 1783 roku, Społeczeństwo Fabryki Krajowej Płócienniej — w 1787) i przede wszystkim — niedługo potem — pierwsze państwowe zakłady przemysłowe: słynne manufaktury grodzieńskie, zarządzane przez podskarbiego Antoniego Tyzenhauza. Na Polesiu, w dobrach hetmana litewskiego Michała Kazimierza Ogińskiego, ruszy w 1767 roku budowa kanału (imienia hetmana-fundatora), pierwszej ważnej inwestycji wodnej, będącej dalekowzroczą próbą ratowania polskiego handlu zagranicznego, zagrożonego przez bezprawnie narzucone przez króla Prus Fryderyka II grabieżcze „cła kwidzyńskie”, pobierane w dolnym biegu Wisły, a wymuszane armatami wycelowanymi w polskie statki. Uniemożliwiał to w praktyce spławianie towarów do Gdańska, do Bałtyku. Kanał Ogińskiego, łącząc dorzecza Niemna i Dniepru, otworzyć miał drogę wodną do Morza Czarnego. Z podobną myślą — po

pierwszym rozbiórze, który całkowicie odjął Polsce Wisłę w jej dolnym biegu — w 1775 roku rozpoczną się prace przy kolejnym kanale, Królewskim, w celu połączenia z Morzem Czarnym wiślanego dorzecza. Ta droga jest wykorzystywana do dziś! Szkicować się też będzie plany połączeń Wisły z Niemnem, zrealizowane dopiero w następnym wieku jako Kanał Augustowski.

Cała Rzeczpospolita, zgodnie z gospodarskim zamyśłem reformatorów, których niejedną inicjatywę inspirował król, zwrócić się miała ku Morzu Czarnemu.

„Gospodarska krzątania” nie ominie miast. Ich stan trwożył od dawna. „Miasta, dla różnych przyczyn uciemiężenia i bezprawia, do ostatniego przychodzą upadku” — konstatowała uchwała sejmu konwokacyjnego. I sięgała po najpierwsze środki zaradcze. Znosiła w miastach jurydyki szlacheckie i duchowne, te podmiejskie lub nawet śródmiejskie osady, nie podlegające prawu miejskiemu i miejskiej skarbowości, a zamieszkałe przez konkurencyjnych rzemieślników, nie należących do cechów — produkujących taniej, gorzej, za to wspomagających podatkiem jedynie magnackiego czy duchownego właściciela osady. Uchwała nakazywała wszystkim właścicielom realności wspólnie ponosić miejskie obowiązki. Zapowiadała utworzenie odpowiednich komisji dobrego porządku, *Boni Ordinis*, które miałyby zająć się uzdrawianiem gospodarki miast. Ustalenie trybu ich działania odkładała jednak do kolejnego sejmiku...

Uprowadzając przyszłą parlamentarną decyzję, restrykt królewski z 1 czerwca 1765 roku powoływał taką komisję dla Warszawy, a pół roku potem — dla Lwowa. Jeszcze niejako na próbę, ale z jasnym celem doprowadzenia miast królewskich „do dawnego stanu i dobrego rządu”. W przyszłości większość głównych miast i woje-

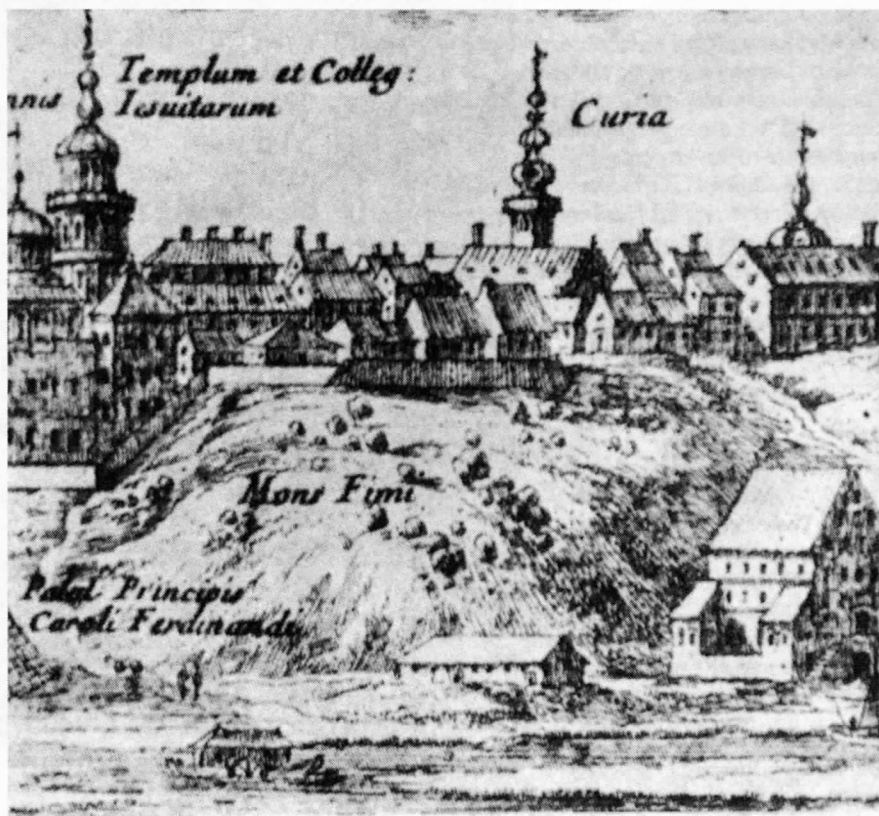


Awers i rewers talara koronnego z 1765 r.

wódtw otrzyma takie komisje. Będą badać stan prawny i, jeśli trzeba, „odmieniać dawne prawa miejskie, gdyby te na czas terażniejszy znalazły się mniej użyteczne”. Rozpatrzą przywileje w miastach, kontrolować będą gospodarkę finansową władz miejskich oraz stosunki panujące w handlu i rzemiośle (zabronią bicia czeladników!), rozstrzygać spory między mieszczanami i między nimi a magistratem. Komisje dobrego porządku stwierdzą niedobre porządki: bezprawie władz, nierzadkie przekupstwo rajców, szachrajstwa ławników, często ogólną nieumiejętność gospodarowania. Będą próbowały temu zaradzić. Sporo zrobią. Zinwentaryzują (w Warszawie) majątek miejski, uporządkują zabudowę, wzniosą nowe domy i opatrzą je numerami, pomyślą o komunikacji (lektyki, dorożki) i o zwiększeniu miejskich dochodów. Ustalą nazwy ulic i placów. Śladem Komisji Brukowej, powołanej w stolicy jeszcze przez marszałka Bielińskiego i działającej już ponad dwadzieścia lat, położą bruki, nakazą uprzątnięcie śmieci, oczyszczanie rynsztoków i oświetlenie znaczniejszych gmachów. Warszawa w 1782 roku, w myśl wskazań higieny, zakaże grzebania zmarłych w obrębie miasta i wyprowadzi swe cmentarze za rogatki. W myśl wskazań estetyki — a to pojęcie za Stanisława Augusta zyska mocno na znaczeniu — nowe ulice obsadzać się będą drzewami, a na skrawkach wolnej przestrzeni

zaleci się zakładanie kwiatnych ogrodów i zieleńców. Więźniowie, zatrudniani do koszenia miejskiej trawy, będą wynagradzani! I to całkiem przyzwoitą dniówką — 10 groszy.

Stanisławowskie komisje dobrego porządku — dziś oceniane — nie rozpalały, być może, naszej wyobraźni. Działając w epoce, w której nie brakowało bardziej fascynujących wydarzeń — zajmowały się prozaicznymi, przyziemnymi sprawami. W dodatku robiły nie tyle, ile mogły, bo, zdarzało się, pracowały wolno i leniwie, albo, co też bywało — w warunkach solidarnego oporu władz i użytkowników miast. W stolicy, na przykład, sprawił on, że nowatorska komisyjna ordynacja, proponująca połączenie miast Starej i Nowej Warszawy oraz nowoczesne warunki zarządzania i gospodarowania nimi — nie doczekała się nigdy zatwierdzenia. Jednakże — mozolnie poprawiając stan i wygląd królewskich miast — komisje dobrego porządku wykonały w XVIII wieku wielką cywilizacyjną pracę, a także osiągnęły jeszcze jeden, zapewne nieprzypadkowy efekt. Mianowicie, po latach lekceważenia i niedostrzegania problemu, zwróciły publiczną uwagę na położenie miast i mieszczan. Pobudziły ich ambicję samodzielności i odwagę upomnienia się o własny los. W przyszłości zaowocuje to samorządnymi mieszczańskimi inicjatywami gospodarczymi i politycz-



Rycina z 1656 r. przedstawiająca tzw. „górną gnojową”. To największe w Warszawie wysypisko nieczystości w 1774 r. obłożono darnią, ograniczając wywóz śmieci

nymi. Te z kolei, w czasie Sejmu Czteroletniego, doprowadzą do pierwszego w dziejach konstytucyjnego potwierdzenia mieszczańskich praw...

Ale to dopiero za ćwierć wieku. Na razie Warszawa, jak i w ogóle cały kraj, stają dopiero u progu przeobrażeń, tyle że stanisławowska „wiosna” rozkwita w przyspieszonym tempie, ogarniając swym ożywczym tchnieniem wszystkie obszary polskiego życia. Za granicą budzi się zainteresowanie tym odległym, gdzieś na rubieżach Europy leżącym krajem. O jego osobliwych zwyczajach i obyczajach, zadziwiającym ustroju, opowiadano dotychczas historie niemal bajeczne. Nowe wieści natomiast intrygują. Oto podobno tamtejszy nowo wybrany monarcha osobiście, z wielką atencją i niespodziewanym ceremoniałem witał — kogóż to? Jadącego z Berlina przez Warszawę do Petersburga Leonharda Eulera, szwajcarskiego matematyka, wielkiego uczonego, będącego jednym z najwyższych autorytetów naukowej myśli Oświecenia. Król zaszczylił go długą rozmową — czyżby o pionierskim stosowaniu Eulerowskich prac w technicznych dyscyplinach naukowych? W praktyce? I wielkimi obsypał go uprzejmościami. Oto podobno specjaliści wysłannicy tego samego monarchy w znakomitej londyńskiej firmie optycznej Dollond (istnieje do dziś!) zamawiają lunety i teleskopy dla projektowanego na królewskim zamku obserwatorium astronomicznego. Inni zaś emisariusze, w Rzymie, u tamtejszych antykwariuszy poszukują „udat-

nych starożytności” do przyozdobienia stołecznej rezydencji władcy. W Paryżu zaś werbują aktorów i śpiewaków, bo król teatr publiczny otwiera...

Rosnące tym dziwnym krajem zaciekawienie sprawi, że nad Wisłę zjeżdżać się zaczęła wcale liczni goście, najróżniejszymi interesami powodowani. Nie zbraknie wśród nich wytwornych dyplomatów, chętnie tu udających się ze służbową misją; czcigodnych uczonych, których król kusić będzie angażami do tutejszych placówek naukowych; rozmaitych specjalistów i fachowców, obiecujących sobie wiele po pracy w kraju, w którym zamierzano wiele, a wszelkich profesjonalistów było mało. Niektórzy z nich, zafascynowani zetknięciem się z tak „egzotycznym” krajem, odnotują swoje wrażenia. Dziś ich zobiektywizowane i zdystansowane relacje, pamiętniki, diariusze i listy są pasjonującym świadectwem niezmienności cudzoziemskiej opinii o żywotności naszych narodowych cech, skłonności i zachowań. Świadectwem — przynajmniej — także trochę niepokojącym żywą aktualnością poczynionych wówczas spostrzeżeń i wyciąganych na ich podstawie wniosków...

Sfruną też do Polski inni obcoplemienicy, mniej może „przeintelektualizowani”, za to poszukujący mocniejszych wrażeń w kraju, w którym, jak usłyszeli, „coś się zaczęło dziać”. Będą tu robić błyskawiczne kariery, zbijać i tracić fortuny, podbijać serca dam, często awanturować się, pojedynkować (to wtedy przyjedzie do Warszawy



Kordegarda Marszałkowska przy ulicy Miodowej w Warszawie, w XVIII w. pełniła rolę aresztu, odwachu, a zarazem więzienia śledczego

słynny Casanova), oszukiwać, wieszczyc, zaklinać. Ta spora czereda niebieskich ptaków i obieżyświatów, które obecności w pejzażu stanisławowskiej Polski pominąć nie można, bywała cokolwiek ambarasująca; wymieszana ze znaczną grupą „statecznych” cudzoziemców, sprowadzanych przez króla na specjalne zaproszenie — urozmaicała jednakże i uatrakcyjniła dość monotonne do tej pory nadwiślańskie życie.

Przybyłszy zaciekawiali. Przywozili ze sobą swoje obyczaje, nawyki, mody. Przekazywali odmienne doświadczenie i obce wzory. I zjawiali się coraz liczniej. Zwłaszcza najgłośniejsi z nich — artyści. Z ich to bowiem cudzoziemską pomocą (jako że krajowych sił w tej dziedzinie życia brakowało zupełnie), król rozpoczynał najsławniejsze zapewne dokonania swego życia, które określone by dziś zostały ogólnie jako działalność kulturalna. Podejmował ją — podobnie jak działalność polityczną i gospodarczą — za reformatorskimi zamierzeniami, i jak tamte podporządkowywał wyższemu celom.

Znane powszechnie królewskie umiłowanie sztuki i piękna nie oznaczało dla tego do głębi oświeconego człowieka wyłącznie indywidualnej „konsumpcji”, zaspokajającej najszlachetniejsze nawet i najbardziej wyrafinowane potrzeby jednostki. Sam nie mógł nie otaczać się sztuką. Z piękna, jak z powietrza, czerpał siły do życia i pracy. Obcowanie z nim było jego codzienną potrzebą, jak ten pożywny bulion wygotowany z różnorakich mięs, którym każdego ranka posilał się przed trudami całego dnia. Jednak jako wychowanek swej epoki, wyniesiony na najwyższe stanowisko w państwie, z największego własnego umiłowania czynił służbę publiczną. Widział w sztuce narzędzie realizacji przedsięwziętych zamierzeń, czynnik pomocny w kształtowaniu nowoczesnego narodu, wychowaniu ludzi nowej doby, którzy uwrażliwieni na piękno i odczuwający potrzebę kontaktu ze sztuką — zyskają nowe wzorce moralne i obyczajowe, i nowe horyzonty myślowe. A tak uformowani — staną się siłą rozumiejącą i wspomagającą dzieło przemian wiodących do umocnienia państwa. I zachowają na zawsze wartości uniwersalne, które sztuka uświadamia. Poniosą je w przyszłość...

Z tą myślą Stanisław August podejmie wiele inicjatyw, które, skuteczne nad wyraz, rozsławiają jego imię po świecie i przydadzą mu lepszej części jego doczesnej i pośmiertnej sławy. Te poczynania, traktowane łącznie, określane będą mianem mecenatu królewskiego. Przysporzy on państwu i prywatnej kasie monarchy wielu kosztów, jednakże Stanisław August, nigdy skąpy, choć zawsze zadłużony, na wydatki ze sztuką, oświatą i nauką związane ni razu nie pożałuje grosza. Będzie zamawiał obrazy i utwory sceniczne, ody i posągi, przekłady dzieł literackich, prace naukowe i projekty wysmakowanych budowli; będzie kształcił młodych, utalentowanych ludzi, wspierał akademie naukowe i wynalazki — wszystko po to, by upowszechniając „potrzeby wyższe”, zmieniać charakter i umysły rodaków, a w perspektywie — pozyskiwać stronników dla swego reformatorskiego programu. Będzie płacił i będzie się „wtrącał”; z artystami i architektami długo spierał się o ostateczny kształt powstających na jego życzenie dzieł, z uczonymi akademikami dyskutował

treści programowe ich szkół i prac, pisarzom i dramatopisarzom podpowiadał wychowawcze w wymowie fabuły i wątki. Jego staranne wykształcenie sprawi, że prowadząc działania tak różnorodne, ustrzeże się znaczniejszej omyłki. Wyrafinowany smak i monarsza ambicja narzuca wysoki poziom realizacji tych zamiarów, a inteligencja i takt pomogą dobrać odpowiednie metody ich urzeczywistniania. Późniejsi krytycy jego dzieła miewali czasem za złe królowi tę zbytnią, ich zdaniem, rozległość zainteresowań, przesadzającą o powierzchowności poczynania, smak nie dość profesjonalny, eklektyzm, ba! nawet dyktantstwo. Odpowiadano im, by przyjrzeni się całości jego dokonań — drodze, jaką w dziedzinie oświaty, kultury i nauki przebyła za czasów jego panowania cała Polska. I jaki duchowy oręż na idące groźne czasy zyskała...

Ta wszechstronna działalność kulturalno-cywilizacyjna ostatniego polskiego króla toczyła się często w warunkach nieprzyjaznej i groźnej presji politycznej, jakiej nieprzerwanie właściwie poddawany był jego kraj, ulegający naciskom zewnętrznym i wewnętrznym. Stanisław August nie zawsze potrafił, czasem zaś wręcz nie mógł im się przeciwstawić. Miał świadomość ryzyka i pułapek gry politycznej, którą nieprzerwanie prowadził w imieniu kraju. Miał też świadomość, że nie zawsze zdobywał się na właściwą w tej grze postawę. Ale tam, gdzie mógł działać zgodnie z własnymi przekonaniami, gdzie miał większą swobodę manewru, i gdy wierzył w sens tej pracy — czynił swą powinność, dając z siebie, co najlepsze.

Wiedział, co czyni.

Dla swoich nowatorskich działań starał się jednak opinię publiczną od początku. „Narzędzia propagandowe”, upowszechniające jego koncepcję przebudowy Rzeczypospolitej, wynalazł niezwłocznie i wołą władcy wprawił je w ruch. 3 grudnia 1764 roku wydał decyzję o stworzeniu Sceny Narodowej, a publiczne uzasadnianie konieczności wprowadzenia tej — i wielu innych — innowacji umyślił powierzyć utworzonemu celowo, wyspecjalizowanemu organowi prasowemu. U swego... kapelana i najbliższego współpracownika, który niebawem okaże się największą literacką gwiazdą epoki — księdza Ignacego Krasickiego, i u wszechstronnie utalentowanego kuzyna — Adama Kazimierza Czartoryskiego zamówił plan wydawniczy tak zamierzonego czasopisma.

„Monitor”

Dnia 21 marca 1765 roku pojawił się więc „Monitor” — „usługi narodowej zaczynając osnowę” — jak zaznaczał we wstępnym artykule ksiądz-redaktor. Włączając się tym w dzieło, które — dodawał dalej Krasicki — „Polskę z niewoli nierządu i nieświadomości wyprowadzi, dopuszczając temu Rządcy, który i powszechnego dobra pragnie, i to, co pragnie, wykonać może”.

„Monitor” był periodykiem adresowanym do szlacheckiego czytelnika, ściśle w swej treści zaprogramowanym jako trybuna propagandowa królewskich reform. Ukazywał się początkowo raz w tygodniu, a od siódmego

numeru — dwa razy, i na czterech kartkach niewielkiego formatu poruszał problemy z wszystkich niemal dziedzin życia. Wytrwale objaśniał, komentował, chwalił i zalecał zjawiska pożądane. Krytycznie dostrzegał i ganił — szkodził. Moralizował. Wychowywał.

Pomysł oparto na wzorze angielskiego „Spectatora”, który uchodził za modelowy wówczas w Europie przykład „czasopisma moralnego”, co znaczyło: obyczajowo-kulturalnego. „Monitor” dorzuci do tego modelu obfitość treści politycznych i, jako najważniejsze polskie pismo doby Oświecenia, przez 21 lat swego istnienia będzie starał utrzymywać tę wysoką rangę. Z powodzeniem, jak się w późniejszych latach okaże, zmiennym. Wiodącej jednakże roli „Monitora” w przeobrażaniu tradycyjnej, szlacheckiej mentalności Polaków — przecenić niepodobna; zwłaszcza w latach 1765–1767, czyli w okresie najdynamiczniej rozwijanych inicjatyw reformatorskich i bardzo ścisłej współpracy redakcyjnego zespołu autorskiego ze Stanisławem Augustem. W tym czasie pismo z pasją zaangażuje się w najaktualniejszą problematykę, usiłując wpływać na dokonujące się wówczas w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym przemiany, inicjując dyskusje, kierując opinią publiczną w celu urabiania jej dla poczyniń reformatorskiego obozu królewskiego. Zorganizuje wręcz — w związku z tym — propagandową, dobrze dziś znaną, bo niejednokrotnie w prasie uprawianą, „kampanię na rzecz...”. Włączyły się w nią najlepsze publicystyczne pióra; sam Ignacy Krasicki, pierwszy redaktor czasopisma, był autorem około 240 artykułów. Pisywali, obok wspomnianego już księcia Adama, także: Feliks Łoyko, dyplomata i historyk, autor większości materiałów o treści politycznej, dalej — Stanisław Konarski oraz Tadeusz Lipski, komediopisarz i później dyrektor narodowego teatru, wreszcie Franciszek Bohomolec, który od połowy 1766 roku przejmie po Krasickim stanowisko redaktora. W nowoczesnych, krótkich formach publicystycznych: esaju, listu, felietonu, reportażu, ostrzyli tu swe pióra koryfeusze życia literackiego. W ważnej sprawie teatru wypowiadał się niejaki Teatralski, pod którym to pseudonimem badacze domyślają się samego Stanisława Augusta.

Motywy przewodnim większości kampanijnych wystąpień była w „Monitorze” walka z dziedzictwem sarmatyzmu i zakorzenionymi szkodliwymi nawykami. Bohaterem wielu artykułów, felietonów i powiastek był wymagany IMc Pan Sarmacki, szlachcic, wyposażony przez „Monitorowych” autorów w komplet negatywnych cech, ślepo przywiązany do tradycji, fanatycznie religijny, nietolerancyjny i w swej pysze przekonany o wyższości stanu szlacheckiego. Z naturą warcholą i pijaką, z ciemnotą i nieokrzesaniem, z uwielbieniem złotej szlacheckiej wolności i jej drogocennej żrenicy — *liberum veto* oraz z atawistyczną niechęcią do zagranicznych „nowinek”, przeciwstawiany bywał „bohaterowi pozytywnemu, obywatelowi nowoczesnemu, oświeconemu, tolerancyjnemu, wstrzemięźliwemu w obyczajach i nałogach, noszącemu się z francuska”. To szlachetne w swej intencji, dydaktyczne skonstruowanie, kreślone często zbyt ostrym konturem, miało niekiedy skutek odwrotny do zamierzonego. Zniechęcało do natrętnie

rekomendowanej sprawy, a nawet przysparzało jej adwersarzy, oburzonych tym „pismackim” porywaniem się na sprawdzone, uznane przez ojców i dziadów wartości.

„Monitor” istotnie szokował odmiennością spojrzenia na kwestie, które dotychczas nie niepokoiły uspionych błogo umysłów. Sporo uwagi poświęcał polskiej gospodarce, i na przykład publikując dane statystyczne dotyczące wielkości polskiej produkcji, eksportu i importu — kazał zastanawiać się nad dystansem dzielącym zacofaną Rzeczpospolitą od nowoczesnego, uprzemysłowionego świata. Publicyści gospodarczy „Monitora” (a parał się tą problematyką chętnie sam Krasicki) podstaw pomyślności Polski upatrywali w „handlu i industrii”. Wiązało się to z wyrażaną otwarcie aprobatą dla działalności w Polsce cudzoziemców, którzy niechby chcieli tu lokować swe kapitały, jak i z przychylnością okazywaną mieszczanom, kupcom i rzemieślnikom, których pracę i uczciwość „Monitor” gotów był uznać za równy urodzeniu znak szlachectwa. „Łokieć, warsztat i pług — pierwszej szlachetności naszej instrumenta” — wyrokował ksiądz-redaktor, senatorskiego przecieży rodu.

Podobnie nowatorskie poglądy znaleźć można było w artykułach poruszających kwestię chłopską. Dostrzeżenie tej problematyki i przyjęcie poglądu, iż chłop jest wartościowym członkiem społeczeństwa — producentem bogactw narodowych, a polepszenie jego doli — obowiązkiem nowoczesnego społeczeństwa, to pionierskie osiągnięcie „Monitora”. „W różnych krajach nadana świeżo wolność rolnikom, a tym samym uznająca ich za ludzi,



Franciszek Bohomolec (1720–1784)

oddala hold chwalębny i wieczny *humanitati*” (ludzkości) — zasiewał w 1766 roku rewolucyjną myśl Krasicki i, trzeba przyznać, została ona podchwyciona, choć na razie przez nielicznych tylko. W tym samym roku w litewskich Szczorsach nadał wolność osobistą swym chłopom Joachim Chreptowicz, idąc w ślady pierwszego realizatora tej myśli — Andrzeja Zamoyskiego.

Zakres „Monitorowej” kampanii w kwestiach obyczajowo-moralnych nieźle obrazują wybrane „tytuły” głośniejszych artykułów (nadane później, pismo bowiem nie opatrywało tytułami swych publikacji): *O przymiotach sędziego i sprawiedliwości*; *Skarga na modną żonę*; *O pijanstwie*; *O niegodziwości paszkwilantów*; *O obyczajnym zachowaniu się w podróży*; *Przeciw napawaniu dzieci lękiem*. Nie zabrakło nawet publikacji poświęconych pielęgnacji niemowląt i sławiących pożytki z karmienia piersią.

Kampanijna ofensywa nie ominęła też problemów oświaty, wychowania i kultury. Tematyka oświatowa i wychowawcza zdominuje zwłaszcza drugi, dynamiczny okres w życiu pisma, lata 1773—1775, kiedy „Monitor” (pod redakcją Wawrzyńca Mitzlera de Kolof), żywo zajmie się propagowaniem programu powstałej w 1773 roku Komisji Edukacji Narodowej. Kultura, stały przedmiot troski czasopisma, również będzie postrzegana jako środek wiodący do reformatorskiego celu. Z tą myślą będzie się tu dyskutować o estetyce architektury, o malarstwie i muzyce, a także propagować pożytki z czytelnictwa, dezawuuując równocześnie zawartość podstawowych i ulubionych lektur szlacheckich — kalendarzy. Wykpiwając grafomańskie wierszyki księdza Baki, zachwalać się będzie piękno ojczyźnego języka, zalecając gruntowne jego poznanie i dbałość o czystość rodzimej mowy. Ostro ganić niewolniczo i bezmyślnie naśladowaną francuszczyznę, bo choć niesie z sobą pożytki, i to nie byle jakie, niedobre jest „przyłgnięcie do cudzoziemskiej takowe, które własnego kraju wzdargę ciągnie niegodziwą. Doznaje tego na sobie nasz język polski, niegdyś obfity, dziś wzgardzony i w ostatnim obarczeniu”.

Specjalnej pochwały doczeka się teatr. W cyklu artykułów drukowanych w latach 1765—1766 ich autor, Ignacy Krasicki, zapowiadał rychłe otwarcie Teatru Narodowego i precyzował zadania, jakie winne być mu postawione. Uznany za „szkołę świata” i „szkołę dobrych obyczajów”, teatr powinien stać się jedną jeszcze instytucją wychowawczą. W komediach i tragediach w nim wystawianych cnota winna zawsze triumfować nad występkiem, a samo dzieło sceniczne spełniać klasyczne wymogi poprawności — dochowywać zasady trzech jedności: czasu, miejsca i akcji. Z kolei z tym właśnie dogmatem polemizował, powołując się na Szekspira, Teatralski, tłumacząc, że nie należy utożsamiać akcji teatralnej z rzeczywistością, a przeciwnie — należy uznać prawa i zasady scenicznej fikcji. Przypominają się w tym miejscu londyńskie zwierzenia wojewodzica Poniatowskiego: „im więcej poznawałem sztuk Szekspira, tym mniej zaczynałem wierzyć w tę zasadę...”.

„Monitorowe” rozważania nad teatrem, założeniami programowymi oczekiwanej sceny narodowej i jej profi-

lem repertuarowym, były zapewne publicystycznym wyrazem narad Krasickiego i Czartoryskiego, którym Stanisław August zlecił merytoryczne przygotowanie i tego reformatorskiego *novum*. Po tej dziedzinie sztuki sam król i jego zwolennicy spodziewali się szczególnie wiele.

Teatr

Teatralna *terra* wcale nie była w ówczesnej Polsce *incognita*. Przeciwnie nawet, tradycje miała żywe i bogate, choć raczej może elitarne i środowiskowe. Działyły przecież w Warszawie teatry szkolne — pijarski, u księdza Konarskiego w jego Kolegium (*Nobilium*), i jezuicki, w Kolegium księdza Bohomolca. W magnackich rezydencjach — u Branickich w Białymstoku, u Radziwiłłów w Nieświeżu czy w Słonimiu, u Ogińskich — istniały zamknięte dworskie sceny, uprzyjemniające wielkopańskie życie. Barwną i długą tradycją chlubił się w Polsce prywatny teatr królewski: uciecha i upodobanie monarchów, smakowane jeszcze przez Jagiellonów, docenione przez Wazów — zwłaszcza przez Władysława IV, który ulegał mu ze znanstwem.

Poziom artystyczny teatr królewski zawsze był wysoki. Bywały w Warszawie doskonale zespoły włoskie, francuskie i angielskie, prezentujące różnorodne widowiska: od włoskiej komedii *dell'arte*, przez balety i opery, po francuskie tragedie Corneille’a i Racine’a, dzieła Moliera i Beaumarchais’go. Następcy Władysława IV — Jan Kazimierz i Jan III Sobieski — ambitnie naśladowali swego poprzednika. Wielkimi amatorami tej sztuki byli też sascy Wettynowie. Za ich rządów, które wszak nie wslawiły się jako okres rozkwitu kultury polskiej — w teatrze panowało wielkie ożywienie. Przebudowywano lub budowano kolejne sale teatralne; między Dreznem a Warszawą kursowały doskonale zagraniczne zespoły dramatyczne, operowe i komediowe, z najnowszymi utworami scenicznymi najsławniejszych autorów. Przysięgli teatroman — August III, choć z rzadka zaglądający do Warszawy, w roku 1748 wybuduje w Ogródzie Saskim pierwszy w Polsce wyłącznie na potrzeby teatru przeznaczony budynek, tak zwaną Operalnię (*Operhauz*). Trzypiętrowa widownia miała łożę dla króla i ambasadorów, na parterze cztery pierwsze rzędy zarezerwowane *pour la noblesse*, a siedem dalszych *pour la bourgeoisie*. Niestety, *bourgeoisie*, czyli mieszczenie warszawscy, nie dość tłumnie na teatralne imprezy królewskie się stawiali, choć repertuar bywał znakomity, wykonawcy świetni, wejście darmowe, a „dworscy sascy w czasie oper, widząc mijających *Operhauz*, usilnie upraszali, aby chcieli wstąpić i powiększyć liczbę widzów”. Bariere stanowił przede wszystkim obcy język cudzoziemskich wykonawców, koronowanemu właścicielowi teatru i jego otoczeniu nie stwarzający przeszkód, nieznamy jednak większości. Nie rozumiał tego dobry król-meloman, który każdy spektakl pilnie oglądał, siedząc nieporuszenie w swej łoży po trzy i więcej godzin, na przedstawieniach wciąż tej samej opery, bowiem, jak tłumaczy Kitowicz, „dla wielkiego kosztu w odmianie” grywano ten sam utwór i przez pół roku. „I gdy widział operhauzu nie napełnionego spektato-

rem — ciągnął dalej książdź-pamiętnikarz — dziwował się niegustowi polskiemu: iż się nie ubiega do widzenia rzeczy tak wielce delectującej oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, której widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nie żałuje”.

Rozumiał to natomiast aż nadto przejrzyście jego następcą, Stanisław August. Ten wszakże, nim pomyśli o własnej, dworskiej scenie (w istocie o czterech własnych, bo tyle ich w przyszłości stworzy), 3 grudnia 1764 roku podpisze kontrakt z przybyłym z Wiednia Włochem, Karolem Tomatisem, zlecający mu zorganizowanie i poprowadzenie stałego teatru publicznego, ze scenami: polską (narodową), francuską i włoską.

Sam „ojciec teatru polskiego” — Wojciech Bogusławski — przyznawał Stanisławowi Augustowi niekwestionowane autorstwo i inspirację tego dzieła: „Był [Stanisław August] pierwszym początkowego ojczystej sceny zaprowadzenia twórcą. Wstąpiwszy na tron, zaraz o założenie tej najdzielniejszej obyczajów szkoły staranny, zalecił zebrać ludzi, których by do sztuki scenicznej ukształcić można było”.

Sowiecie przy tym monarcha sygnął groszem — odnotujmy to dla wierności faktom, ale zwróćmy uwagę raczej na istotę sprawy. „Najdzielniejsza obyczajów szkoła” — o to właśnie chodziło. Teatr publiczny był w owym czasie najnośniejszym chyba i najdonioślejszym „narzędziem propagandowym”. Sala saskiej Operalни, którą król specjalnie na potrzeby sceny narodowej wynajął, mogła jednorazowo pomieścić prawie 600 osób. Ani książki, ani gazety tego czasu nie mogły swymi nakładami konkurować z siłą teatru w dziele upowszechniania kultury. A poza tym w teatrze nie trzeba umieć czytać...

Teatr Narodowy wystawiać miał polskie sztuki, dotyczące polskich problemów i przez polskich aktorów prezentowane. Ponieważ zrazu było o to niezwykle trudno, więc przewidziane w tym samym kontrakcie sceny francuska i włoska — ruszyły wcześniej. Skompletowanie tych zespołów nie sprawiło Tomatisowi większych trudności. Włosi przybyli z Wiednia, a wcześniej jeszcze Francuzi z Paryża, sprowadzeni przez umyślnie w królewskich interesach tam posłanego obrotowego kupca warszawskiego — Kazimierza Czempinińskiego. Im to właśnie przypadł zaszczyt inauguracji warszawskiego teatru publicznego w dniu imienin króla — 8 maja 1765 roku. Na uruchomienie sceny polskiej trzeba było jeszcze czekać pół roku — wyszukać i wykształcić aktorów, zamówić odpowiednią sztukę. Z niemałym trudem, z grona dawnych uczniów Kolegium jezuickiego, występujących na tamtejszej scenie szkolnej, dobrawszy paru mężczyzn z awanturniczą przeszłością (będzie wśród nich eks-woźny sądowy i eks-więzień, a popularny później odtwórca ról zapalczywych Sarmatów, Karol Świerżawski) i nakłoniwszy kilka dam znanych z dość swobodnego stylu życia, skompletowano wreszcie pierwszą narodową trupę. Społeczny status aktora w owym czasie tak niski, że niełatwo było namówić do tego zajęcia „przyzwoite” osoby. Słynącą z urody żonę warszawskiego adwokata Franciszka Barssa namawiał do artystycznej kariery sam książę Kazimierz Poniatowski, brat królewski, a zarazem jeden z najbardziej uwodzicielskich mężczyzn owego



Karol Boromeusz Świerżawski

czasu. I wszystko bezskutecznie! Choć z drugiej strony nakłoniono do tego dwie szlachianki, Antoninę Prusinską i Wiktorię Leszczyńską, i panie te połknęły bakcyła teatru. Przedtem jednak cały zespół przez kilka miesięcy poznawał tajniki profesji, szkolony przez utalentowanego aktorsko amatora... samego księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, także wielkiego miłośnika teatralnej sztuki. Pod okiem specjalnie zaangażowanego baletmistrza ćwiczono ukłony i umiejętność poruszania się „przyzwoicie i z gracją”.

Inauguracyjną sztukę król zamówił u Józefa Bielawskiego, „fligel-adiutanta buławy wielkiej litewskiej”, miernego, niestety, poety, który wszakże w zamian za stanowisko reżysera w polskim teatrze zobowiązywał się dostarczać za darmo... sześć sztuk rocznie! Zaczepnawszy pomysł z Moliera, stworzył Bielawski komedijkę na zadany przez króla temat, zatytułowaną *Natreci*. Choć słaba artystycznie i kiepska językowo — posłusznie realizowała narzuconą myśl — walki z sarmatyzmem — przez ośmieszanie cech postaci noszących jakże wymowne nazwiska Wietrznikowski i Trzpiotowski. Była mizernym dziełkiem — co, oczywiście, dostrzeżono — ale w atmosferze powszechnego entuzjazmu dla historycznego wydarzenia okazała się wielkim sukcesem. 19 listopada 1765 roku, w dniu premiery i inauguracji sceny narodowej, w saskiej Operalни tłoczyła się *toute Varsovie*.

Publiczność z życzliwością przyjmowała sztukę, a z entuzjazmem urodę występujących pań. Król — pełen łaskowości — podarował autorowi tabakierkę. *Natreci* utrzymywali się w repertuarze polskiego teatru do wiosny 1767 roku, to jest do czasu pierwszego zamknięcia narodowej sceny.

Udaną inauguracją zdopingowany, Teatr Narodowy dawał premierę za premierą. Po Bielawskim, który szybko stracił udzielony mu na wyrost kredyt zaufania, kolejnych komedii specjalnie dla sceny polskiej pisanych dostarczać zaczął Franciszek Bohomolec. Współpracownik „Monitora” i już wprawny autor dwudziestu pięciu komedijek, napisanych dla szkolnego teatru w jezuickim Kolegium, uczynił to na prośbę Stanisława Augusta. Wzory zaczerpnął z Destouchesa, francuskiego kontynuatora Moliera, i osiągnął prawdziwą biegłość w adaptowaniu, naśladowaniu, a i twórczym przetwarzaniu dydaktyczno-moralizatorskich wątków ich cenionych przez XVIII wiek utworów. 4 marca 1766 roku odbyła się premiera pierwszej z dwunastu wówczas powstałych „komedii Bohomolecowych”, bo tak przyjęło się je nazywać. Było to *Małżeństwo z kalendarza*, zacny w swej wychowawczej wymowie utwór, w którym tradycyjalista Staruszkiewicz nie pozwala córce poślubić szlachetnego cudzoziemca, choć ten swym majątkiem gotów łagodzić nasze krajowe niedostatki. Popiera zaś rodzimego chowu zalotnika, mimo że już samo jego nazwisko — Marnotrawski — ostrzegłoby najmniej przezornego. Można przypuszczać, że ta budująca moralnie historia, jak i wiele jej podobnych, cokolwiek nużyła widzów, dla urozmaicenia więc dawano w połowie przedstawienia bardzo przez publiczność lubiane balety. Po drugim akcie *Małżeństwa z kalendarza* — zanotował sławny Casanova, który oglądał premierę z królewskiej loży — „taniec Włoszki z Piemontu, Casacci, tak przypadł królowi do gustu, że Jego Królewska Mość klaskał w dłonie, co było oznaką osobliwej łaski”.

Takich wychowawczych utworów było więcej, odnotujmy więc, że w późniejszych, w *Panu dobrym* i w *Nadgrodzie cnoty*, Bohomolec ambitnie pogłębiać będzie wątki. Dostrzeże problematykę społeczną — w jego sztukach pojawiają się mieszczenie i chłopi. Mniejsze natomiast sukcesy odniesie Tadeusz Lipski, drugi z kolei dyrektor Teatru Narodowego, którego komedie nie spodobały się zbytnio... dworowi. Następni wszakże autorzy dramatyczni będą musieli na swe premiery poczekać jakiś czas, bowiem w marcu 1767 roku teatr publiczny zamknie swoje podwoje. Cynicznie okradany przez swego organizatora (Tomatisa) stanie się dla kasy królewskiej nadmiernym obciążeniem. Rozpierzchną się artyści. Najlepszych aktorów sceny włoskiej zaprosi do swego dworskiego zespołu hetman Branicki. Francuska trupa przez rok jeszcze przetrwa — na utrzymaniu ambasadora Repnina. Z polskiej — ponownego otwarcia narodowej sceny, za siedem lat, doczeka tylko Karol Świerżawski. Trzeba będzie wówczas zaczynać niemal od nowa. Pomyśleć o nowym pomieszczeniu dla teatru, bowiem drewniana ruina saskiej Operalni przetrwa tylko do 1772 roku. Do wykorzystania pozostaną doświadczenia, a także osobliwe teatralne akty „kodyfikacyjne”, wypracowane w pierwszym okresie istnienia teatru publicznego: sporządzony przez Lipskiego *Regulament dla aktorów i aktorek polskich*, ustalający pioniersko zakres zawodowych obowiązków i uprawnień komedianckiej braci, połączony z rejestrem i wymiarem środków represyjnych (kar pieniężnych albo aresztu) stosowanych wobec niesubordy-



Pierwszy polski afisz teatralny — „Natręci” Józefa Bielawskiego

nowanych często artystów. Warto pokazać, jak dyskryminująco i niesprawiedliwie w stosunku do dam był on pomyślany. Jeden z paragrafów *Regulamentu* ustanawiał: „Kto by się ważył hardo odpowiadać lub kontradycować w czym swoim przełożonym podczas repetycji, będzie wzięty pod areszt pod przepadkiem pół pensji miesięcznej, aktorce zaś wytracona będzie pensja miesięczna”. Pozostanie również — opracowany z inicjatywy nieocenionego Adama Kazimierza Czartoryskiego — *Kalendarz Teatrowy*, czyli podręcznik teatralnych manier, objaśniający publiczności zasady zachowania się podczas spektaklu, sposobu ubierania się (broń Boże wysokie kapelusze!), wyrażania aprobaty lub niezadowolenia z oglądanego przedstawienia, właściwego traktowania aktorów. O takich subtelnościach publiczność stołeczna, dotychczas mało z teatrem obyta, niewielkie miała pojęcie.

Pozostało też niewygasłe i wciąż inspirujące wspomnienie triumfu i nadziei, jakie wśród entuzjastów przebudowy kraju obudziła pierwsza premiera polskiej sceny. Przypomnijmy, co w dzień po niej pisały „Wiadomości Warszawskie”: „...pod szczęśliwym panowaniem Stanisława Augusta nastał w naszej ojczyźnie czas, kiedy — dla powszechnego oświecenia i podźwignięcia narodu — sztuki i nauki były cenione i popierane, znalazły tu swą siedzibę i protekcję, były pielęgnowane i nagradzane, i czyniono wszystko, aby pobudzić do naśladowania, dla wyniesienia ich na wyższy poziom. I nie nasi następcy dopiero, ale jeszcze my sami, za łaską niebios, które dały nam za króla Stanisława Augusta, dożyjemy tego, że Polska pod względem znaczenia, siły, porządku, prawodawstwa, policji, skarbu, ekonomii, handlu, przemysłu i rzemiosła, a także nauk i sztuk, dobrego gustu i obyczajów, nie będzie ustępować żadnemu krajowi, a nawet niektóre przeważyszy”.

Pierwsze ostrzeżenie

Wydarzenia polityczne, które wkrótce po tej chwili upojenia nastąpiły, zrodziły się z przebiegłej chęci udaremnienia takich nadziei. Przyniosły, zdaniem wielu dziś je oceniających, pierwszą poważną zapowiedź nieuchronnej klęski rekonstruującego się kraju. Zdaniem innych — stały się jej bezpośrednią przyczyną.

Kultura, konsekwentnie upowszechniana, stwarzała szanse narodowego przetrwania. Choć przyjęcie takiego, ledwie osłownego środka, przy dolegliwościach znamionujących poważne zagrożenie, nie zawsze oceniane bywa wysoko, to pełnej świadomości w odwołaniu się Stanisława Augusta do tego remedium nie kwestionuje nikt.

Przypomnijmy jednakże, jakie były te dolegliwości, które potrzebę zastosowania remedium wywołały...

W latach kiedy „Familia” Czartoryskich przystępowała do swych pierwszych zabiegów o wzmocnienie ustroju Rzeczypospolitej, suwerenność państwa polskiego była już niemal mitem. Od czasu elekcji Augusta II, Wettyna narzuconego Polakom przez rosyjskie i saskie wojska, sejmy polskie albo przeprowadzały te posunięcia, które zyskały przyzwolenie Rosji (od roku 1717 gwarantujące pełnoprawnie, i na życzenie Polaków, nienaruszalność ustroju Rzeczypospolitej), albo — zrywane — po prostu nie dochodziły do skutku. W pierwszych latach panowania Stanisława Augusta udało się wszakże przeprowadzić pewne reformy, uchwalone przez sejmy obradujące pod wężem konfederacji, a więc nie podlegające destrukcyjnemu *liberum veto*. Ambitne plany „Familii” i króla zaczęły wydawać pierwsze owoce. Dla jednych pożywne, dla innych zupełnie niestrawne. I tym samym wywołały wewnętrzne i zewnętrzne sprzeczności.

Choć wybrany jednomyślnie na króla (prawo polskie w zasadzie nie dopuszczało innej możliwości), Stanisław August nie cieszył się sympatią większości swych wyborców. Wielu z nich do końca jego panowania nie potrafiło zapomnieć, iż osadzony został na tronie przez obcą władczynię. Szczególną niechęć budził u magnatów, którzy pamiętali, iż był urodzenia mniej od nich świętnego i uboższy, a więc „lepszym od siebie” zagroził drogę do korony. Wrogów, pragnących zrzucić go z tronu i żadnych odwetu na kuzynach wspierających go, a teraz triumfalnie wprowadzających nowe, nienawistne porządki — było aż nadto.

Z zewnątrz zmiany zachodzące w Polsce obserwowano z nie mniejszym niepokojem. Wzmocnienie polityczne i ekonomiczne, jakie mogłoby dokonać się w wyniku reform, a i ofensywa oświatowa i kulturalna nowego władcy — wszystko to oznaczało, że Rzeczpospolita, dotąd posłuszna i powolna swym potężnym sąsiadom, ma

szansę dźwignąć się z upadku, a więc wyzwolić spod dławiącej zależności. W interesie ościennych mocarstw leżało, by pozostała bezwładna i bezrządna. Przeciwdziałanie jej reformom było dla nich nakazem chwili.

Rosyjsko-pruska intryga, jaką państwa te uknuły wokół sejmu 1766 roku, by powstrzymać proces usamodzielniania się Polski, doprowadziła do rozwiązania — na żądanie starszszlacheckich opozycjonistów — konfederacji chroniącej sejmowe obrady przed zerwaniem, a datującej się jeszcze z czasów sejmu konwokacyjnego. Oznaczało to przywrócenie *liberum veto*, które szansę przegłosowania przygotowanych przez obóz królewski projektów ustaw skarbowych i wojskowych zniweczyło skutecznie. Drugie posunięcie było równie mistrzowskie, co perfidne. Niezwykle na owe czasy żądanie Katarzyny II, przedstawione przez jej ambasadora Repnina — politycznego równouprawnienia innowierców, dysydentów (protestantów) i dyzunitów (prawosławnych), w kraju, w którym panującą religią był katolicyzm — skłóciło wszystkich. Przeciw królowi, który za cenę zgody Rosji na zniesienie *liberum veto* gotów był do pewnych ustępstw w tym względzie, opowiedzieli się wszyscy poza jego najbliższą rodziną i podskarbin Tyzenhauzem. Nawet wujowie Czartoryscy. Ponieważ sejm 1766 roku nie podjął żadnych decyzji co do równouprawnienia innowierców, armia rosyjska wkroczyła do Polski, oficjalnie — w ich obronie. Trzy sprowokowane konfederacje: w Toruniu (dysydenci domagający się swych praw), w Słucku (dyzunicy — to samo) i w Radomiu (ultratolicy w obronie panującej wiary i przeciw królowi), zmusiły następny sejm (1767—1768) do uznania tych żądań. Dokonano tego w sposób szczególnie arogancki i zuchwały. Na rozkaz brutalnie panoszącego się ambasadora Repnina, jego funkcjonariusze aresztowali nietykalnych polskich posłów, gwałcąc suwerenność sejmu. Czterech najgorętszych orędowników wolności szlacheckich i najodważniejszych obrońców świętej i jedynej wiary — posła Seweryna Rzewuskiego i senatorów: biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka, biskupa Józefa Jędrzeja Załuskiego (zasłużonego fundatora Biblioteki) i hetmana polnego koronnego Wacława Rzewuskiego — porwano i wywieziono w głąb Rosji, gdzie spędzili długie pięć lat... Gwałt ten miał dalekie, bo aż do podolskiego Baru i kolejnej konfederacji sięgające konsekwencje. Na razie wszakże, obwiniając Stanisława Augusta za sprzyjanie Repninowskiemu knowaniom, tak zastraszonej sejm, dla zabezpieczenia kraju przeciwko „machinacjom króla”, poddał ustrój Rzeczypospolitej i jego kardynalne prawa, będące ostoją złotej szlacheckiej wolności — gwarancji

Katarzyny II. Jej dozorowi i kontroli. Na własne, przez brać szlachecką wyrażone życzenie!

Cywilizowana Europa raz jeszcze nie będzie mogła pojąć paradoksu zapadających w Rzeczypospolitej politycznych decyzji. Tym mniej rozumiałych, że owocujących natychmiast... zorganizowanym oporem przeciw podejmowanym właśnie ustaleniom. W obronie zagrożonej wolności i wiary, jeszcze przed końcem sejmowych obrad, zostanie zawiązana w Barze na Podolu konfederacja zbrojnej szlachty... I przeciw Katarzynie, i przeciw królowi!

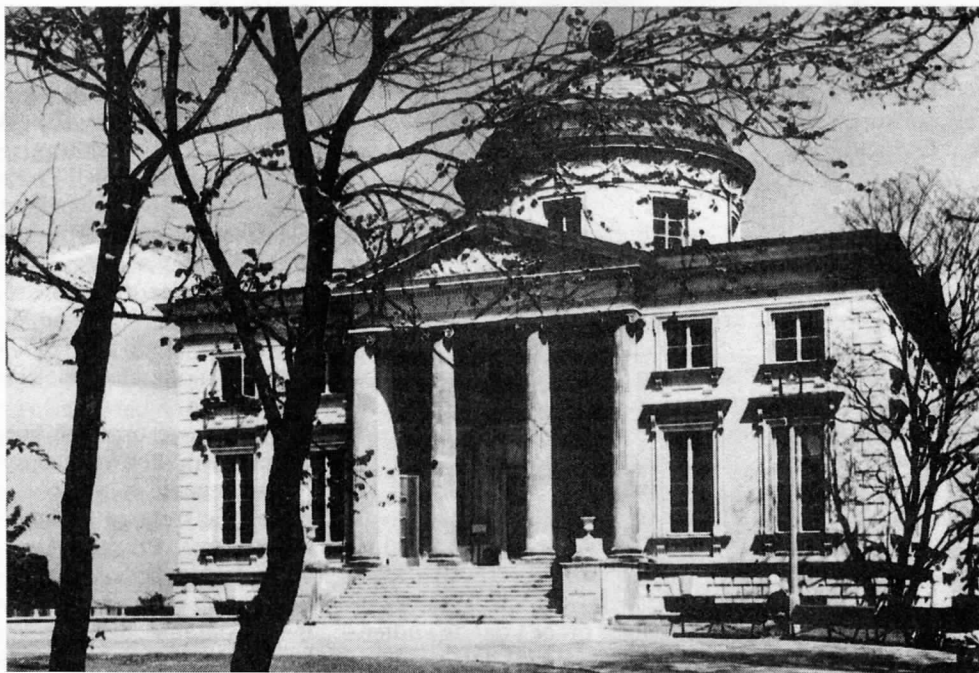
Kłęska sejmów 1766 i 1767—1768 roku zdawała się wieścić załamanie dynamicznie rozwijanych reform. Rozmach królewski zostanie skutecznie zahamowany, choć sam proces jeszcze nie unicestwiony. Król zrozumie i na całe życie zapamięta tę dotkliwą naukę, że to nie jego wysiłki, umiejętności organizacyjne i potrzeby kraju, ale stopień rosyjskiej tolerancji wobec polskich dążeń reformatorskich wyznaczać będzie zakres odnowicielskich poczynań władcy Rzeczypospolitej w jego własnym państwie.

Wyciągnie z tego wnioski. Dla niego skończył się tylko pierwszy etap dzieła przebudowy. Od tej pory działać będzie ostrożniej, ale w tym samym duchu. Małymi krokami, jednak nadal konsekwentnie. W miarę możliwości podejmować będzie następne, dające się zrealizować zadania. Z nie pozbawioną gorącością świadomością, że żniwo zbierze kto inny — będzie siał. Będzie robił swoje. Nie powstrzyma go w tym nawet trwająca cztery lata, rujnująca kraj barska wojna domowa i jej dramatyczne, rozbiorowe konsekwencje.

W takich okolicznościach muzy, zdawałoby się, powinny cichnąć i pierzchać w popłochu. Ale stało się inaczej...



Dominik Merlini (1730—1797), architekt i budowniczy królewski



Pałac Królikarnia, zrealizowany w latach 1786—1789 wg projektu Dominika Merliniego (stan sprzed 1030 r.)

Król i Zamek...

Ukształtowana przez dziejowy mit wiedza-niewiedza podsuwa nam wciąż, mimo licznych prób przełamania tego stereotypu, popularny wizerunek Stanisława Augusta jako wykwinutego światowca, człowieka lekkomyślnego i słabego charakteru, zainteresowanego wyłącznie urokami życia. Spośród wielu nęcących jego powabów, król miał wyróżniać damy i sztuki piękne, z nimi i dla nich z największym upodobaniem marnotrawiąc czas i, o zgrozo, pieniądze.

Tymczasem, niezależnie od niepodważalnych zasług dla rodzimej obyczajowości, wiążących się z narzucanym przez króla, jako obowiązujący, „nowym stylem” właśnie w obejściu z damami (niejeden zdumiony Sarmata dowiadywał się wówczas po raz pierwszy w życiu, że można traktować panie inaczej niż tylko ze swojską, po praojcach wziętą prząsnością), współcześni, obserwujący go z bliska i osądzający — choć nie zawsze mu życzliwi — zaświadczać na ogół zgodnie, że Stanisław August pędził życie niezwykle pracowite i usystematyzowane. Wstawał o ósmej i zaczynał dzień od modlitwy. Potem szedł do barometru i termometru, popatrzyć jaka będzie pogoda. Filiżanka posilnego bulionu stanowiła śniadanie. Po niej następowała poranna toaleta. W garderobie, przyległej do sypialni, cesało króla dwóch — dla zaoszczędzenia czasu — „fryzjerów”. Było co fryzować: tupet (peruka), harcap (warkocz) i pukle „we dwa rzędy, po obu stronach jeden nad drugim, to jest dwanaście wszystkich”. By jeszcze mniej czasu tracić — królewski lektor, zwykle ksiądz, czytał wtedy na głos gazety („król trzymał je we wszystkich językach, nawet angielskie”) i inne doniesienia z kraju i ze świata. Ubrany, najczęściej w ulubiony mundur kadecki, i osypany wonnym pudrem, doskonale już poinformowany o nowościach dnia, Stanisław August przechodził do swego gabinetu pracy „dla dawania posłuchań”. Uzyskanie królewskiej audiencji nie było sprawą skomplikowaną. „Szambelan od służby wpuszczał porządkiem, jak się kto zapisał”. Monarcha przyjmował wszystkich, rozmawiał długo, uprzejmie i wyczerpująco, a raz ujrzanego petenta zapamiętywał i rozpoznawał bez błędu.

Około jedenastej zwykł był wyjeżdżać z Zamku „na przewietrzenie”. W karecie towarzyszył mu adiutant, zwykle generał Komarzewski, a obok — czterej ułani na koniach oraz dwaj paziowie. Po próbie porwania króla przez konfederatów barskich obstawę wzmocniono. Powrót z przejażdżki oznaczał dalszą pracę i dalsze audiencje, robocze narady z doradcami królewskimi, urzędni-

kami dworskimi, pracownikami Zamku. Od 1775 roku — dwa razy w tygodniu, od dwunastej do drugiej po południu — odbywał rządowe posiedzenia Rady Nieustającej, które i po obiedzie wznawiał, często przeciągając do wieczora, gdy sprawy nagliły. Po obiedzie („jadał raz tylko na dzień o godzinie 4 z południa” — twierdził Kitowicz) wypoczywał krótko i wracał do „posłuchań”, narad, konsultacji ze swymi urzędnikami i artystami, naradzając się do późna. Gdy zdarzyła się w ciągu dnia wolna chwila, król spędzał ją chętnie na... majsterkowaniu. „Uczył się dawniej tokarstwa i dla ruchu i zabawy toczył najwięcej bombonierki, które kobietom ofiarował”. Wieczór wypełniały koncerty, przedstawienia w zamkowym teatrze, bale (częstsze w pierwszych latach panowania) albo „wizyty w mieście”, na które lubił przyjmować zaproszenia. Przed położeniem się przywoływał raz jeszcze księdza-lektora „dla poczytania dzieł z własnej biblioteki, dość wybornej i obszernej” i wreszcie następowało sześć godzin snu, nie więcej, z przykazem dla wiernego kamerdynera Ryxa, by budził, jeśli król nadto się roześci.

Monarsze życie upływało na Zamku w Warszawie. Dla tej wówczas skromnej — jeszcze przez Wazów zagospodarowanej, ale przez następnych władców nie kochanej — rezydencji okazało się to wielce pomyslną okolicznością.

Gdy się do niego wprowadzał — Zamek Królewski (jak zauważył Jerzy Lileyko) „pozostawał zaniedbany, a wiele pokoi świeciło pustymi ścianami”. Dwaj ostatni królowie, Sasi, woleli Dreźnie niż Warszawę, a i tam na swe potrzeby własny pałac zbudowali. Waleczny król Jan III ukochał „wiejski” Wilanów, a Michała Korybuta sprawy wojny z Turcją trzymały we Lwowie. Panowanie Jana Kazimierza w ogóle toczyło się pod znakiem wojen, które odciągały króla od Warszawy. Można więc powiedzieć, że w chwili gdy rządy obejmował Stanisław August, siedziba monarchów polskich od ponad wieku nie miała gospodarza.

W trosce o godne koronowanego władcy pomieszkowanie, sejm konwokacyjny nakazał odbudowę Zamku i powiększenie go, stosownie do potrzeb rezydencji mającej pełnić trojakie funkcje: mieszkalne, reprezentacyjne i urzędowe. Przyznane na ten cel fundusze pozwoliły rozpocząć prace. Powierzono je wybitnemu saskiemu budowniczemu, architektowi Rzeczypospolitej — Jakubowi Fontanie. Przyszły gospodarz jednakże, mając gust kształcony w Paryżu i największe do francuskiego smaku

zaufanie, pomyśli niebawem o wspomżeniu prac Fontany francuską myślą architektoniczną. Przedtem zaś wyprawi na zakupy do Paryża wspomnianego już Kazimierza Czempinińskiego, z długą listą zamówień na przedmioty, którymi dekorować będzie zamkowe wnętrza. O uprzejme pokierowanie jego poczynaniami poprosi Madame Geoffrin, swą, jak się już rzekło, wielką przyjaciółkę, która z ochotą (choć wcale nie bezinteresownie!) wypełniać będzie rolę królewskiej doradczyni.

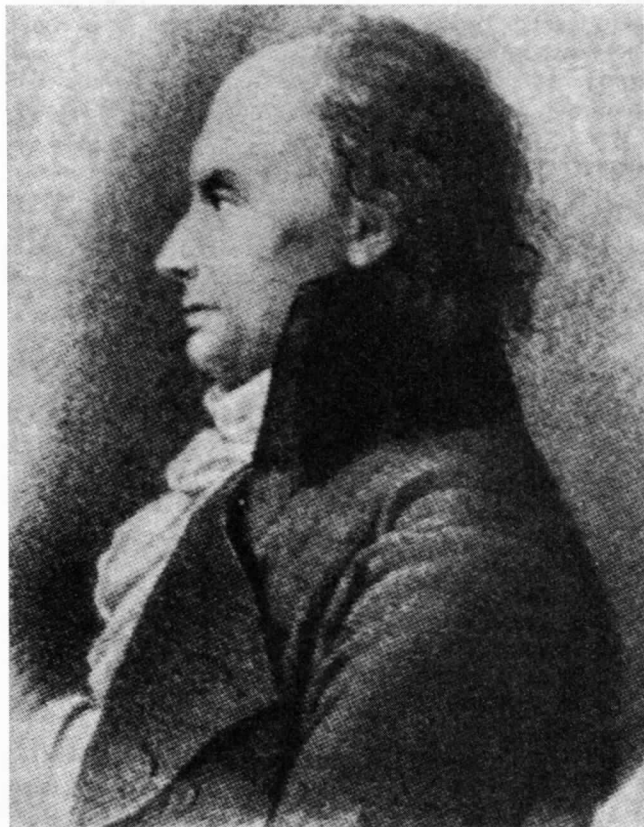
Jeszcze przed koronacją nadchodzić zaczęły z Paryża i Lyonu, drogą morską przez Gdańsk, kosztowne tkaniny na obicia zamkowych ścian, wykwintne meble od najmodniejszych paryskich wytwórców, lustra, świeczniki, wazy, zegary. W sierpniu 1765 roku wydobyto ze skarbcza dwadzieścia jeden drogocennych arrasów Zygmunta Augusta (wawelskich), wykupionych z zastawu gdańskiego jeszcze za Augusta II, a teraz mających dekorować pierwsze wnętrza Rzeczypospolitej. Król zamierzał przekształcić Zamek w imponującą siedzibę monarszą, która jednocześnie dawałaby godne pomieszczenie dostojnym instancjom ustawodawczym: Sejmowi i Senatowi. Nie szczędził więc trudów i kosztów, dbając o najwyższy poziom artystycznego wyrazu swych zamierzeń. Zamek Królewski w Warszawie, przetworzony według bardzo szczegółowych, wręcz drobiazgowych, osobiście przez Stanisława Augusta czynionych wskazówek, stanie się wymownym i najpierw rzucającym się w oczy świadectwem mecenatu kulturalnego monarchy. Surowe dotychczas wnętrza zamkowe przekształcone zostaną w rezydencję państwową godną swego przeznaczenia, narzucającą określony styl bycia i życia. Stanowiąc będą rzeczywiste dzieło sztuki wysokiego lotu, wzór wykwintnego smaku, zmuszający do podziwu i zachęcający do — *toutes proportions gardées* — naśladownictwa.

Król osobiście „programował” treść ideową i artystyczną kolejno urządzanych pomieszczeń. Ustalał tematykę projektowanych malowideł, posągom symbolizującym określoną myśl nadawał rysy konkretnych osobistości, aprobował mozaiki podłogowe, decydował nawet o rodzaju drewna używanego do snycerskich dekoracji. Zamkowe sale przekształcał w architektoniczno-malarskie i rzeźbiarskie, można by rzec, eseje historyczno-filozoficzno-moralne wyrażające królewską wizję polskich dziejów, mającą przetrwać pokolenia. I tak reprezentacyjny Gabinet Marmurowy (tu odbywały się między innymi słynne obiady czwartkowe), przebudowywany najwcześniej, w latach 1768—1771, w okresie wielkiego wewnętrznego zamętu politycznego, dedykowany pamięci królów polskich, po których obecny władca przejął dziedzictwo, był gloryfikacją monarchicznej przeszłości Polski. W różnobarwną marmurową okładzinę Gabinetu wprawiono dwadzieścia jeden podobizn koronowanych poprzedników Stanisława Augusta, pędzla jego ulubionego malarza Marcella Bacciarellego. Nad kominkiem, na głównym miejscu, zawieszono najświetniejszy dziś chyba z wizerunków króla — ogromny portret w stroju koronacyjnym. Kompozycja całości wyrażać miała oświeceniowy stosunek do dziejów ojczystych. W galerii koronowanych sterników polskiej państwowości nie umieszczono niektórych (pięciu) z nich, ale nie zabrakło w tym

poczcie i takich, których rządy nie przysporzyły krajowi pomyślności. W zamiśle ostatniego władcy Rzeczypospolitej miało to prowokować do refleksji nad przyczynami zmiennych kolei narodowego losu.

Pokój Audiencjonalny Stary, czyli dawna Sala Trojnowa, zaprojektowana przez Dominika Merliniego, głosiła chwałę Stanisława Augusta. Portrety rodziców króla informowały przybyłych, komu zasiadający na tronie zawdzięcza właściwe mu cnoty. *Męstwo, Sprawiedliwość, Wiarę i Mądrość*, symboliczne dzieła Bacciarellego, umieszczono w czterech owalnych supraportach. Rzeźbione w marmurze podobizny monarchów darzonych przez Stanisława Augusta szczególną czcią, czyli popiersia Katarzyny II — carycy Rosji i Jana III Sobieskiego, ustawione obok tronu, a Elżbiety I — królowej Anglii i Henryka IV — króla Francji naprzeciwko nich, pod oknami, stanowiły budujące i godne otoczenie polskiego władcy. Rozpięty nad salą plafon Bacciarellego przedstawiał *Rozkwit sztuk, nauk, rolnictwa i handlu pod panowaniem Pokoju*.

Klarownej koncepcji poddany zostanie wystrój Przedpokoju Senatorskiego w Apartamencie Króla, czyli Sali Canaletta (od nazwiska włoskiego malarza, którego obrazy zdobiły jej ściany). Najwyżsi dygnitarze państwowi i kościelni gromadzili się tam, by powitać najdostojniejszych gości odwiedzających Warszawę. Dwadzieścia dwa



Jean Pierre Norblin de la Gourdain (1745—1830), malarz, rysownik, grafik

malowidła włoskiego mistrza przedstawiały elekcję Stanisława Augusta na Woli oraz widoki wybranych ulic, pałaców, kościołów i ogrodów Warszawy i Wilanowa. Staranny dobór uwiecznionych na królewskie zamówienie obiektów służyć miał symbolicznemu wyobrażeniu Rzeczypospolitej, której elekcyjny władca możnego rodu kontynuuje dzieło swych poprzedników w państwie ładu prawnego, rezydując w mieście wspierającym go w jego poczynaniach.

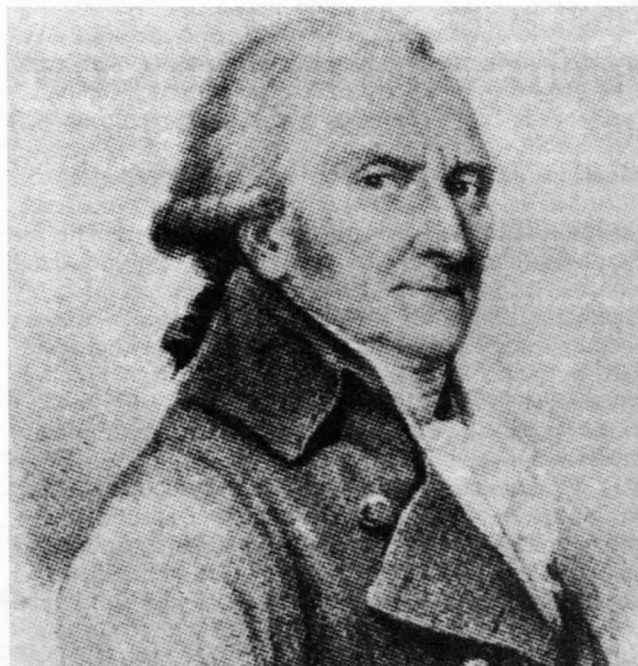
Patriotyczną wymową imponowała Sala Rycerska, czyli Przedpokój Senatorski w Apartamencie Wielkim, w owym czasie zwany Salą Narodową. Zaprogramowana jako panteon narodowej sławy, miała swą atmosferą wzmacniać rodzimego ducha. Sławiła czyny służące narodowemu dobru i wskazywała postacie, których godne naśladowania cnoty oddziaływały budującą na kondycję narodu. Sześć wielkich płócien Bacciarellego pokrywających ściany Sali Rycerskiej przedstawiało godne i sławne wydarzenia z ojczytych dziejów: *Odsiecz wiedeńską*, *Pokój chocimski*, *Unię lubelską*, *Hold pruski* oraz *Kazimierza Wielkiego przyjmującego chłopów* i *Nadanie przywilejów Akademii Krakowskiej przez Władysława Jagiełłę*. Galerię malarskich i rzeźbiarskich portretów zasłużonych Polaków tworzył starannie wyselekcjonowany poczet trzydziestu dwóch wodzów, polityków, biskupów, uczonych i poetów, od Kopernika i Hozjusza, Jana Zamoyskiego i Jerzego Ossolińskiego, przez Jana Chodkiewicza i Stefana Czarnieckiego, po Konarskiego i Naruszewicza. Łaciński napis na fryzie okalającym Salę głosił: „Hufiec ten przedstawia tych, co walcząc w obronie ojczyzny odnosili rany, oraz kapłanów, których życie było czyste i pobożne, dalej tych, którzy przemawiali godnie do Apollina, albo uszlachetnili życie przez sztukę, i tych, którzy upamiętnili się w ciągu swego pobytu na ziemi”.

Ideowym przesłaniem tej sali było wzbudzenie nadziei, że chwalebne cnoty dawnych herosów odrodzą się w nowym pokoleniu Polaków, a nowo zbudowany ład oparty będzie na patriotyzmie obywateli, jedności narodowej i mądrości władzy państwowej, szanowanej przez naród.

...i artyści

Dwudziestoletnia praca nad przebudową Zamku Warszawskiego była rezultatem działania monarchy — inspiratora oraz wielkiego zespołu artystów — wykonawców zamówień gospodarza. Jak przy żadnym przedem władcy, powstało wtedy liczne środowisko artystyczne, złożone z malarzy, rzeźbiarzy, architektów, często związanych z królem długoletnią współpracą i na trwale zapisanych w dziejach polskiej sztuki. Zbierał ich król po całej Europie za pośrednictwem swych agentów artystycznych i doradców; potrafił narzucić im subordynowany udział w realizacji swoich wielkich planów i skutecznie pokierować twórczą, a równocześnie celową i efektywną pracą tego zbiorowiska bujnych indywidualności. Byli wśród nich artyści tej miary, co Marcello Bacciarelli — nadworny malarz i generalny dyrektor budowy królew-

skich, najpracowitszy chyba malarz w epoce Stanisława Augusta. Włoch, darzony przez króla wielką przyjaźnią, osiadły w Warszawie, nobilitowany i spolonizowany. Dalej — także Włoch, na stałe osiedlony w Polsce — Bernardo Bellotto, zwany Canalettem, sławny malarz Warszawy, autor pejzażów miejskich, stanowiących swoistą dokumentację ikonograficzną stolicy. Był też Ludwik Marteau, malujący pastelami Francuz, portrecista, przybyły jeszcze w czasach saskich, autor galerii dwudziestu portretów uczestników obiadów czwartkowych, umieszczonej w sali przyległej do Gabinetu Marmurowego oraz licznych wizerunków osobistości z najwyższych sfer, wychowawca młodych pokoleń malarzy, także do końca życia związany z Warszawą. Artystyczne grono uzupełniali: Jean Pillement, niezbyt długo przebywający nad Wisłą francuski malarz-dekorator, wsławiony subtelnymi kompozycjami roślinnymi; świetny malarz scen rodzajowych, Francuz — Jan Piotr Norblin, który w swych rysunkach i obrazach utrwalił życie codzienne wszystkich sfer epoki, a w roku 1794 wsławił się tym, że podczas insurekcji kościuszkowskiej, wyposażony przez prezydenta Warszawy w specjalny paszport, objeżdżał powstańcze pola i obozowiska, niemal po reportersku uwieczniając piórkami i pędzlem sceny wojenne. Dołączył do nich Niemiec, Jan Bogumił Plesch, malarz i dekorator wnętrz na Zamku i w Łazienkach, wsławiony także swymi scenografiami dla teatru królewskiego. Wiedzeni ciekawością, „wpadli na chwilę” (na cztery lata) na gościnny polskich dwór znani włoscy portreciści: Jan Lampi i Józef Grassi. Pozostawili po sobie znaczną liczbę cennych portretów oświeceniowych osobistości. Wpadła też przejazdem — w drodze do Petersburga — sławna



Jan Bogumił Plesch (1732—1817), malarz nadworny króla Stanisława Augusta, twórca dekoracji, malowideł ściennych i scenografii w teatrze W. Bogusławskiego



Projekt kurtyny J. B. Pierscha

Francuzka, Elisabeth Vigée-Lebrun, portrecistka polowy arystokratycznej Europy (w przyszłości autorka dwóch pięknych wizerunków Stanisława Augusta, namalowanych w Petersburgu w ostatnich miesiącach życia króla). Zatrzymał się także w Warszawie na jakiś czas Vincenzo Brenna, pracujący głównie w rezydencjach magnackich, bowiem królewskich zamówień, mimo starań, nie dostał. Dopiero w Petersburgu mógł usłużyć polskiemu monarsze — już po jego śmierci, projektując wspólną oprawę królewskiego pogrzebu: *castrum doloris* (kaplicę żałobną) w Pałacu Marmurowym oraz katafalk i cały uroczysty wystrój pogrzebowy kościoła Świętej Katarzyny.

Długie lata pracowali w Warszawie rzeźbiarze: André Le Brun, Francuz, kierownik zamkowej pracowni rzeźbiarskiej — Skulptorni, Franciszek Pinck, Austriak i Jakub Monaldi, Włoch, z licznym gronem współrodaków. Królewskie Łazienki i Zamek wciąż potrzebowały ich dzieł, więc w Skulptorni nie ustawał dźwięk rzeźbiarskich młotków. Architekci wreszcie: odziedziczony jeszcze po Augustie III, sława i autorytet, architekt Rzeczypospolitej Jakub Fontana; także Jan Chrystian Kamsetzer, ulubiony królewski twórca zamkowych wnętrz; dalej Dominik Merlini, autor Łazienek i Jabłonny, budowniczy królewski i po śmierci Fontany architekt Rzeczypospolitej; Efraim Schreger, stypendysta Stanisława Augusta i wzięty projektant wielu dworskich i mieszczańskich budowli oraz Szymon Bogumił Zug, ceniony realizator licznych magnackich rezydencji i główny mistrz sztuki projektowania ogrodów — dopełniali artystycznego grona. To zrazu wyłącznie cudzoziemskie towarzystwo z biegiem lat poszerzy się o artystów krajowych, wyszukanych przez Stanisława Augusta wśród utalentowanej młodzieży i wykształconych na jego koszt. Z myślą o nich, a szerzej — z myślą o stworzeniu w Polsce rodzimego środowiska artystycznego, król będzie dążył do założenia Akademii Sztuk Pięknych, by wychowywała przyszłych polskich malarzy, dekoratorów, rzeźbiarzy. Bacciarellego zobowiąże do sprowadzenia z zagranicy

odpowiednio dobranego profesorskiego grona, poleci urządzić na Zamku pracownie malarskie i rzeźbiarskie, gromadzić odlewy gipsowe i inne kopie sławnych dzieł sztuki oraz rysunki, sztychy, książki i manekiny służące do nauki. Zaproponuje stypendia zagraniczne uczniom, ale i mistrzom — dla pogłębienia wiedzy. Jedynym kryterium udzielania tej monarszej łaski będzie talent.

Z przyczyn złożonych, wśród których brak finansów był powodem istotnym, Akademia Sztuk Pięknych powstanie we fragmentarycznym ledwie kształcie — wspomnianej już Malarni na Zamku, kierowanej przez Bacciarellego. W 1778 roku dołączona do niej zostanie pracownia rzeźbiarska Le Bruna — Skulptornia — z fonderią, czyli odlewnią rzeźb gipsowych w brązie. I tam, i tu młodzi utalentowani uczniowie praktykować będą przy mistrzach. Reszty dopełni szczodry system stypendialny, a wszystko to razem pozwoli polskiej sztuce dorobić się kilkunastu wybitnych artystów. Architekci — Jakub Kubicki i Stanisław Zawadzki zabudują Polskę klasycystycznymi dworami, dworkami, a i urzędowymi gmachami. Sławę zdobędą malarze: Aleksander Orłowski, uczeń Norblina i także rysownik insurekcji; bracia Smuglewiczowie — Franciszek (sławne płótna historyczne) i Antoni (również dekorator teatralny, autor scenografii do między innymi *Krakowiaków i Górali*); dalej — Mateusz Tokarski, główny asystent i zastępca Bacciarellego;



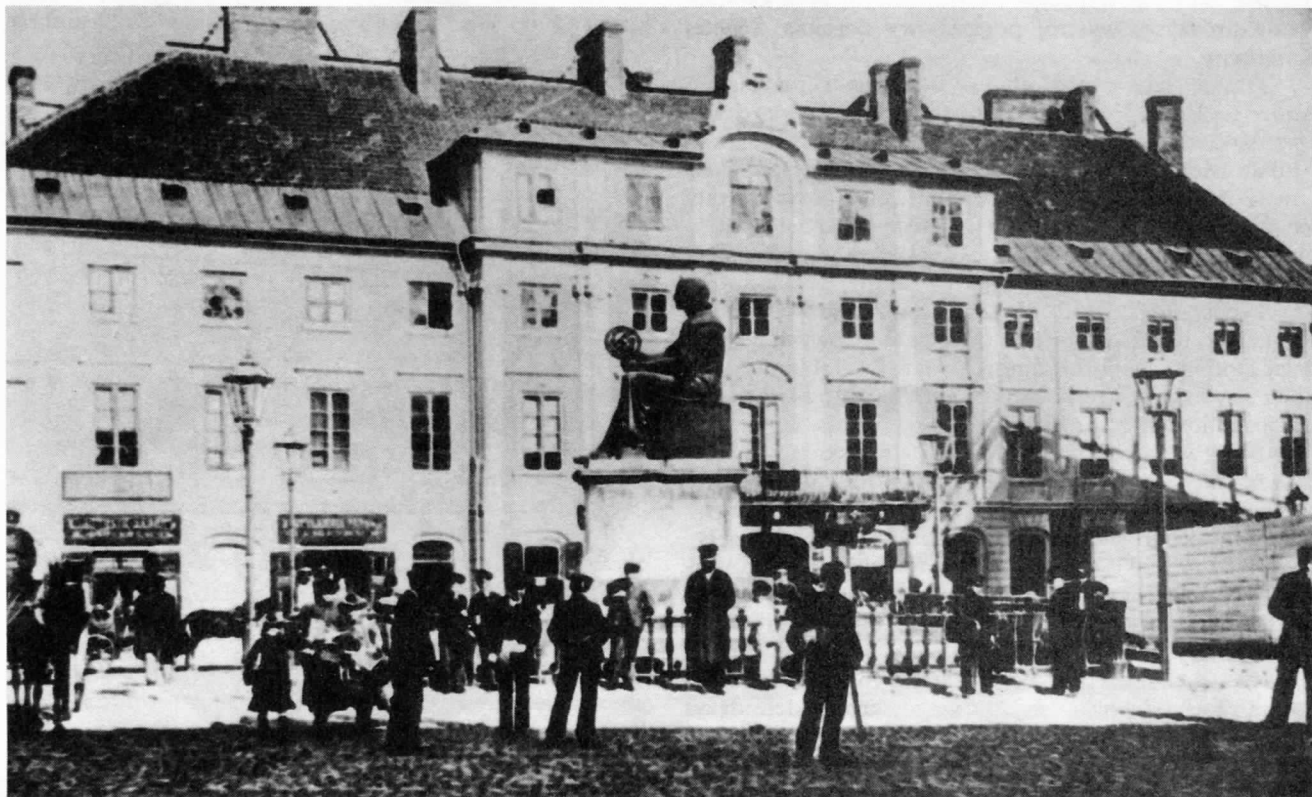
Jan Chrystian Kamsetzer (1753—1795), nadworny architekt króla Stanisława Augusta

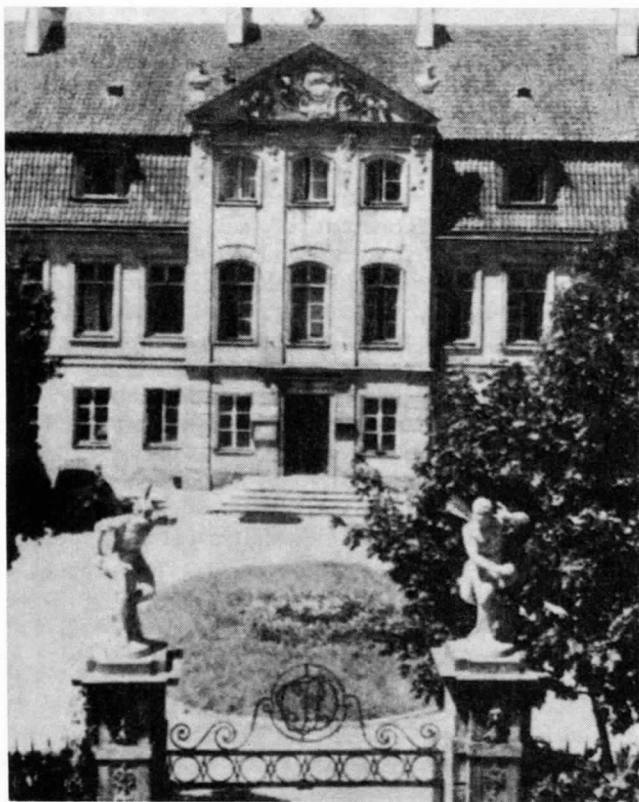
Józef Wall, rysownik realista, bystry obserwator codzienności; Kazimierz Wojniakowski, utalentowany portrecista i malarz scen historycznych, który — podobnie jak F. Smuglewicz i Norblin — utrwalił w swym známym dziele moment uchwalenia Konstytucji 3 maja; uczeń Bacciarellego — Wincenty Lesseur de Lesserowicz, spolonizowany Francuz, miniaturzysta, zdobiący niezliczone tabakierki królewskie, medaliony i pierścienie; czy wreszcie Jan Regulski, nadworny glyptyk (rzeźbiarz w kamieniach szlachetnych) i medalier, twórca miniaturowych rzeźb: kamei i gemm. Jednym z najpopularniejszych z tego grona okaże się Zygmunt Vogel, zwany przez lubiącego dobrotliwe przezwiska Stanisława Augusta „Ptaszkciem”. Artysta ten był wymownym dowodem sprawności „organizacji”, którą ówczesnie stanowił mecenas królewski, a co ciekawe — podobnym dowodem było jego dzieło. Skromnego urodzenia — syn oficjalisty Czartoryskich, jako artysta „stworzony” został dzięki królewskiej opiece i szczodrości. Rozpoznany jako talent — długie lata terminował pod okiem zamkowych mistrzów, aż wreszcie, w 1787 roku wysłany został z polecenia Stanisława Augusta śladem sławnej podróży Najjaśniejszego Pana do naddnieprzańskiego Kaniowa. Miał odrysowywać i utrwalać wizerunki miast i zabytków zwiedzanych przez króla, często już wtedy ginących. Dosłużył się tymi rycinami i akwarelami tytułu „królewskiego rysownika gabinetowego” oraz doczekał następnych zamówień i poleceń. Plonem jego kilku jeszcze



Szymon Bogumił Zug (1733—1807), królewski architekt i twórca ogrodów

Pałac Karasia w Warszawie, według projektu Jakuba Fontany





Pałac Pod Czterema Wiatrami, od 1765 r. własność bankiera Teppera, przebudowany wg projektu S. B. Zuga

podróży „malowniczych” po Polsce i nieustających penetracji stołecznego miasta będzie ogromna liczba akwarelowych obrazów — portretów ówczesnych architektonicznych ciekawostek, a także zakątków Warszawy, ulic, placów, parków, ogrodów i pałaców, zabytków, ruin i innych miejskich „starożytności”. Z lekka sentymentalne, ale rzetelnie odtwarzające stan ówczesny, dziś są dla historii naszej sztuki bezcennym materiałem dokumentacyjnym, przechowującym wizerunek dzieł od dawna nie istniejących. Nierzadko tylko prace Vogla dają nam o nich jakie takie pojęcie.

Swego rodzaju ciekawostką jest fakt, że stypendystą królewskim wysłanym na studia malarskie do Paryża był... Tadeusz Kościuszko. Stanisław August, usłyszawszy kiedyś o rysunkowych talentach pewnego podbrygadiera, który w 1766 roku ukończył Szkołę Rycerską i pracował w niej nadal jako wychowawca kadetów, uważnie obejrzał jego szkice. Ponieważ król talentom zawsze sprzyjał, a w cywilizowanej i kulturalnej Francji nie tylko sztuka malarska, ale i wojenna stała wysoko — Stanisław August usłuchał rady komendanta Szkoły, księcia Adama Czartoryskiego, i wysłał młodego oficera do znakomitej paryskiej akademii malarstwa i rzeźby. W pobliżu słynnej wojskowej uczelni — École de Génie w Mézières, wprawdzie oficjalnie niedostępnej dla cudzoziemców, ale wszak promieniującej wiedzą i poza swe mury...

Wraz z Kościuszką pojechał do Francji inny jeszcze rysujący kapitan, Józef Orłowski. Obaj wojacy długo

miejsca wśród artystycznej braci Paryża nie zagrzali. Opuścili akademię bez sprzeciwu możnych protektorów i podjęli samodzielnie studia inżynierii wojskowej i artylerii — według programów i podręczników uczelni z Mézières, do których dostęp był wolny. Tak oto królewska słabość do sztuk pięknych wykreowała przyszłych walecznych dowódców: naczelnika insurekcji i komendanta Warszawy w tymże powstaniu.

Ale wracamy do Zamku. Cudzoziemskie grono braci artystów, gościnnie na ogół w nim rozlokowane, podejmowało kolejno wielkie królewskie zamówienia i napełniało stołeczną rezydencję barwnym życiem. Domy polskich monarchów nie znały dotychczas takiej atmosfery. Stanisław August uwielbiał artystów i cudzoziemców, okazywał im wielką przychylność i łaskawość, i nawzajem cieszył się ich sympatią. Umiał pracować z artystami, inspirować ich, pobudzać ich wyobraźnię. Oni zaś najczęściej z wdzięcznością przyjmowali wskazówki człowieka, który wielu pomógł ukształtować artystyczną osobowość, wydobyć z niej to, co najlepsze. Do Stanisława Augusta garnęli się hurmem młodzi artyści, i to niekonięcznie z nadzieją na atrakcyjne zlecenie lub zagraniczne stypendium, ale przede wszystkim licząc na uzyskanie zaszczytnego „wyroku” o swej artystycznej wartości, bowiem przychylna opinia króla-konesera i ewentualna, choćby krótka, artystyczna służba na jego dworze, były swoistym dyplomem uznania talentu i fachowości. Tymczasem w oczach ówczesnych „prawdziwych Polaków”, obrońców sarmatyzmu i staropolskich obyczajów, ci cudzoziemscy goście (nie tylko zresztą artyści, bo król do



Zygmunt Vogel (1764—1826), królewski rysownik, malarz, architekt i rytownik

wielu innych zamkowych prac zatrudniał obcych specjalistów) jawili się często jako podejrzana kompania wyrachowanych pochlebców, zdemoralizowanych włóczęgów, bezczelnych naciągaczy żerujących na łatwowierności króla i szczodroblewości skarbu. Choć zapewne i tacy spryciarze czasem się trafiali — warto wspomnieć o prawdziwym mistrzu, który może i sporo grosza różnymi fortelami z królewskiej kieszki wyciągnął, na koszt monarchy prawie całą Europę zjeździł, ale i talent w pełni dzięki podróżom rozwinął, a przez całe życie służył nim swemu panu i jego krajowi. Saksończyk, Jan Chrystian Kamsetzer, stworzył wiele do dziś podziwianych budowli, a swoje przywiązanie do drugiej, wybranej ojczyzny zaświadczył walcząc w powstańczych szeregach podczas insurekcji kościuszkowskiej.

...i dwór

Zamek tętnił życiem. Już pierwsze miesiące Stanisławowskiego panowania przyciągnęły na zamkowe pokoje wielką liczbę ludzi, których król będzie zapraszać, zachęcać i zobowiązywać do wspólnej pracy. Niektórzy z nich, często królowi potrzebni, po prostu zamieszkają na Zamku. Ludzie ci oraz sprawy, które tu się będą rozgrywały, w krótkim czasie uczynią z tej rezydencji prawdziwy ośrodek życia politycznego, administracyjnego, artystycznego i naukowego. To tu, w żywych dyskusjach z doradcami politycznymi i ekonomicznymi rodziły się programy reformatorskie, projekty sejmowych uchwał i ważniejszych gospodarczych przedsięwzięć. To tu, w Gabinetie Pracy króla opracowywano program działania powoływanej po raz pierwszy w dziejach Polski służby dyplomatycznej, tworząc z królewskiej kancelarii załóżkę ministerstwa spraw zagranicznych. Już 1 stycznia 1765 roku zaangażowano tu pierwszego urzędnika — radcę do spraw watykańskich, księdza Kajetana Ghigiottiego. Tu zdecydowano o kupnie pałacu Krasińskich i przeznaczeniu go na potrzeby urzędów państwowych, od czego gmach ten weźmie do dziś pamiętaną nazwę — Pałac Rzeczypospolitej. Na Zamku powstawały projekty powoływania towarzystw naukowych, akademii lekarskiej, akademii „dla uprawy języka polskiego” (która urzeczywistni się w oryginalnej postaci obiadów czwartkowych), akademii sztuk, nauk i umiejętności, czy też akademii nauk, literatury i sztuk wyzwolonych. Tu przygotowano decyzję o powierzeniu Andrzejowi Zamoy-skiemu, eks-kanclerzowi koronnemu, zadania kodyfikacji polskich praw i zarysowano wstępny program tej pracy. Stąd też wędrowały do Sejmu projekty takich pionierskich aktów, jak ten z 1768 roku, który nakazywał szlachcicowi głową odpowiadać za zabicie chłopca („gdyby się trafiło, że szlachcic chłopca nie przypadkowo, ale dobrowolnie, rozmyślnie, na śmierć zabił, tedy takowy nie już zaplaceniem, lecz utratą własnej głowy swojej karany w sądzie przyzwoitym być powinien”). Tu — z osobistej inicjatywy Stanisława Augusta — narodził się też i inny, równie doniosły projekt uchwały znoszącej tortury w sądownictwie i zakazujący rozpatrywania spraw o czary. Król, dumny z tego prawa, wyprowa-

dzającego Polskę z mroków średniowiecza, uczcił je medalem z napisem: „Mękami wyciągać zawsze wątpliwe zeznania zbrodni, pociągać do sądu obwinionych o rzekome związki z mocą szatańską — zahamował sejm w roku 1776 na wniosek króla Stanisława Augusta”. Na Zamku wreszcie, w dalszej przyszłości, w gronie najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników króla powstanie projekt Konstytucji 3 maja...

Miały też miejsce na Zamku całkiem nowe, nieznane dotychczas praktyki. W 1771 roku rozpoczęło tu pracę królewskie obserwatorium astronomiczne. Własnym sumptem Stanisława Augusta, wielkiego miłośnika astronomii urządzone, i „instrumentami równie wybor-nymi, jako i kosztownymi: lunetami Dollonda, kwadran-sami Ramsdena i Caniveta, zegarami Sheltona i Le Pau-te’a, sławnych artystów londyńskich i paryskich przy-ozdobione”. Określać będzie ono współrzędne geografi-czne dla triangulacyjnej sieci królewskich kartografów, jako że Stanisław August powołał zespół tych specjali-



Tadeusz Kościuszko według akwatinty Casimira de la Roche'a z 1794 r.

stów dla sporządzenia szczegółowego atlasu Rzeczypospolitej. Zapewnił im na Zamku mieszkanie, utrzymanie i pracowników, polecając kształcić uczniów, by w następnych pokoleniach można było kontynuować tę olbrzymią pracę. W 1779 roku obserwatorium warszawskie, jako trzecia w Europie placówka, po Sztokholmie i Paryżu, podejmuje systematyczne, do dziś nieprzerwanie prowadzone, codzienne notowania stanu pogody. Dzięki nim wiemy, że przyroda przed dwoma wiekami nie była dla nas łaskawsza. Najzimniejszy dzień w czasie panowania ostatniego króla (17 grudnia 1788) przyniósł 31 stopni mrozu, a w najgorętsze dni (30 czerwca 1787 i 8 lipca 1789) było plus 33 stopnie Celsjusza. Obserwatorium będzie też, oczywiście, śledzić zaćmienia ciał niebieskich. 14 czerwca 1779 roku zaćmieniu Słońca przyglądać się będzie sam król, wraz z księdzem Jowinem Bystrzyckim, dyrektorem placówki, Janem Kocem, profesorem szkół publicznych w Warszawie i księdzem kanonikiem Jędrzejem Gawrońskim, swym lektorem. Następne zaś zaćmienie słoneczne, 4 czerwca 1788 roku, oglądane będzie przez króla (i jego synowca, księcia Stanisława) już w nowym obserwatorium, „do starego przybudowanym, a mającym już ścianę z ciosów kamiennych, świeżo na meridianie postawioną dla wielkiego kwadransu” — donosiła z uznaniem „Gazeta Warszawska”.

A nie był to wcale kres królewskiej łaskawości dla spraw nauki. Swemu bliskiemu współpracownikowi, Augustowi Fryderykowi Moszyńskiemu urządził Stanisław August na Zamku laboratorium, w którym utalentowany hrabia prowadzić będzie eksperymenty fizyczne i alchemiczne: komponować metale, wypalać porcelanę, przetapiać brąz i minerały. W gabinecie fizycznym zainstaluje anemometr — skomplikowany przyrząd do mierzenia prędkości i kierunku wiatru, zbuduje maszynę hydrauliczną — rodzaj wodociągu, który przenosić miał wodę do ogrodów zamkowych — oraz dość tajemniczą „maszynę spiralną” (zapewne jakąś poprzedniczkę dzisiejszej turbiny). Król z zainteresowaniem obserwował te prace i z upodobaniem kolekcjonował modele pomysłowych wytworów utytułowanego eksperymentatora.

W roku 1782 mieć będzie miejsce jeszcze jedno głośne zamkowe wydarzenie. Otworzy swoje podwoje królewska Biblioteka, oddająca — z woli króla — jego piękny księgozbiór w użytkowanie „ludziom wszelkiego stanu”. Wraz z książkami udostępnione będą kolekcje rycin, map, a w sąsiednich gabinetach — numizmaty i minerały. Skarby te, poprzednio składane w dwóch

pokojach drugiego piętra, zyskają teraz właściwe pomieszczenie i ekspozycję w specjalnie na ten cel wzniesionym ogromnym budynku, łączącym Zamek z zakupionym wcześniej Pałacem pod Blachą. Choć kolekcjonowane z pietyzmem księgi, rękopisy, sztychy, gemmy, medale i kamienie szlachetne nie mogły dorównać wielkim zbiorom dworów Wersalu, Wiednia czy Drezna, to jednak budziły szacunek bywałych w świecie znawców, jako dorobek jednego tylko życia — człowieka, który, jak zauważyli francuscy podróżnicy Fortia de Piles i Boisseguin de Kerdu: „sam je stworzył, tron bowiem elekcyjny nie zapewniał mu przywilejów innych monarchów, którzy muszą troszczyć się jedynie o powiększanie zbiorów odziedziczonych po przodkach”.

Wypełniony różnorodnym, zaangażowanym do spełniania tak różnorodnego programu zadań, zespołem ludzi, Zamek był nowym zjawiskiem w życiu polskim. Państwo elekcyjne nie miało dotąd tradycji dworskiej. Żaden z królewskich polskich dworów nie pełnił — tak oczywistej gdzie indziej w Europie — roli ośrodka myśli politycznej, gospodarczej i kulturalnej, nie stanowił cywilizacyjnego i obyczajowego wzorca, promieniującego na cały kraj. Owszem, bywały dwory magnackie z własną polityką, wojskiem, dworakami, służbą, teatrem, medyką i bibliotekarzem. Były to rezydencje iście wielkopańskie, jak: Białystok Branickich, Wołczyn Czartoryskich, czy Nieśwież Radziwiłłów, jednakże, choć wcale liczne — raczej lokalne tylko miały znaczenie. Dopiero królewski dwór Stanisława Augusta, z jego wykwintnymi gośćmi z kraju i z zagranicy — dystygowanymi damami, ministrami i ambasadorami; z około czterystoma osobami personelu — z marszałkami, szambelanami, adiutantami, gwardią koronną pieszą i konną, kamerjunkturami, paziami, kamerdynerami i... kuchmistrzami (braćmi Pawłem i Jackiem Tremo, których zazdrościły Warszawie najpierwsze stolice Europy, i którzy — niezmiennie wierni — nie dali się donikąd zwabić, nawet po śmierci króla w Petersburgu, kiedy to Paweł-kuchmistrz odmówił służby Pawłowi-carowi); cały ten dwór pełen urzędników państwowych i dworskich, senatorów, biskupów, artystów i uczonych — „narzucał się obywatelstwu” — jak pisze Brückner. Obejmował swym wpływem cały kraj, skupiał siły umysłowe i elitę towarzyską i polityczną. Choć w Słoniemiu czy Wiśniczu istniały nadal dwory wielkopańskie — tylko ten „zbierał ludzi nauki i sztuki, dostarczał im środków, i nadawał ton społeczeństwu dostrajającemu się do dworu i Warszawy”.

Obiady czwartkowe

Król jadł umiarkowanie, trunków zaś nie kosztował prawie wcale. Przykład tej wstrzemięźliwości także nadawał ton i powodował „dostrajanie się społeczeństwa” do tego niezwykłego — po epoce „jedz, pij i popuszczaj pasa”, obyczaju. „Za trzeźwego Stanisława Augusta, w skutku lepszego wychowania, szlachetniejszych przykładów i wznioślejszych uczuć, pijatyka ustaje” — zaobserwował zasłużony bibliotekarz i historyk epoki, Łukasz Gołębiowski. Sam król szczerze cieszył się własną zasługą, że „saskie pijaństwo z Polski wygnał”. Zebrania towarzyskie w wybranym gronie najpierwszych intelektualistów — obiady czwartkowe — były spotkaniami „rozumnymi”, „uczonymi” i absolutnie „trzeźwymi” przede wszystkim. O doznawanych tam rozkoszach ducha i umysłu wiemy sporo, o rozkoszach podniebienia — znacznie mniej, bo nie ono wszak stanowiło o istocie spotkań w doborowym gronie. A jednak właśnie tej — oryginalnej na gruncie polskim — oprawy obiadowej kultura polska zawdzięcza, ekscytującą do dziś swą wyjątkowością, legendę tych „posiłków”.

Oprawa była po prostu — znakomita! Biesiadowano co czwartek, między trzecią a szóstą po południu, z początku w wytwornym wnętrzu Gabinetu Marmurowego na Zamku, częściej — w przylegającym doń Pokoju Żółtym, a później w pałacyku w Łazienkach, przy pięknie zastawionym i udekorowanym stole. Okrągłym — dla równości wszystkich uczestników. Zasiadało przy nim elitarne, wyłącznie męskie grono, do którego było za szczytem dołączyć, ale mogło się to stać jedynie na osobiste zaproszenie króla. Stanisław August może najbardziej ze wszystkich swych zajęć lubił te spotkania. „O, jakże ja tęsknię do ulgi od zbytnej, oj, prawdziwie już zbytnej pracy. O, jakże miłe znowu będą czwartki” napisał w 1776 roku do Naruszewicza, mistrza czwartkowych ceremonii, chwilowo nieobecnego w Warszawie. Na obiadach królowi zawsze dopisywał humor, cieszył towarzystwo przyjaciół, najzaufanych ludzi. Błogim spokojem napawała go pewność, że przez te trzy godziny nie ujrzy ambasadora rosyjskiego, który — zwykle nie licząc się z niczym — tego azylu nie mącił swą natarczywością.

Czwartkowe zaproszenia były więc samą radością... Powściągając pobudzone wyobraźnię apetyty wyjaśnić należy, że królewska „biesiada”, choć wykwinna, według ówczesnych gustów i przyzwyczajzeń uchodziła nawet za dość skromną. Otwierał ją zwykle staropolski barszcz z uszkami, po nim szły przystawki: wędliny,

paszteciki, kiszki, kielbasy i pikantne marynaty, czasem ryby lub jarzabki, a na końcu ulubiona potrawa Stanisława Augusta — pieczeń barania, którą dworzanin obnosił uroczyście na wielkim srebrnym półmisku, wołając triumfalnie: baran! Pomimo tej jadłospisowej powściągliwości, lekarz nadworny, doktor Jan Boeckler „był zawsze obecny tym obiadom, jako stróż zdrowia królewskiego, wstrzymując dobry apetyt monarchy od zbytku”. Hiszpańskie wino podawano przy końcu posiłku. Król używał tego napitku skromnie, chętniej częstując nim zaproszonych jezuitów (jak zobaczymy — stanowili oni przeważającą część gości). Sam zwykle popijał wodę zdrojową. Zupełnie specjalne okazje czcił „Popiel” — nazwane przez króla tym imieniem stare i kosztowne wino węgierskie, tak mocne, że on sam go nie kosztował, innym zaś tylko po małym kieliszku tego zacnego trunku pozwalał. Jedynie ulubieniec królewski — ksiądz Naruszewicz — przytomnością i bystrością swego dowcipu prawo do podwójnej racji „Popiela” sobie zapewnił. Pewnego razu, gdy przy czytaniu nowej komedii pana Zabłockiego szczególnie smakowitych wrażeń się spodziewano, król rozkazał podać „Popiela”. Sam nalewał gościom z omszałej butelki, życząc dobrego smaku, aż nagle, przy Naruszewiczu, zawahał się.

— Wasza Wielebna Uczoność — rzekł z uśmiechem do księdza-historyka — pić tego nie zechce. Nie wierzysz w żadnego Popiela...

— Najjaśniejszy Panie — dziejopis gwałtem niemal sięgnął po kieliszek — tego uznaję! — krzyknął. I szybko przełknąwszy pierwszy łyk dodał z powagą:

— Zaiste, prawdziwy! Jeszcze myszką trąci!

Śmiech ogólny i premiowy kieliszek były sympatyczną nagrodą.

Powody, dla których około 1770 roku król „czwartki” ustanowił, były, zgodnie z duchem pragmatycznej, oświeceniowej epoki, tylko poważne. Chodziło o... „akademii dla uprawy języka polskiego”, a jakże! I o program rozwoju literatury narodowej. Wśród wielu narzędzi, po które sięgnąć należało w walce o zreformowanie kraju, oświata — szerząca pożądane myśli i poglądy — skupiała największe nadzieje, jako środek najskuteczniej wiodący do celu. Jej wspieranie zmobilizuje specjalne wysiłki, a szansę upowszechnienia, sądzono rozsądnie, zapewni przede wszystkim książka, po którą sięgną szerokie rzesze czytelników. Słowo pisane — i to w dobrym języku ojczystym. Słowo to jednakże, niegdyś pięknie pisa-
rzom i poetom służące, po długotrwałym okresie rządów

władców, którzy języka polskiego nie znali, pozostawało w wielkim zaniedbaniu. Należało więc i ten ugór saski przeorać, podejmując działania zborne, instytucjonalne, które pozwoliłyby przywrócić dawne piękno i należne znaczenie rodzimej mowie. Tak, by wszelkie książki posługujące się takim językiem, i cała nowo tworzona literatura, prosto i jasno wyrażać mogły treści godne poznania i upowszechnienia.

Stanisław August doskonale zdawał sobie sprawę z takiej potrzeby, a w dodatku ulegał „oddolnym”, choć z bardzo wysokiego szczebla podejmowanym, naciskom. Niejednokrotnie pisał o tym „Monitor”, ale najdobitniej chyba rzecz wyłożył książę Adam Kazimierz Czartoryski przy okazji opublikowania w 1766 roku *Historii nauk wyzwolonych* Feliksa Juvenela de Carlanca, w osobistym przekładzie księcia, dokonany dla Szkoły Rycerskiej. „Spodziewamy się, że pod mądrym królem, a rodaka naszego panowaniem, który jako swój naród, tak i język kocha, zaniedbana polszczyzna zacznie się wydoskonalać: że się jakie zjawi towarzystwo ludzi uczonych, które zachęcone łaską i pańskimi względami, wsparte zaś stałą hojnością, ułoży nam doskonale gramatyki, napisze słowniki wszystkich kunsztów, nauk i rzemiosł, wskrzesi stare słowa i one odnowi, wynajdzie nowe, wyznaczy ich używanie, nachylanie, wagę, wymawianie; odrzuci i zakaże pod grzechem szkolnym i karą cenzury Apollina wszystkich makaronizmów, i inne pożyteczne w języku rozporządzenia uczyni”.

Potrzeba, sposób jej spełnienia, organizator i sponsor przedsięwzięcia — zostały wskazane palcem. Skąd wziąć środki na napisanie choćby „słowników wszystkich kunsztów”, książę się nie martwił, zresztą rozumienie potrzeb oraz hojność króla-mecenasa znane były po-

wszechnie, zatem otwarcia „akademii dla uprawy języka polskiego” spodziewano się lada dzień. „Monitor” ręczył przewidując, że jej założyciel zyska tym nieśmiertelną sławę i dodawał, czyniąc pilny obstalunek, że pierwszym staraniem szacownej akademii winno być ułożenie słownika języka polskiego.

„Akademia”, a ileż ich wówczas było potrzeba! — była sprawą organizacyjnie złożoną i z pewnością kosztowną. Król wybrał mniej konwencjonalną formę: osobistej zachęty i inspiracji do pożądanego twórczego wysiłku, systematycznie kierowanej do wybranej grupy odpowiedzialnych osób. Przyjrzyjmy się więc bliżej, jak wyglądały te sławne obiady.

Zajmujące i atrakcyjne „biesiady uczone” Stanisław August znał dobrze ze swych paryskich, choćby, doświadczeń. Zaplanował spotkania w gronie głównie z ludźmi pióra złożonym i nigdy nie liczącym więcej niż dwanaście osób. W Pokoju Żółtym — sąsiadującym z zamkowym Gabinetem Marmurowym, gdzie jadano — zawisły z czasem namalowane przez Ludwika Marteau pastelowe portrety najczęściej na uczone czwartki zapraszanych gości. Ten istic królewski gest był wyrazem hołdu Stanisława Augusta, składanego jego znakomitym współbiesiadnikom i współpracownikom. Był jednocześnie próbą uwiecznienia dla potomności wizerunków sławnych mężów epoki. Chlubny poczet po półwieku stał się ofiarą niszczycielskiej pasji zaborcy. Obrazy te, po powstaniu listopadowym wywiezione do Ermitażu do Petersburga, zostały w znacznej części (12 portretów) spalone 31 lipca 1834 roku, na rozkaz Mikołaja I — jako uwieczniające szczególnie nienawistne carowi postacie. Tym bardziej więc przypomnijmy, o kogo chodziło.

Stałe zaproszenie na czwartkowe obiady mieli dwaj



królewscy ulubieńcy: jezuita, ksiądz Adam Naruszewicz — nadworny poeta, tłumacz, a z zachęty króla-mecenas także historyk dziejów Polski, oraz Stanisław Trembecki — poeta i szambelan Jego Królewskiej Mości. Regularnie bywali: ksiądz Franciszek Bohomolec — jezuita, komediopisarz, poeta i publicysta „Monitora”, i ksiądz Stanisław Konarski — pijar, ten, który odważył się być mądrym. Jeśli gościł w Warszawie — zawsze radośnie witany był słynny XBW, czyli ksiądz biskup warmiński Ignacy Krasicki, książę poetów stanisławowskich, ale i prozaik, publicysta, komediopisarz oraz autor pierwszej polskiej encyklopedii. Dalej — chętnie król widział Jacka Ogrodzkiego, sekretarza wielkiego koronnego i szefa kancelarii królewskiej, zaufanego, długoletniego przyjaciela swej rodziny. Często też zapraszany był Celestyn Czaplic, łowczy wielki koronny, marszałek głośnego sejmiku z 1766 roku, słynący z nieskazitelnego charakteru; dalej — Joachim Chreptowicz, podkanclerzy wielki litewski, jeden z inicjatorów i działaczy Komisji Edukacji Narodowej, poeta, ekonomista, świetny zarządca własnych dóbr i właściciel sławnej biblioteki, z której korzystać będzie w przyszłości Adam Mickiewicz; ksiądz Antoni Portalupi, teatyn, wychowawca młodego Poniatowskiego, uhonorowany przez króla medalem złotym z napisem: „Nauczycielowi mej młodości”, i drugi wychowawca Stanisława Antoniego, ksiądz Piotr Jacek Śliwicki, wizytator misjonarzy i dożgonny spowiednik króla. Bywał też ksiądz Ignacy Nagurczewski — jezuita, nauczyciel krasomówstwa i historii polskiej w Szkole Rycerskiej, kapelan Korpusu Kadetów; ksiądz Karol Wyrwicz — jezuita, geograf, historyk i pedagog, rektor (do czasu kasaty zakonu w 1773 roku) warszawskiego Kolegium jezuickiego, odznaczony przez króla za swe zasługi medalem *Merentibus*; ksiądz Grzegorz Piramowicz, nauczyciel wielu szkół jezuickich, sekretarz KEN, działacz Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych, jedyny w czwartkowym gronie nieszlachcic; ksiądz Wojciech Strzelecki — pijar, rektor Collegium Nobilium; ksiądz Sebastian Lachowski — jezuita, nadworny kaznodzieja królewski, były profesor Kolegium jezuickiego w Poznaniu, miłośnik matematyki i astronomii; Wojciech Jakubowski — poeta i dyplomata, marszałek polny armii francuskiej, tłumacz bajek La Fontaine’a; Walerian Piwnicki — chorąży chełmiński, miecznik ziem pruskich, wielokrotny poseł i komisarz skarbowy; ksiądz Krzysztof Hilary Szembek — biskup koadiutor chełmiński, potem plocki, człowiek encyklopedycznej wiedzy i wykształcenia, „mąż wielkiej cnoty i wielu nabytych wiadomości”.

Oprócz wymienionych tu, sportretowanych przez Marteau znakomitości, bywali jeszcze na czwartkowych obiadach i inni: ksiądz Jan Chrzyciel Albertrandi — jezuita, lektor i bibliotekarz królewski, jeden z założycieli „Monitora” i redaktor „Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych”; Feliks Łojko — historyk i dyplomata; Józef Bielawski — komediopisarz, autor *Natretów*; Marcello Bacciarelli; Adam Kazimierz książę Czartoryski; Dominik Merlini; Michał Jerzy Mniszech, powinowaty króla, kolekcjoner dzieł sztuki, współpracownik „Zabaw”; Ignacy Potocki — pisarz wielki litewski, wychowanek Konarskiego, wybitny działacz oświatowy i polityczny,

członek Komisji Edukacji i inicjator Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych, a później — współtwórca Konstytucji 3 maja; Franciszek Karpiński — poeta; Wojciech Bogusławski — aktor i dyrektor Teatru Narodowego; Stanisław Poniatowski, bratanek króla, generał wojsk koronnych, kolekcjoner starożytności; Józef Wybicki — znakomity prawnik, działacz polityczny, publicysta, poeta, tłumacz. Bywali też malarze: Franciszek Smuglewicz, Lesser, Vogel.

W tak dostojnym gronie nastroj panował swobodny, salonowy. Podróżujący po Polsce w 1778 roku Anglik William Coxe taki nam w swych notatkach pozostawił obraz tych spotkań: „Jego królewska mość sam we własnej osobie przydyguje przy stole, przodując nie tylko rangą, ale i powabem rozmowy, a chociaż jest władcą, nie uważa sobie za poniżenie być równocześnie najbardziej zajmującym współtowarzyszem. Ludzie, których dopuszczono do tego grona, odczytują od czasu do czasu rozprawy na różne tematy z historii, historii naturalnej i najrozmaitszych innych nauk, a ponieważ w tym okresie [pobytu Coxe’a] układano kodeks prawny, aby przedłożyć go na następnej sesji sejmowej, części tego kodeksu odczytywano na obiadach czwartkowych, a uczestnicy ich czynili uwagi odnoszące się do prawodawstwa w ogólności i konstytucji polskiej w szczególności. Król nie szczędził wysiłku, aby podtrzymywać wszelkie próby oczyszczenia i wygładzenia mowy polskiej, zaniedbanej zupełnie przez dwóch jego poprzedników, którzy w ogóle nie znali języka polskiego. Lubi też bardzo poezję, toteż ten rodzaj literacki jest uprawiany i reprezentowany na czwartkowych zebraniach”.

Jeszcze przed obiadem zaczynały się rozmowy o „umiejętnościach i kunsztach”. Kontynuowano je podczas i po posiłku. Wtedy też — z królewską zachętą — odczytywano przygotowane na tę okazję uczone dzieła i rozprawy, utwory poetyckie i dramatyczne. Król aranżował często nawet rodzaj poetyckich turniejów. Kończono przy hiszpańskim winie i wetach swawolnymi wierszami, zwanymi z tej racji „desertowymi”, czasami tak pikantnymi, że, bywało, nie wygłaszano w tym bądź co bądź zaufanym gronie przyjaciół, lecz zaledwie odczytywanymi na osobności, po cichu, z uprzednio przygotowanych druków, podłożonych wcześniej każdemu pod nakrycie...

Zajmowano się jednak przeważnie sprawami nader poważnymi. Dyskutowano najnowsze wydarzenia i najpilniejsze potrzeby życia literackiego, naukowego, oświatowego, prawnego i politycznego. Waga i skutki spraw tu poruszanych sprawiły, że biesiadnym dorobkiem czwartkowych spotkań nie pogardziłaby z pewnością niejedna dostojna i uczona akademia. To tu w 1771 roku sześciu uczestników, podchwyciwszy myśl królewską, założyło nieformalne Towarzystwo Przyjaciół Kilku, by co tydzień publikować drukiem prace przedstawiające „stan polityczny, cywilny i zakonny państw starożytnych”. Po roku powstanie z tego poważne, czterystustronicowe dzieło: *Historia polityczna państw starożytnych od pewnego Towarzystwa napisana*, która, rozstrzygając teorie ustrojowe Egiptu, Grecji, Aten, Myken i Arkadii, gloryfikowała ideę rządów silnych — z wyraźnym odniesieniem do aktualnej potrzeby wydobycia Rzeczypo-

spolitej z wewnętrznego chaosu i uchronienia jej od zewnętrznych zagrożeń. To tu dyskutowano *Geografię powszechną czasów teraźniejszych* opracowywaną przez Karola Wyrwicza w 1772 roku, tu też przygotowywano dla Feliksa Łojki, Wyrwicza i Naruszewicza dokumenty historyczne do odparcia argumentów Prus, Austrii i Rosji, uzasadniających rozbiór Polski. W czerwcu 1772 roku Ignacy Potocki odczytał współbiesiadnikom rozprawkę *O ustanowieniu porządku w nauce prawa cywilnego i założeniu zgromadzenia prawych ludzi*. Jej autor, wówczas dwudziestodwuletni, dowodził potrzeby kodyfikacji prawa w Polsce. Myśl tę — w formie zobowiązującego zadania — podejmie sejm w 1776 roku, obarczając opracowaniem kodeksu Andrzeja Zamoyskiego. Problemy prawne, wymagające państwowej regulacji, eks-kancleerz dyskutować będzie także na „czwartkach” — z Chreptowiczem, Szembekiem, Wybickim. Czy przypuszczali wówczas ci oświeceni mężowie, zbratani wspólną ideą naprawy Rzeczypospolitej, że proponując pewne nowatorskie rozwiązania spraw mieszczaństwa i chłopów oraz ograniczenia w przywilejach majątkowych kleru, ściągają na siebie aż taki gniew i święte oburzenie sfanatyzowanej szlachty? Podjudzeni intrygami nuncjusza papieskiego Archetiego i ambasadora Rosji Stackelberga, posłowie sami utracą przedstawiony na sejmie 1780 roku *Zbiór praw sądowych*. Skażą przy tym tego zwiastuna umiarkowanego przeciw postępu na wieczystą niepamięć, zapisując w sejmowej uchwale zakaz, by nigdy, po wsze czasy, nie powracać do tego nikczemnego i groźnego projektu...

Również oświata i nauka zajmowała często uwagę królewskich gości. Dwudziestosiemioletni Michał Mniszech, dumny i nie lubiany magnat, ale mąż ukochanej królewskiej siostrzenicy Urszuli Zamoyskiej, człowiek rozległych zainteresowań i wytrawny kolekcjoner, czytał w 1775 roku przy czwartkowym stole swoje *Myśli względem założenia Musaeum Polonicum*, placówki, która gromadziłaby pamiątki polskiej kultury materialnej, zbiory przyrodnicze i mineralogiczne. Tu także Mniszech zaprezentował swój program rozwoju nauk w Polsce, udowadniał potrzebę wydawania materiałów źródłowych dotyczących rodzimej historii, i pierwszy rzucił pomysł prawnego zobowiązania wydawców do przekazywania narodowym zbiorom bibliotecznym po jednym egzemplarzu każdej wydawanej książki, co sejm postanowił w 1780 roku i co respektowano jeszcze do niedawna.

Owocem dysput czwartkowych były także: pierwsze w dziejach polskiej kultury tłumaczenie historycznych dzieł Tacyty, dokonane na królewskie zlecenie przez księdza Naruszewicza i wydane w latach 1772–1783, i z tej samej inspiracji prowadzona praca nad *Historią narodu polskiego od początku chrześcijaństwa*. Naruszewicz doprowadzi ją wprawdzie tylko do roku 1386, ale nowoczesność metodologiczna i kompetencja badacza sprawia, że dzieło to przez długie lata XIX wieku stanie się podstawowe źródło wiedzy historycznej o najdawniejszych dziejach Polski. Dziejopisarski dorobek „czwartkowy” uzupełnią żywoty sławnych Polaków spisane przez kilku autorów, na wzór dyskutowanych przy królewskim stole *Żywotów równoległych* Plutarcha.

Za sprawą pracowitego księdza Naruszewicza poznają Polacy *Historię Jana Karola Chodkiewicza*, Michał Mniszech opracuje biografię Kazimierza Wielkiego, a Franciszek Bohomolec *Życie Jerzego Ossolińskiego*. Przetłumaczy on też z łaciny *Żywot Jana Zamoyskiego* Rudolfa Heidensteina (który po 200 latach polska telewizja przerobi na czteroodcinkowy serial) i opublikuje drukiem *Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego*, spisany przez renesansowego historyka i pisarza Stanisława Orzechowskiego.

Choć tak „interdyscyplinarne” — Stanisławowskie obiady czwartkowe do dziś postrzegane są przede wszystkim jako zebrania literackie. Istotnie, z uwagi na znaczenie faktów artystycznych, które tu (lub za sprawą obiadów) się dokonały, mają one prawo być uznawane za trwałe element naszej tradycji literackiej. Współcześnie zresztą traktowane już były jako odpowiednik oczekiwanej, uczonej Akademii Literatury. Ich atmosferze, pobudzającej przede wszystkim do twórczości poetyckiej, oraz hojnej łaskawości króla zawdzięczamy powstanie wielu utworów, które zarówno „wydoskonaliły” język polski, czyli zrealizowały zakładany pierwotnie cel takiej akademii, jak i wzbogaciły dorobek literacki epoki. „Na tych obiadach — wspominał w swoim *Pamiętniku* Niemcewicz — czytał Krasicki swoje *Myszeidos* [w 1774 roku], Naruszewicz początki historii narodu, Jakubowski bajki przełożone z Fontaine’a, książę Czartoryski swoje komedie, Trembecki wiersze i ody do ówczesnych okoliczności stosowne”. To tu ponoć Franciszek Zabłocki, zachęcony medalem *Merentibus* za udaną komediijkę *Zabobonnik* — w tydzień doskonałego *Fircyka w zalotach* ułożywszy, w następny czwartek przyniósł. Inna rzecz, że niektórzy powątpiewają, czy w ogóle w „czwartkach” uczestniczył...



Franciszek Zabłocki (1754–1821), komediopisarz, poeta

Komisja Edukacji Narodowej

Z pomocą obiadowych dysput i „Zabawowych” rozpraw wypromowana zostanie idea-pomnik reformatorskich dążeń, przekształcony wolą i pracą pomysłodawców w sprawne narzędzie nowoczesnej państwowej polityki oświatowej: Komisja Edukacji Narodowej, pierwsze w cywilizowanym świecie ministerstwo szkolnictwa powszechnego. Jak przyznał Roman Kaleta: „wystarczy ta jedna zasługa, aby imię króla uczynić nieśmiertelnym, a obiady czwartkowe zaliczyć do instytucji zasługujących na wiekopomną wdzięczność Polaków”.

Wylansowana w tym samym „operacyjnym sztabie” i wprowadzona w obieg życia społecznego literatura odwoła się w do ważnych wychowawczo „żywiółów piśmiennictwa narodowego”, co jej za największą zasługę poczyta w swych paryskich wykładach w Collège de France sam Adam Mickiewicz. Podtrzyma ona słabnącą więź z językiem narodowym, uchroni go od zapomnienia; stworzy szeroki dostęp do przeszłości narodowej, uświadomi istotę narodowej tożsamości.

Ale zacznijmy od edukacji.

Potrzebę generalnej zmiany systemu szkolnictwa najświatlejsi ludzie Rzeczypospolitej dostrzegali od dawna. Zdawano sobie jednak sprawę z tego, że przedsięwzięcie takie, na skalę krajową zamierzone, wymagałoby rozmachu i środków, których skarb państwa długo jeszcze nie mógłby zapewnić. Potrzeby reform były we wszystkich dziedzinach niezmierzone, i we wszystkich — najpilniejsze... Szkoła Rycerska, z jej nowoczesnym programem edukacji świeckiej, dostępna ledwie kilkudziesięciu nowym uczniom w roku, była tylko jaskółką zapowiadającą wiosnę. Drogowskazem, którym trzeba by było się kierować, wchodząc na szeroki trakt upowszechnienia oświaty. Trakt ten dotychczas szerokością nie imponował na pewno, a coraz wyraźniej okazywało się, że prowadzi w ślepy zaułek.

Zmonopolizowane przez zakony szkoły edukujące młodzież szlachecką, muśnięte wprawdzie duchem pijarskiej reformy i sprowokowanej przez nią reformy jezuickiej — w swej masie były nadal ośrodkami szczepienia wiedzy i obyczajów z początków odchodzącej epoki, która je z premedytacją w skostniałym kształcie programowej niezmienności podtrzymywała. Tym skuteczniej, im dalej od stołecznego rozsądnika „nowinkarskich” pomysłów. Tymczasem dominująca nad rodowitym językiem znajomość łaciny, chwackość w bójkach na pałasze, i ślepe posłuszeństwo, które tak malowniczo opisywał wcześniej tu cytowany Jan Duklan Ochocki — nie stanowiły już, niestety, w latach siedemdziesiątych XVIII wieku żadnej „posady przyszłego rozwinienia człowieka”. Po-

trzebę intelektualnej rekonstrukcji programu kształcenia i wychowania wspierała nagląca pilność nadania mu charakteru narodowego, który należało zapewnić dla pożytku „odmiany starej postaci kraju”, dla, jak to formułował książę Adam Czartoryski, „oswobodzenia ojczyzny od jarzma tych strasznych tyranów: niewiedomości i przewencji” (tj. uprzedzeń), które „nierozsądek postanowił, przeciąg czasu poświęcił, potomek od przodka bez roztrzęsienia przyjął”.

Mówiąc najprościej — upominał się książę Adam o niemalże rewolucję edukacyjną. W 1766 roku, gdy padały te słowa, podejmowaną jeszcze w formie awangardowej, „pilotażowej” realizacji przez Szkołę Rycerską. W siedem lat potem — mającą ogarnąć cały kraj.

Z dniem 21 lipca 1773 roku papieska bulla Klemensa XIV *Dominus ac Redemptor noster* zniosła zakon jezuitów. Tym samym zlikwidowana została podstawa, na której do tej pory opierało się szkolnictwo w Polsce. Jezuici, zakon najliczniejszy i najzasobniejszy, istotnie zasilali ówczesną elitę intelektualną kraju. Widać to było choćby po licznych uczestnictwie ich przedstawicieli w obiadach czwartkowych i w znaczącym w przyszłości zaangażowaniu eks-zakonników (którzy stali się świeckimi księżmi) w prace Komisji Edukacji Narodowej. Jako wychowawcy młodych Polaków zajmowali jezuici pozycję uprzywilejowaną. W czterech prowincjach: wielkopolskiej, małopolskiej, mazowieckiej i litewskiej dwa i pół tysiąca jezuickich duszpasterzy i wychowawców prowadziło 66 kolegiów, dwie akademie (w Wilnie i Lwowie) oraz 15 konwiktów, nie licząc burs i domów misyjnych rozsianych po najodleglejszych zakątkach kraju. Wartość ich majątków szacowano wówczas na zawrotną sumę bliską 50 milionom złotych... Wszystko to z chwilą kasaty zakonu należało jakoś zagospodarować, myśl więc, by środki te zużyć na stworzenie nowego systemu szkolnictwa, którym czym prędzej należało zastąpić dotychczasowe — narzucała się sama. Pamiętano zresztą niedawne wystąpienie młodego pośła krakowskiego Feliksa Orzechewskiego, który w maju na sejmowej sesji postulował powołanie państwowej władzy edukacyjnej: „Trzeba nam ludzi zrobić Polakami, a Polaków obywatelami, stąd nastąpią wszystkie pomyślnie dla kraju powodzenia”. Przez chwilę grono czwartkowych gości rozważało inne jeszcze potrzeby i możliwości, ale ta — zarówno skalą zamierzenia, jak i znaczeniem najdonioślejsza — zwyciężyła.

Myśl, by budowany na jezuickiej schedzie nowy organizm edukacyjny poddać jakiemuś osobnemu urzędowi — podsunął król, a obecni zgodzili się na to z zapalem. Wyznaczono podkanclerzego litewskiego Joa-

chima Chreptowicza do opracowania odpowiedniego planu operacji. 14 października 1773 roku, na wniosek Ignacego Kurzenieckiego, posła pińskiego, i tegoż pana podkanclerzego, który temat edukacyjny już parokrotnie przed wysoką izbą podnosił, sejm powołał Komisję Edukacji Narodowej i ośmiu jej komisarzy, oddając ją pod królewski protektorat. Przyznał jej też prawo korzystania z funduszy pojezuickich. W dzień się dni później uniwersał o *Ustanowieniu Komisji nad edukacją młodzi narodowej szlacheckiej dozór mającej* rozgłosił wieść po kraju. Następny sejm, w 1776 roku, nadał jej uprawnienia trybunału, który rozstrzygać miał wszelkie sprawy dotyczące nauczania i wychowania.

Sejmowa decyzja ustanawiająca Komisję o tak szczytnie zarysowanym programie, zapadała w szczególnym momencie — może nawet działała kojąco na zbolale dusze Polaków, którzy na tym samym sejmie zmuszeni zostali do uznania obcej przemocy i zatwierdzenia rozbioru własnego kraju. Z nowoczesną edukacją narodu, która umysły i charaktery rodaków mogłaby odmienić — łącznie wielkie nadzieje.

*Nie wiem, czy mi się marzy, czy czuję na jawie,
Że ktoś naród z upadku chce dźwignąć w Warszawie.
Gdy kraj szczupłą, zmniejszając, właśnie o tej porze
Przyszłej jego wielkości ma zajaśnieć zorze.*

Ta udatna strofa Trembeckiego wiarę w możliwy cud sączyła powściągliwie. Zapewne moment, gdy powstawała, złudzeniom nie sprzyjał. Nadzieja jednak — i to jest niezwykle u tego pokolenia, w którego przytomności Rzeczpospolita pogrążała się w półtorawiekowy niebyt — nie opuszczała ludzi do końca. Niestrudzenie podejmowali kolejne działania, mogące oddalić widoczne przecież zagrożenie. Ale czy aby na pewno wszyscy doceniali wówczas, i czy należycie dziś doceniamy niezwykłość dzieła Komisji Edukacji Narodowej?

Przypomnijmy więc tę chwilę: jest ledwie połowa lat siedemdziesiątych XVIII wieku. W unowocześniającej się od paru dziesiątków lat i laicyzującej Europie raz po raz padają w różnych krajach głosy o konieczności zmiany systemów szkolnictwa, zeświecczenia ich, ujednolicenia, upowszechnienia. Pojawiają się próby i eksperymenty w tym duchu... Ale tylko w Polsce powstaje Komisja Edukacji Narodowej. Urząd państwowy, samodzielny, niezawisły od wielowiekowego oświatowego wszechwładcy — Kościoła. Powołany do wypracowania i wprowadzenia w życie nowoczesnego modelu państwowego szkolnictwa — tylko przed Sejmem odpowiada za swe działania. Jest to także pierwszy w Rzeczypospolitej wspólny urząd dla obu tworzących ją narodów, łączących się we wspólnocie — nierzadko przecież kwestionowanej — jednakowo pojmowanego interesu. Urząd ten, słusznie potem nazywany pierwszym w dziejach ministerstwem oświaty, przejmuje pod swój „dozór i kontrolę” wszystkie szkoły publiczne, żadnej nie wyłączając. Zyskuje też ustawowe prawo ingerencji — kadrowej i programowej — w działalność szkół niepaństwowych, zakonnych. Organizuje nowe placówki oświatowe, rozmaitych stopni. Odrzuca metody pedagogiczne niewołące uczniowskie umysły. Zmienia profil kształcenia, burząc retoryczno-teologiczny krąg jedynie dotąd słusznych treści, odgradzających młode

pokolenia od nowości zmieniającego się świata barierami niezrozumienia, wzdąry, nietolerancji. Buduje od podstaw programy dla nowo wprowadzanych przedmiotów nauczania, już uprawiane poddając gruntownej rewizji. Z tą myślą zarządza opracowanie „ksiąg elementarnych” — podręczników, których ogólny brak zdawał się nie przeszkadzać dotychczasowym wychowawcom. Planuje i realizuje imponujący program wykształcenia wielkiej liczby fachowców — wykonawców oświatowego dzieła, wprowadzając nieznanego właściwie, świeckiego zawód nauczyciela. Wykształconego w akademickim seminarium i zwanego wówczas akademikiem. Niezwykła, gigantyczna praca.

Jeśli się powiedła — główna w tym zasługa trafnie dobieganych komisarzy, którym pracę nad organizacją dzieła powierzono. Z sejmowego powołania (królowi pozostawiono tylko protektorat nad Komisją) byli to czterej senatorowie i czterej posłowie z Korony i Litwy. W pierwszym składzie — dwaj biskupi: Ignacy Massalski, pierwszy przewodniczący, oraz Michał Poniatowski, brat królewski i następny przewodniczący. Byli także: wojewoda gnieźnieński August Sułkowski i podskarbi litewski Joachim Chreptowicz — z senatorskiego stanu. Spośród posłów: Andrzej Zamoyski, eks-kanclerz koronny, Adam



Kompozycja symbolizująca odradzającą się Polskę. Rycina Franciszka Smuglewicza z karty tytułowej „Diariusza sejmu ordynaryjnego” z 1788 r.

Kazimierz Czaratoryski, starosta generalny ziem podolskich, Franciszek Poniński, starosta kopanicki i Ignacy Potocki, pisarz litewski. Temu gronu ludzi, równie oświeconych, co gorliwych w społecznym spełnianiu swych obowiązków (choć niejednoznacznie — jak w przypadku Massalskiego, Sułkowskiego, a nawet Poniatowskiego — osądzonych przez historię), w ciągu zaledwie kilku lat udało się stworzyć drożny i sprawny system oświatowy. Generalnie podzielono zadania między dwie prowincje: koronną i litewską. Na czele każdej stanęła Akademia, po reformie zwana „Szkołą Główną”. W Koronie był to uniwersytet krakowski, na Litwie — wileński. Prowincje dzielono na okręgi z jedną szkołą wydziałową (wojewódzką) siedmioletnią i kilkoma podwydziałowymi (powiatowymi) z sześcioletnim cyklem nauczania w trzech klasach dwuletnich. Komisja uchwaliła też szkoły elementarne: „większe” — dla miasteczek i „mniejsze” — dla wsi. Nie mając jednak na nie funduszy, zachęcała do ich zakładania proboszczów i ziemian: „Kto by z obywatelów jakiegokolwiek stanu szkoły parafialne lub nowe założył, albo dawniejsze lepiej opatrzył, rektor wydziałowy doniesie o tym Komisji, imieniem jej wdzięczność dobroczyńcy oświadczy oraz przy otwarciu szkół toż dobrodzieństwo ogłosi, do publicznej wiadomości drogą gazet poda i nabożeństwo uczniom też szkoły naznaczy”.

Szkoły Główne były zobowiązane do wizytowania szkół średnich, kontrolowania ich pracy i postępów uczniów, i przedstawiania radom uniwersyteckim raportów z tych wizytacji. Szkoły wydziałowe kontrolowały szkoły parafialne i elementarne. Program dla obu rodzajów szkół średnich był jednakowy. Wszystkich przedmiotów uczono w języku polskim, nawet łaciny. Uczono także, oczywiście, samego języka polskiego (gramatyki), religii i nauki moralnej, arytmetyki, algebry, geometrii i rysunków mierniczych, historii powszechnej z geografją, historii i geografii Polski, propedeutyki prawa, logiki, historii naturalnej (botaniki, zoologii, mineralogii), fizyki, higieny, dziejów sztuki, kaligrafii i nadobowiązkowo — języków nowożytnych. Program pomyślany był tak, by osiągnąć założone cele: wychować młodych ludzi dla pożytku narodu i państwa, dostarczyć im wiedzy o ich obowiązkach względem Boga, ale i ojczyzny, rodziców, współziomków. By obudzić w nich miłość do przeszłości i teraźniejszości własnego kraju, a także nauczyć rzeczy potrzebnych w życiu, przekazać wiedzę praktyczną i pożyteczną o otaczającym świecie. Największą wagę przywiązywała Komisja do wychowania moralnego, które dziś nazwalibyśmy obywatelskim. Dogłębnie, z naciskiem uświadamiano młodzieży jej patriotyczne wobec ojczyzny obowiązki obywateli, którzy przede wszystkim szczęśliwość kraju winni mieć na względzie i temu celowi podporządkowywać swe przyszłe postępowanie.

Dla umysłów od pokoleń tresowanych w łacińskiej gramatyce, składni, poetyce i retoryce, które stanowiły fundament jezuickiego wykształcenia i prowadziły do opanowania jedynie cenionej umiejętności wygłaszania mów i składania wierszy — była to zmiana rewolucyjna.

Początki były arcytrudne. Brakowało świeckich nauczycieli i podręczników. Znakomity pomysł młodego (dwudziestotrzyletniego) posła Ignacego Potockiego,

blaskotliwego wychowanka księdza Stanisława Konarskiego — utworzenia specjalnego Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych — szybko zostanie podchwycony. Nieustrudzony sekretarz Towarzystwa Grzegorz Piramowicz natychmiast podejmie pracę i zajmie się wyszukiwaniem odpowiednich ludzi, którzy mogliby stworzyć najpilniej potrzebne księgi: do nauki moralnej i chrześcijańskiej, do dziejów powszechnych, do gramatyki i higieny. Wymyśli dla tej inicjatywy nowatorską formułę konkursu i w ten sposób starać się będzie o podręczniki do matematyki, historii naturalnej, gospodarstwa, fizyki i mechaniki, logiki, wymowy i poezji, a także o „dykcjonarz potrzebniejszych wiadomości”. Zaprosi do tej pracy światowe sławy naukowe... Mimo długiego czasu powstawania takich dzieł — najślawniejsze z nich ukaże się prędko, bo już w 1778 roku, i będzie to *Gramatyka łacińska i polska dla szkół narodowych* dla klas pierwszych, autorstwa księdza pijara Onufrego Kopczyńskiego. W dwa lata potem otrzyma podręcznik druga klasa, a w latach 1782—1784 — trzecia. Uczony ksiądz pijar nowatorsko przedstawiał tu język jako obraz myśli i wprowadzał jego prawa z praw logiki. Ta pionierska zasługa zyska mu zaszczytne miano „prawodawcy języka polskiego”.

Powoli zjawiać się będą i inne księgi. W 1778 roku ukaże się *Moralna nauka dla szkół narodowych na klasę I i II* Antoniego Popławskiego, pijara, zasłużonego teoretyka wychowania, autora rozprawy *O rozporządzeniu i wydoskonaleniu edukacji obywatelskiej*, opublikowanej w 1775 roku. W 1779 roku pracowity ksiądz Piramowicz wyda tłumaczony z francuskiego *Dykcjonarz starożytności dla szkół narodowych*, a w rok później zbiór *Wypisów z autorów klasycznych na klasę I i II*. W tym samym roku Szwajcar Szymon Lhuillier, nauczyciel matematyki w Szkole Rycerskiej, dostarczy szkołom Komisji *Geometrii część I*, a w rok później Jan Hube, także wychowawca rycerskich kadetów — *Wstęp do fizyki dla szkół narodowych*. Przebojem i bestsellerem okaże się wydany w 1785 roku masowy, tani (dwudziestosiedmiogroszowy) *Elementarz dla szkół parafialnych narodowych* — dzieło zbiorowe, zawierające w sobie wszystkie nauki wymagane w kształceniu początkowym: czytania, pisania, rachunków, obyczajów i katechizmu. Podręcznik ten — wydany dla szkół parafialnych, a więc dla tych, nad którymi Komisja sprawowała wprawdzie nadzór programowy i wychowawczy, ale z braku środków nie utrzymywała ich, jedynie gorąco nakłaniając proboszczów do zakładania takowych — niczym uniwersalny klucz otwierał najszerszym uczniowskiemu (nieszlacheckim!) masom drogę do oświaty, do szkoły średniego stopnia. Używany będzie przez kilka jeszcze pokoleń. Na nim, jak na trwałym fundamencie, wyrośnie nowoczesna polska szkoła.

Podobnie skutecznie uda się rozwiązać problem nowej kadry nauczycielskiej. Jak już wspomniano, pedagogów świeckich, znających nowo wprowadzane przedmioty — na początku nie było. Zatrudnianie duchownych, choć na razie nieuchronne (w 1776 roku na 308 nauczycieli było 256 eks-jezuitów), na dłuższą metę nie wchodziło w rachubę. Oczywiście dziś fakt, że przygoto-

waniem nowej kadry zajmują się uniwersytety, w ówczesnych warunkach poprzedzić musiała reforma samych Akademii, tkwiących wciąż w średniowiecznej zaścianeczności naukowej i organizacyjnej. W Krakowie dzieła tego z niezwykłą energią i pomysłowością dokonał — w trzy lata! (1778—1781) — ksiądz Hugo Kollataj, w Wilnie — sławny astronom, eks-jezuita, Marcin Poczubutt.

Zacne Akademie odmłodziły. W orbitę ich zainteresowań wprowadzono nowe nauki: ścisłe i przyrodnicze. Nowocześnie wyposażano tworzone dla nich pracownie, laboratoria, obserwatoria i biblioteki. Urządzono ogrody botaniczne i kliniki medyczne (w 1783 roku rozpoczęto w Krakowie naukę anatomii na zwłokach, co jeszcze trzy lata przedtem wywoływało zjadliwe napaści „od pospółstwa”). Na uczelniane katedry sprowadzono uczonych cudzoziemców. Najzdolniejszych rodzimych studentów wysyłało do szkół za granicę. Uczniowie zażywali niezwykłego poważania. W roku 1785 dzień imienin królewskich czczono odczytaniem rozprawy profesora Jana Śniadeckiego o potrzebie stosowania matematyki do badań fizycznych. W dwa lata później, przy okazji wizyty króla w Krakowie, profesor Franciszek Scheidt przedstawił monarsze swą pracę o chemicznym powinowactwie ciał, a inny uczony, ksiądz Andrzej Trzcziński, profesor fizyki eksperymentalnej, mówił o znaczeniu obserwacji w rozwoju nauk mechanicznych.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat seminaria nauczycielskie zreformowanych Akademii przygotowały około setki „akademików”. Komisja Edukacji wymagała, by nawet osoby duchowne, pragnące podjąć pracę nauczycielską w prywatnych szkołach zakonnych, miały uniwersyteckie wykształcenie, bo tylko takie przygotowanie gwarantowało, że księża-wychowawcy działać będą w duchu reformy. Nowy „stan nauczycielski” zyskał, z uwagi na znaczenie powierzonych mu zadań, status szczególnego uprzywilejowania. Zwierzchnia nad wszystkimi szkołami publicznymi, a podległa tylko Komisji, Szkoła Główna rządziła się autonomicznie. Rektor, wybierany na cztery lata przez profesorów i zaopatrywany w patent Komisji, był nieusuwalny. Nad studentami miał pełnię władzy, ale nad profesorami władzę sprawowała tylko rada uniwersytecka, czyli całe grono pracownicze uczelni. Rada ta samorządnie decydowała o wszystkich sprawach naukowych, szkolnych i gospodarczych. Wybierała wizytatorów, którzy kontrolowali działalność szkół średnich i czuwali nad prawidłowym wykonywaniem Komisyjnych ustaw. Podobnie samorządnie rządziły się szkoły średnie; instancją odwoławczą była Szkoła Główna. Wszystkie razem — ziszczało wizję autonomicznego i demokratycznego państwa szkolnego.

Taki system wcale nie budził jednoznacznego zachwytu. Konserwatywni „Staruszkiewicz” do całego zresztą dzieła KEN uprzedzili się jeszcze zawczasu, widząc w tym kolejne zagrożenie dawnego, a w ich mniemaniu dobrze kiedyś postanowionego, porządku. Ich zdaniem nowinek w oświacie był już nadmiar. W dodatku — siłę tradycyjnych przyzwyczajeń społeczeństwa wychowanego w szkołach zakonnych wspomagały autentyczne intrygi i knowania dawnych, zakonnych wychowawców, którym świecki program oświatowy odbierał

uświęcony dotychczasowym łańcem „rząd dusz”. Sprzeciw wywoływały wszystkie zmiany: ograniczenie łacińskich i praktyk religijnych w szkole; w zatrudnieniu świeckich nauczycieli upatrywano zagrożenia wiary i obyczajności; nowe, ścisłe przedmioty miały zaśmieszać i przeciążać uczniowskie głowy, a takie dziwactwa jak botanika czy zoologia uczyły rzeczy wręcz niepotrzebnych, bo koń albo pies, jaki jest, każdy widzi... Nawet kary cielesne, którym Komisja się sprzeciwiała, znajdowały gorliwych obrońców — jako zdrowy sposób temperowania wybujałych młodych temperamentów i skutecznego wprzęgnięcia w zbawienne jarzmo posłuszeństwa.

Szlachta bojkutowała szkoły Komisji: odbierała synów i wysyłała ich za granicę — choćby do Zamościa, który po pierwszym rozbiore był już austriacki i nadal hojnie szafował łaciną i katechizmem. Często też korzystała ze szkół nieoficjalnych, nadal utrzymywanych przez zakony i uczących według dawnych, dobrych reguł. Zresztą i w szkołach publicznych nauczyciele eks-jezuici sabotowali zarządzenia Komisji, usiłując utrzymać stary porządek...

Sprzeciw wobec istnienia Komisji Edukacji Narodowej odparł jeszcze (skutecznie!) Sejm Czteroletni. Żądanie przywrócenia zakonu jezuitów i powierzenia mu na powrót edukacji wyraził z całą mocą targowicki uniwersał generalności (rządu konfederackiego) litewskiej.

Od samego początku idee publicznej, powszechnej oświaty, którą realizować miała Komisja, oskarżano o przymuszanie narodu do wysiłku, którego owoce są niepewne i nieprędko dadzą się spożytkować. „Dalekie to są rzeczy i nie my na te skutki patrzeć będziemy” — formułował ten dość powszechny zarzut Będziński — formułował ten dość powszechny zarzut Grzegorz Piramowicz w propagandowej ulotce — fikcyjnym liście skierowanym do anonimowego przyjaciela. I broniąc ustanowionego przez sejm dzieła, odpowiadał: „Mój przyjacielu, nie lepiejże kiedykolwiek na lepsze się odmienić, niż nigdy?”.

Mimo przeciwności, Komisja Edukacji Narodowej realizowała swe zadanie zgodnie z założonym celem. Jej dzieło przetrwało dramat upadku Rzeczypospolitej. W swym organizacyjnym kształcie długo jeszcze służyło następnym pokoleniom. W okresie zaborów stanowiło, jak to określił Władysław Smoleński, „podwalinę mocy narodu; przyczyniło się do rozproszenia ciemnoty i do rozbudzania uczuć patriotycznych”. Dla Polski XIX wieku okazały się to wartości fundamentalne, wspierające narodowego ducha w ponadwiekowej rozbiorowej niewoli.

I tu wręcz trudno uchronić się od zadziwienia nad trafnością wizji króla — inspiratora tego dzieła i jego niestrudzonego protektora. W 1783 roku Stanisław August pisał do Feliksa Oraczewskiego, zasłużonego działacza KEN i rektora Szkoły Głównej Koronnej.

„Najbardziej — pisał król — ufam temu żniwu, które choć po mojej śmierci inszy zbierać będzie, z mego jednak zasiewu, gdy przez poprawioną teraz dzieci edukację znajdzie pod ręką swoją kilkadziesiąt tysięcy obywateli oświeconych, od przesądów oddalonych i całe inaczej do życia usposobionych, niżelim ja ich zastał”.

Literatura i ludzie pióra

Dzieło oświaty „inaczej do życia usposabiające” wspierała, w równoległe podejmowanych wysiłkach — literatura. Jej wręcz nagły rozkwit przyniosły lata siedemdziesiąte — okres harmonijnego współistnienia czwartkowych biesiad i twórczej aktywności „Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych”. Zgodnie z hasłem wieku, który przyniósł głęboki kult wiedzy i niepodważalną wiarę w naukę, postrzeganą jako czynnik umoralnienia i wydoskonalenia człowieka — także literaturze nakazano uczyć i wychowywać. Ponieważ jednak edukacja wkraczała tu na teren sztuki, oczekiwano, że mądrości przekazywanych przez literaturę treści towarzyszyć będzie dbałość o piękno formy utworu. Był to wymóg zgodny z duchem epoki zapatrzonej w mistrzów antyku, a także z gustami twórców — znawców i admiratorów epoki francuskiego klasycyzmu. Według tych wzorców uroda poetyckiego języka i stylu iść miała w parze z rozsądkiem, jaki emanować powinien z zawartej w utworze myśli. Piękno musiało być pożyteczne. Artyzm miał zachwycać i uczyć.

Cele wyznaczone literaturze były *de facto* zadaniami obowiązującymi twórców. Treści oświeceniowych utworów opanuje więc dydaktyka. Zatriumfuje przy tym rodzaj literacki nieczęsto do tej pory w piśmiennictwie polskim uprawiany — satyra. Utwór z założenia szydzący, ośmieszający i piętnujący, negujący i krytykujący, a przez wyłożone w nim czytelnie stanowisko autora — pouczający. Idealny wręcz dla potrzeb tak cenionego przez tę epokę moralizatorstwa. Skuteczny środek równie pożądanego urabiania czytelnicznej opinii i umysłów.

Stanisław August doceniał potęgę słowa pisanego. Świadectw, że zachęcał swych przyjaciół poetów i pisarzy do podejmowania określonych tematów, o określonej przy tym wymowie — jest pod dostatkiem. Wszak i literatura mogła wesprzeć tak potrzebne krajowi dzieło przebudowy... Król począł gromadzić wokół siebie ludzi obdarowanych talentem pisarskim. Płacił im, obsypywał podarunkami, szaszczyłał swą łaskawością.

Pierwszych dowodów skuteczności „królewskiej polityki kulturalnej” dostarczył Najjaśniejszemu Panu i literaturze polskiej książdz biskup Adam Naruszewicz. Nadworny poeta i najbliższy współpracownik króla, w utworach swych wiernie i lojalnie wspierał poglądy i idee władcy i przyjaciela. Monarsze zamówienia wykonywał sumiennie, dając polskiej kulturze wspomniany tu już, pierwszy przykład historycznych dzieł Publiusza Korneliusza Tacyta oraz nowe ujęcie dziejów Polski w *Historii narodu polskiego od początków chrześcijaństwa* — pracy

nie ukończonej, ale tak obrosłej powyszukiwanymi przez księdza biskupa dokumentami, że do dzisiejszych czasów odkrywczo penetrowanej przez historyków zgłębiających słynne „teki Naruszewicza”.

Współcześnie książdz biskup zażywał sławy znakomitego poety. Ceniono jego dostojnie napuszone ody, konstruowane wedle najlepszych, klasycznych, horacjańskich wzorów, wytrwale panegiryczne. Cóż z tego nawet, że nie zawsze dość subtelnie pochlebne, skoro taka była potrzeba i taki obyczaj epoki? Ceniono jego humor i dowcip, który i nas dziś jeszcze potrafi zabawić, jak w tej przewrotnej pochwalnej odzie *Do bizuna* („O, z wieków cudotworny synu byczej skóry!”), oplakującej zanikający obyczaj zbawienno batożenia krnąbrnych wychowanków:

Bito wszędzie, i młódź też lepsza była bita.

Czego pijar nie dobił albo jezuita,

Dwory poprawowały; (...)

Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi,

Tracił wiek wół szalony zwolna swe nalogi,

Aż się też pożegnawszy z namiętności tłumem,

Począł z przewodniczym iść tylko rozumem.

Z uznaniem witano w Naruszewiczu mistrza słowa, który rozumiejąc potrzeby epoki — posłusznie oddaje swe pióro służbie założonemu celowi: pisząc uczy, moralizuje, wychowuje.

Osiem Naruszewiczowych satyr najsumienniejszemu wypełniło to zadanie. Skatalogowawszy rozplenione naganne obyczaje oraz wady i przywary rodaków, książdz biskup z największym poświęceniem oddał się ich demaskowaniu i piętnowaniu. Święcie więc będzie oburzał się w *Szlachetności* na niedostatek uczuć patriotycznych w narodzie, zdemoralizowanie możnych, żaloszny los chłopca i bezprawie. Będzie wykpiwał szkodliwy obyczaj gadulstwa (*Sekret*) i rozplenionego bezkrytycznego schlebienia możnym, nawet i lajdakom (*Pochlebstwo*). W *Chudym literacie* opki prowincjonalnego szlachcica, przypadkiem zabłąkanego do „sklepiku z księgami”, któremu prostacka dufność podpowiada pełne ignorancji sądy o wartości nie znanych mu książek, zawierających mądrości przerażające jego ograniczony umysł, a ciemnota ze skąpstwem połączona doradza zaopatrzenie się tam jedynie w „receptę do dryjakwi” — uniwersalne lekarstwo na wszystkie dolegliwości i „kalendarz nowy”. Ze smutkiem konstatuje Naruszewicz:

*...w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał.*

Ten dzień nie był tak odległy, a istotnie przybliżyć się miał także dzięki podobnym do Naruszewiczowych wysiłkom. Kolejne satyry: *Glupstwo*, *Wiek zepsuty*, *Małżeństwo* krytykować będą inne społeczne ułomności: obłudę religijną, upadek obyczajów, zbytki wielkopańskie i marnotrawstwo. Wienczą tę twórczość wyrafinowane — jako studium socjologiczne — *Reduty*, w których autor zaprezentował panopticum typów ludzkich — wcielen społecznego zła, na co dzień skrywanego pod oszukańczymi maskami, ale wszechobecnego i trawiącego dogłębnie współrodaków. Ta poruszająca siłą demaskatorską satyra pokazuje Warszawę zaludnioną postaciami o zafalszowanych charakterach, które narrator rozszyfrowuje poprzez zwodnicze maski:

*Pełno masek po mieście, że zaledwo prawie
Trzecia część w bałamutnej nie chodzi Warszawie.
Gdzie stąpniesz to twarz obca; rzadki człowiek co by
Rodowitej maszką nie ukrywał doby.*

Zjadliwe charakterystyki narratora odsłaniają prawdę o tych niby „redutnikach”, podążających na jakiś wymaginowany bal maskowy. Oto wielki pan w modnej karocy:

*Ma parę takich na dzień, a jedną do nocy.
Co za przepych na koniach! co za szor i siatki!
Mógłby za nie wyżywić i żonę i dziatki (...)
Powiedziałbyś, że to pan. Istnać to gołota
Kryje się wśród jedwabiu i jasnego złota.*

Oto następny — butny junak, co „przy kuflu za ojczyznę łba nadstawia chutnie”, ale w potrzebie, „gdy za kraj i monarchię trzeba pierś nadstawić”, tchórzliwie choruje lub chroni się w klasztorze. Oto znakomicie okpiiony hipokryta:

*Słyszałem, jak sypie na klasztor jałmużny,
A drzwi każe zamykać, będąc kupcom dłużny.
Na jednych liczy galkach procent i pacierze:
Dziesięć „zdrowych”, a od sum po piętnaście bierze.
Szarga sławę bliźniego zaraz po koronce;
Gorszy się, a sam w cudzej kwerenduje żonce.
Piątek suszył po grzankach, pił jak byk w niedzielę;
W wieczór był na Nalewkach, a rano w kościele.*

I wreszcie zwodnicza „madama”, jadąca kosztowną francuską karetą, korona wszelkiego zła w reutowej, Naruszewiczowej hierarchii. Bałamutna i rozrzućna snobka odwraca uwagę poważnych polskich mężów od spraw istotnych, „gładząc umysł sarmacki różnych znajdowaniem rozrywek i mód przednich”. Tak skutecznie to czyni, że rodacy zbiorowo tracą wrażliwość „na ojczyste zgony”:

*Już dziś nie słysząc kotłów i chrapliwej miedzi
My tańczymy, biją w bębny ogromni sąsiedzi.
Tam Mars, u nas Wenera; rzadko widzieć aby
Który z młodzi szlachetnej końskie cisnął schaby.
Rozpieszczone ciałeczko utłacza karety
Fartuch w niej chorągwią, proporcem kornety.*

Dostrzeżmy w tych obywatelskich i gorzkich ubolewaniach zręczliwego z pozoru satyryka — zadziwiająco, profetyczną przenikliwość, i pokłońmy mu się za tak odrywcze w *Redutach* odwołanie się do intrygującego środka artystycznego wyrazu, jakim jest ta maskarada zniewolonych własnymi słabościami manekinów. Z tego wzoru

skorzystają w przyszłości najwięksi polscy twórcy, wiedzeni potrzebą poruszenia narodowych sumień...

Dorobkiem, jaki w służbie ojczyzny i sztuki stworzył inny bywalec czwartkowych spotkań, obdzielić by można spory zastęp jego pisarskich konkurentów. Książd biskup warmiński Ignacy Krasicki czarował króla, salony i czytelników bogactwem swego talentu, a „obejściem” i nieporównanym wdziękiem osobistym przysparzał sobie rzesze wielbicieli i... zazdrośników. Uprawiał obok liryki — epos, obok publicystyki — powieść, a jeszcze: bajki, satyry, poematy heroikomiczne, listy poetyckie, komedie, powiastki filozoficzne, pieśni, żywoty historyczne. Pozostawił nam też pierwszy polski słownik pisarzy polskich i obcych i pierwszą encyklopedię pt. *Zbiór potrzebniejszych wiadomości*. Wykwintny stylista i mistrz dowcipu, porozsiewał po swych utworach całe garści zwięzłe i z humorem puentujących poetycką narrację sformułowań, które, oderwane od swych dzieł, często już zapomnianych — żyją do dziś w potocznym języku samodzielnie, na prawach konwersacyjnych aforyzmów. „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”, „Świat poprawiać — zuchwałę rzemiosło”, „Winszuję, ale nie zazdroszczę”, „My rządźmy światem, a nami kobiety”, czy najślawniejsze zapewne, poetyckie stwierdzenie:

*Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka,
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka*

używane bywają i dziś, zwykle przy pełnej nieświadomości co do rzeczywistego pochodzenia tych uniwersalnych mądrości...

Satyre, ten podstawowy dla zadań oświeceniowej epoki oręż literacki, Krasicki, wszak też dydaktyk i moralista, wydoskonalił tak świetnie, że mało kto po nim ośmielał się sięgać po tę formę wyrazu. Autor *Hymnu do miłości Ojczyzny* wychowanie patriotyczne i moralne społeczeństwa uczynił zasadniczym przedmiotem swej twórczości. Wątek ten przewodził jego najwcześniejszym poczynaniom w okresie „Monitorowych” przeorywań czytelniczych umysłów, sposobionych do zaakceptowania dzieła reformatorskiej przebudowy kraju. Można go było odnaleźć też w sławnych, a z pozoru tylko stanowiących „czystą igraszkę wesołego dowcipu” poematach *Myszeida* i *Monachomachia*. Dominował w pierwszych w naszej literaturze powieściach, w *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach* i *Panu Podstolim*, za którego ten wyrafinowany poeta chyba najwięcej komplementów od współczesnych zebrał. Przesięknął ten wychowawczy ton i do bajek, ale doraźnie najbardziej nośną dlań formą były — jak to już wspomniano — doskonałe poetycko utwory o charakterze niemal interwencyjnym — satyry.

„Uskramiać bronią żartu dowcipnego nieprzyzwoitości i zbrodni” — było, w przekonaniu XBW, zadaniem satyry. W epoce, której zmianę wzięły na siebie, jako trud obywatelski, najświatlejsze jednostki, tych „nieprzyzwoitości i zbrodni” nabierało się niemało, skoro Krasickiemu, nie pretendującemu do wyczerpania przedmiotu, starczyło tego na dwadzieścia dwa pokazanych rozmiarów utwory. Zarejestruje w nich autor niezmiernie bogactwo godnych napiętnowania występków. Zademonstruje galerię oszustów, zdrajców i marnotrawców, filutów, pochlebców i utracjuszy, głupców, mędrków, pijaków, żon

modnych i złodziejów. Jako „poprawiacz świata” oceni najkrytyczniej całą swą epokę, tolerującą i hodującą takie występki, i właściwie już w pierwszym, niejako programowym utworze — w *Świecie zepsutym* — ukaże przyczyny zła. Upadły bowiem dawne dobre normy i obyczaje:

*Wszędzie nierząd, rozpusta, występki szkaradne.
Gdzieżeście, o matrony święte i przykładne?
Gdzieżeście ludzie prawi, przystojna młodzieży?
Oślepił tuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.*

Naród, którego rejestr występków zajmie poecie połowę tego utworu — sam jest winien swego żalosego losu. Nawet jednak dramat rozbioru państwa nie musi oznaczać nieodwołalnego końca kraju. Wspólna, zgodna praca rodaków, pod mądrym przewodnictwem, może odsunąć zagrożenie i ocalić narodowy honor:

*Grozi burza, grzmi niebo; okręt nie zatonię,
Majtki, zgodnie z żeglarzem, gdy staną w obronie;
A choć bezpieczniejszej okręt opuścić i płynąć,
Podściwię być w okręcie, ocalić lub zginąć.*

Te niebłahe rady i nadzieje wzmocni jeszcze ksiądz biskup w kolejnym utworze (*Złość ukryta i jawna*) mądrą przestrogą:

*Padnie taka budowla, gdzie grunt nie jest stały
Chcemy nasz stan, stan kraju, ustanowić trwały,
Odmienimy obyczaje, a jawni się pracy,
Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy.*



Ignacy Krasicki (1735—1801)

Choć szlachetny i użyteczny ton dydaktyzmu mniejsze znalazł zastosowanie w Bajkach i przypowieściach — utworom tym warto poświęcić szczególnie wiele uwagi. Już choćby dlatego, że mistrzowsko zrealizowały inne ważne zadanie oświeceniowej literatury — wydoskonalenia polskiego języka, który precyzją i giętkością sięgnął tu wyżyn. Czwartkowi „akademicy” mogli tylko bić brawo w najszczerzym podziwieniu.

Bajki z przypowieściami zachwycają do dziś. Zwięzłość treści, lekkość formy i prostota stylu wręcz przydają przejrzystości myślowej tym często ledwie parowersetowym utworom. Ich myśl zaś, zdumiewająca każdorazowo swą trafnością i wytrwale służebna ogólnej sprawie, którą zatrudniać się chciała ówczesna literatura, przekazuje najbardziej osobisty, własny sąd autora o życiu, ujęty w niezwykłych, teoretycznie dla dzieci kreślonych historyjkach.

„Nie dla dzieci — lecz dla dorosłych drani” (jak po prawie dwóch wiekach dosadnie nazwie to Mieczysław Jastrun) jest ta bajkowa filozofia. Refleksje nad życiem i naturą ludzką snuje Krasicki tym odważnie, że bajki, zgodnie z tradycją i powinnością alegorii, maskują ludzkie cechy swych bohaterów kostiumem, czyniąc zwierzęta lub przedmioty martwe głównymi „osobami” opowieści. Prawdy zaś przedstawione tu przez Krasickiego zyskują wymiar filozoficznych uogólnień, a mądrości z nich płynące — charakter przybierają uniwersalny.

Wielbił drzewo, grzejąc się, człowiek przy kominie.

Rzekło drzewo: „Cóż po tym? Grzeje, ale ginie!”

Nawet uznane za najbardziej „narodowe” w treści bajki, jak *Woda i wino*, w której można dopatrywać się stanowiska autora wobec ważnych problemów społecznych:

Przymawiało jednego czasu wino wodzie:

„Ja panom, a ty chłopom jesteś ku wygodzie”.

*„Nie piłoby cię państwo — rzecze woda skromnie —
Gdyby nie chłop dał na cię, co chodzi pić do mnie”*,

czy *Ptaszki w klatce*, ogólnie uważane za utwór komentujący sytuację Polski (lub tylko samego autora, który wraz z Lidzbarkiem znalazł się w Prusach) po rozbiórce kraju:

*„Czegoż płaczesz? — starszemu mówił czyżyk młody —
Masz teraz lepsze w klatce niż w polu wygody”.*

*„Tyś w niej zrodzon — rzekł stary — przeto ci wybaczę;
Jam był wolny, dziś w klatce — i dlatego płaczę”*,

zawierają fundamentalne prawdy o właściwej dla świata mierze wszystkich rzeczy i o nieszczęściu, jakim jest każda niewola.

Bajki i przypowieści Krasickiego uświadamiają wiele gorzkich prawd o świecie w ogóle, nie tylko o polskim, zagrożonym narodowym upadkiem. Są one bowiem poetycką sumą doświadczeń wrażliwego artysty, którego nie mami rzeczywistość, trzeźwo przezeń obserwowana, ale napawa niepokojem i pesymizmem. Przeczuciem katastrofy. Musi do tego skłaniać świadomość przemocy triumfującej nad prawem (*Jaźnię i wilcy*), głupoty ludzkiej (*Kulawy i ślepy*), oportunistów i tchórzostwa (*Myszy* — „ani być z kotem, ani przeciw kotu”), pychy (*Szczur i kot*), fałszu i zakłamania (*Dewotka*) czy obojętności (*Przyjaciele* — „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca

zjadły"). Bajki są owocem zwątpienia. Próżno w nich szukać krzty nadziei, szansy ucieczki od nieubłaganego losu. Rozum — czynnik nadrzędny, któremu w Oświeceniu podporządkowywać należało najsztudniej nawet artystyczne wzruszenia — innych rozwiązań zdyscyplinowanemu poecie podsunąć nie mógł. Znajdzie je dopiero epoka następna, „rozumna szaleńca”...

Było przy stole czwartkowym jeszcze jedno miejsce na stałe określonego biesiadnikowi przyznane. Zajmował je poeta bardzo przez Stanisława Augusta faworyzowany, kształcony w Paryżu dworak, dowcipny i wesoły kompan wszelkich hulanek. Wspaniałomyślnie przez króla utrzymywany na pensji szambelana, ale najmniej może w tym gronie subordynowany, samowolny nawet — często urywał się od czwartkowego obowiązku. Wagarował, przepadał gdzieś na całe tygodnie i tylko listy do Najjaśniejszego Pana nadsyłane z prośbą o pożyczkę albo wykup „fantu”, zastawionego na poczet przegranej świadczyły, że imć pan Stanisław Trembecki żyje gdzieś i gra w karty. Król fanty, oczywiście, wykupywał, dobrotliwie najwyżej lając w liście swego szambelana: „A jak mi we czwartki nie będziesz był, to i ja płacić przestanę. Ja Ciebie samego chcę mieć w prowizji”.

Uchodził Stanisław Trembecki za najpierwszego mistrza we władaniu językiem polskim. Podziwiano jego styl — wykwinny a prosty, na najlepszych starożytnych i francuskich wzorach kształcony. Nikt tak wyrafinowanie jak on nie komplementował wierszami najpiękniejszych dam (mało kto zresztą mógłby wówczas równać się z nim w podobach niewieścich serc doświadczaniem). Mało kto tak udatnie i śmiało poczynił sobie z polskim językiem poetyckim, wprowadzając doń neologizmy, słowa potoczne, gwarowe, nawet regionalne. „Trembecki — wyrażał swój podziw Mickiewicz — w mowie polskiej znalazłszy niewyczerpane skarby, umiał nimi hojnie, ale zawsze rozsądnie zarządzać. Wskrzeszanie wyrazów niesłusznie zaniedbanych, wcielanie cudzoziemskich z języka po-bratymczego, nowych tworzenie, łamanie składni, śmiałych wyrażań i zwrotów używanie, słowem samowolna, ale szczęśliwa nad mową władza jemu samemu właściwą być się zdaje”.

Autor tej arcy pochlebnej opinii będzie się starał poetę-szambelana naśladować jak mistrza. Przerośnie go, ale zdania nie zmieni. W swych wykładach paryskich o literaturze słowiańskiej ogłosi Trembeckiego „największym sztukmistrzem”, „najdoskonalszym, najbardziej skończonym pisarzem, jakiego wydała Słowiańszczyzna”.

Spuścizna niewielka, która stanowi podstawę tej opinii, najczęściej ma ton panegiryczny. Jest w niej nieco wierszy politycznych, ód i listów okolicznościowych, wyraźnie na zamówienie Stanisława Augusta komponowanych, wielbiących program i poglądy królewskiego mecenasu i chlebobdawcy lub wskazane przez niego osoby, których przychylności władca rad był sobie zapewnić. Jest sporo salonowo-miłosnej liryki, niemało wierszy swawolnych oraz żartobliwych. Żadnej między nimi satyry, ani nigdy jakiegokolwiek moralizowania. „Innym, gorzkawe lubiącym smaki, zostawiam nudne kreślić satyrę” — wy-

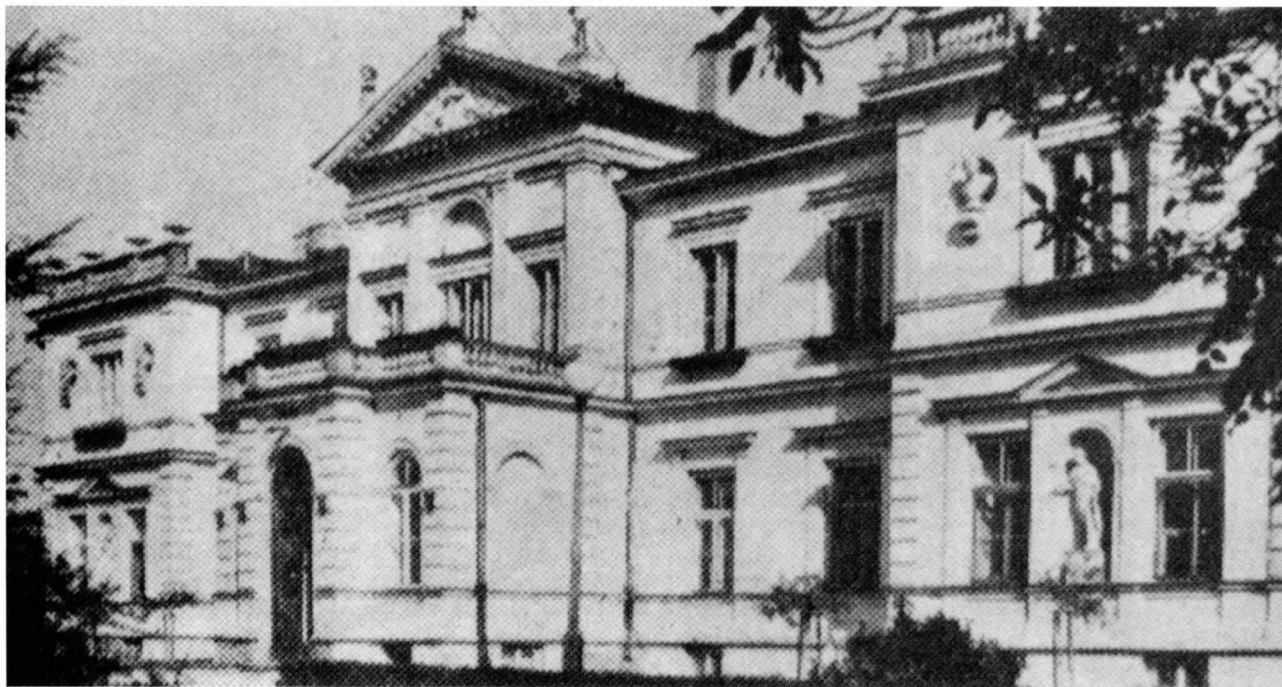
znawał Trembecki szczerze Wojciechowi Mierowi. Żywiłem jego było pochlebstwo, i nim też najbardziej zasłynął. *Powązkami* i *Sofiówką*, czyli idylliczno-panegirycznymi poematami sławiącymi urodę magnackich ogrodów, stworzonymi niewątpliwie na chwałę ich właścicieli. I *Polanką* — utworem o rzadkiej u Trembeckiego dydaktycznej nucie, głoszącym sławę Stanisława Poniatowskiego, oświeconego i postępowego pana, bratanka królewskiego, który w swym majątku oczynszował pańszczyżnianych dotąd chłopów, zapewniając gospodarstwu i ludzom swym pomyślność.

Historycy i krytycy literatury, nie skąpiąc pochwał językowi i stylowi tego poety — chętnie demonstrowali nieukontentowanie jego twórczością. Typowo dworska, zimna, „nie przeżyta”, jest przy tym przesadnie, do niesmaku wręcz, panegiryczna. Nadto czasem swawolna i... nieuporządkowana. Jej autor rzeczywiście nie dbał o pośmiertną sławę i o przekazanie dorobku potomności, wierszami często regulował życiowe należności... Często był w takiej potrzebie, był smakoszem życia, czcicielem bujności natury i człowiekiem oświecenie wyzbytym z przesądów...

Także ze skrupułów — słyszy się w uzupełnieniu. Jego „rusofilskie” poglądy polityczne, uwielbienie carycy, otwarta akceptacja rozbiorów, cenzorska służba u targowiczów i dożywotni pobyt w Tulczynie, na łasce ich przywódcy, Szczęsnego Potockiego, cieniem się kładą na tę wystylizowaną perfekcyjnie poezję. „Próchno świecące, poeta bez powołania, uprawiał poezję jak rzemiosło przygodne, chociaż żadnego innego nie posiadał” — grzmiał na Trembeckiego pełnią oburzenia solidny Aleksander Brückner. „Nic też nie stworzył znacznego; zadatek to wielkiego poety, lecz nie poeta” — dodawał zagniewany krytyk, który przez całe swe pracowite życie nie zmarnował zapewne ni chwili.

A jednak... Dla pisarzy i poetów, którzy rozumieli potrzebę kreacji literackiej polskiej języka — Trembecki długo pozostawał autorytetem. Doskonałość pisarstwa w wysokiej była wówczas cenie, a w retoryce klasykistycznej ten autor sięgnął mistrzostwa. Był więc naśladowany przez współczesnych (wiele zawdzięczał mu Tomasz Kajetan Węgierski), a i przez potomnych. „Trembeckim” pisywał swe młodzieńcze utwory Adam Mickiewicz, a zachwycony perfekcją *Sofiówkowej* strofy, pozwolił sobie na zaszczytną dla mistrza-klasyka „pożyczkę” w *Panu Tadeuszu*. W ten sposób (czyż kiedykolwiek przypuściłby ten zimny, wykalkulowany dworak?) w wersetach „Wy, klasyczne Tyburu spadające wody / i straszne Pauzylipu skaliste wydroże” trafiał stanisławowski klasyk — pod strzechy...

Nim go tam wszakże przywiódł najpierwszy nasz romantyk, literatura oświeceniowej epoki, wzbogacona utworami wielu jeszcze utalentowanych twórców (Franciszek Dionizy Kniaźnin, Franciszek Karpiński, Franciszek Zabłocki, Julian Ursyn Niemcewicz, Franciszek Ksawery Dmochowski i inni), zdobędzie szerokie rzesze czytelników, a w przyszłości, od imienia swego mecenasu nazywana będzie nawet — stanisławowską. Upowszechni się w Polsce zwyczaj sięgania po słowo pisane — i będzie to największy sukces tej literatury. „Różnica między



Pałac Juliana Ursyna Niemcewicza w należącej do niego od 1799 r. posiadłości Ursynów (wcześniej Rozkosz)

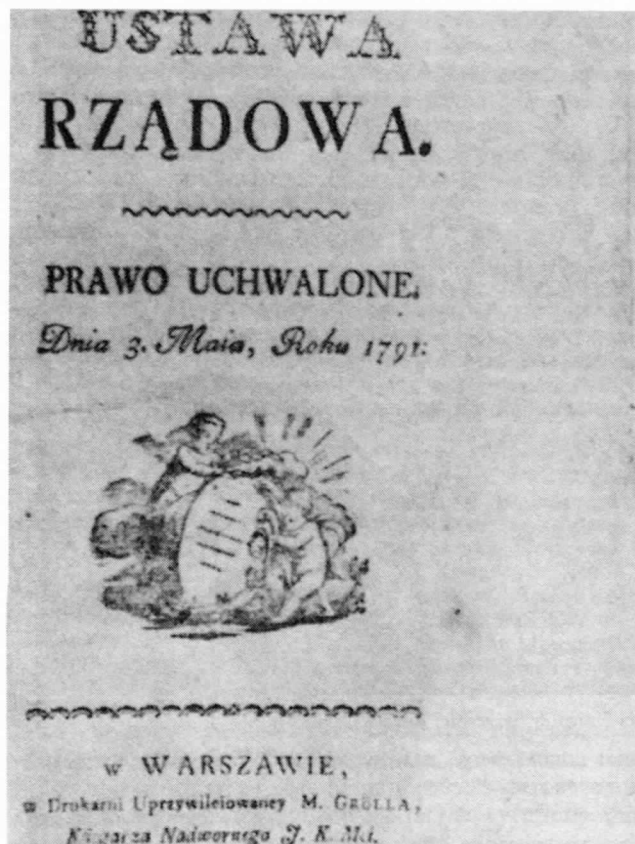
pokoleniem, co Stanisława koronowało r. 1764, a pokoleniem, co go apoteozowało r. 1791, była nadzwyczajna: dokonały jej szkoła i literatura. W 1764 r. nikt nic nie czytał, w 1791 wszyscy i wszędzie, nawet w karecie czy przedpokoju, nawet lokaje czy kelnerzy, nawet w gotowni czy u modystki” — konstatował Aleksander Brückner.

Rok 1791 — była to dla Polaków niezwykła pora. W trzecim roku obrad Sejmu Czteroletniego wykuwał się w sejmowych dysputach i pozasejmowych rozgrywkach ugrupowań politycznych plan wielkiej odmiany ustrojowej. W warunkach nie przemijającego oporu konserwatywnych środowisk szlacheckich rodziła się sławna do dziś i stanowiąca narodową chlubę Konstytucja 3 maja. Po miesiącach zaciętych debat nad kolejnymi projektami nowej „formy rządu”, nie zyskującymi dostatecznego poparcia, a często budzącymi namiętny sprzeciw samych, różnie zorientowanych reformatorów — zgodzono się na ostateczną wersję ustawy. W opracowaniu jej głównych założeń, jak i we wspólnej redakcji rozstrzygających postanowień (przyjmowanych w toku tajnych, pod osłoną nocy i w ścisłym gronie zaufanych osób prowadzonych dyskusji, z wybitnym udziałem Ignacego Potockiego — przeciwnika królewskiego, uznającego jednak „nadrzędność idei”), Stanisław August miał zasługi niekwestionowane, autorskie. Wprowadzona przez zaskoczenie pod obrady sejmu i uchwalona w drodze swobodnego zamachu stanu Ustawa Zasadnicza, choć wielu tradycjonalistom szlacheckim zdawała się oburzającym zagrożeniem wolności i narzędziem zgubnego despotyzmu — zyskała szeroki aplauz, a królowi przyniosła

uznanie narodu. Nieświadomi przyszłych, targowickich odstępstw króla od jej idei, Polacy — szlachetnie i mniej szlachetnie urodzeni — zgodnie wiwatowali na jego cześć, doceniając wartość dzieła, które współtworzył.

W istocie Konstytucja stanowiła zwieńczenie wieloletnich zabiegów o reformę państwa, a jej recepcja była rezultatem nasączania społeczeństwa oświeceniowym duchem patriotyzmu i poczuciem obywatelskiej odpowiedzialności za los kraju. W przygotowaniu tej zmiany (a niestety i w zwalczaniu jej idei) bezpośredni udział miały szerokie rzesze ludzi, którzy swe poglądy demonstrowali publicznie, walcząc o rząd dusz. Słowo pisane, dostępne już szerokim masom, było w tym dziele wielce skutecznym narzędziem. Spod pras drukarskich wylewały się istną lawiną różnorodne artykuły, rozprawy, traktaty, listy, ulotki, satyry, paszkwile, pieśni, wiersze okolicznościowe i nawet utwory dramatyczne (które przedstawiał Teatr Narodowy), a ciskane w żądny nowej pisanej strawy tłum rodaków — ekscytowały czytelników. Entuzjazmowały lub oburzały wyrażanymi poglądami na wydarzenia chwili bieżącej, podszywanymi informacjami i komentarzami, nutą pochwalną i prześmiewczą, tonem aprobaty albo potępienia, patriotyczną troską, która — bywało — ogarniała wszystko, i demaskatorską pasją, która nie oszczędzała niczego. W tej gorącej, aktualnej literaturze politycznej czytelnicy poszukiwali i znajdowali treści, które przemawiały do ich umysłów i emocji. Pomagały wykreować własne poglądy, wspierały w wahaniach lub choćby tylko tłumaczyły istotę wydarzeń, jakimi wtedy żyli wszyscy wokół.

Literatura wiodła ich w wielki świat. I objaśniała go.



Fajansowy talerz z manufaktury w Belwederze

Karta tytułowa Konstytucji Trzeciego Maja



Uchwalenie Konstytucji 3 maja 1791. Współczesny sztych G. Tauberta i J. F. Bolta

Warszawa — narodziny nowoczesnego miasta

Czasy stanisławowskie, które tyle zmian w życiu kraju zapisały na swym koncie, zrealizowały jedną jeszcze „zasadniczą odmianę losu”, która skalą swego zasięgu i trwałością dokonanych przeobrażeń przerasta być może wszystkie pozostałe, już tu przypomniane. Do dziś na co dzień doświadczamy żywo konsekwencji tego dzieła, uznajemy je za nieodłączną część naszej rzeczywistości, za naszą własność. Dzieło to, idealnie się „wpasowując” w kolejne epoki — nie wychodzi z mody, nie traci aktualności. Nie traci też, mimo upływu czasu, swego charakteru — tak zdatnie i szczęśliwie zostało wówczas uformowane.

Warszawa — miasto i ludzie — długo czekała, nim ukształtował się jej los. Jej autentyczne, nieodmienne, nienaruszalne w zasadniczym swym rysie oblicze. To właśnie lata 1764—1795 obdarowały ją tożsamością. Tak głęboką, że ogarniając dziś dalsze jej dzieje — mimo powstań, zniszczeń, odbudowy i... przewietrzania — z radością odnajdujemy wbudowanego w jej istnienie, zrośniętego z nią „ducha miasta”, który sprawia, że dalej już może być tylko tak, jak w (strawestowanym nieco) francuskim powiedzeniu: *plus ça change, plus c'est la même... ville*.

Od roku 1611, z łaski Zygmunta III Wazy, który tu przeniósł z Krakowa swój dwór, była zaledwie „Miastem Rezydencjonalnym Jego Królewskiej Mości”, i mimo że królowie nigdy już na stałe bytowanie do Krakowa nie wrócili — pozostawiono tę nieformalność. To dlatego *Encyklopedia* francuska w XVII tomie, który ukazał się w 1765 roku, określa ją jako „stolicę Mazowsza i w pewnym sensie całego państwa”.

Ludwik kawaler de Jaucourt, bliski współpracownik Denisa Diderota, naczelnego redaktora *Encyklopedii*, oglądał Warszawę, jak i cały kraj, jeszcze w czasach saskich. Wydał jej świadectwo w pochwałach raczej powściągliwe: „Piękne jest położenie tego miasta, zbudowanego u krańca rozległych równin i wznoszącego się tarasami nad Wisłą. Otaczają je kręgiem przedmieścia, gdzie panowie mają swe pałace, a mnisi klasztory. Ulice są tam szerokie, równo wytyczone, a w zimie wskutek braku bruków zmieniają się w otchłań błota. Miasto — to zwykła dziura, zamieszkała przez kupców i rzemieślników”.

Kawaler de Jaucourt więcej już do Warszawy nie zawitał, a szkoda, bo w ciągu piętnastolecia, przez jakie jeszcze gościł na tym świecie, miałby niejedną okazję do zweryfikowania swej opinii. Pewne ożywienie warszawskiego życia, widoczne już za Sasów, zwłaszcza pod rządami gospodarnego marszałka wielkiego koronnego

Franciszka Bielińskiego, w epoce Stanisława Augusta nabrało widocznego przyspieszenia i rozmachu. Już w pierwszym roku (1765) jego panowania miały miejsce rozliczne ważne dla życia miasta wydarzenia, wyżej omawiane. Przypomnijmy więc tylko, że działalność wtedy rozpoczęły: Komisja Dobrego Porządku, Mennica, Ludwisarnia, Szkoła Rycerska, „Monitor” i Teatr Narodowy. Takiej bujności życia nie doświadczyła Warszawa nigdy dotąd.

Ruch i rozmach przyciągały ludzi. Miasto w 1764 roku około trzydziestotysięczne, w sześć lat później ma już 40 tysięcy mieszkańców, w szesnastcie — 50 tysięcy, by w szczycie wydarzeń politycznych, w ostatnim roku Sejmu Czteroletniego (1792) osiągnąć około 120 tysięcy. Wówczas to od „zwykłej dziury”, którą oglądał kawaler de Jaucourt, różniło ją niemal wszystko. Za sobą miała krok milowy: przejście niemal do kapitalizmu.

Ale — po kolei.

W 1766 roku, drugim swego panowania, Stanisław August rozpoczął działalność budowlaną, która najbardziej chyba spektakularne — bo zewnętrzne — zmiany przyniosła miastu, znacznie podnosząc jego skromną dotąd urodę. Najpierw skupił swą uwagę na Zamku Ujazdowskim, z myślą o przekształceniu tej starej rezydencji Wazów, malowniczo położonej na wiślanej skarpie, w nowoczesną siedzibę monarszą. Zamiar ten, mimo zaangażowania znakomitych królewskich architektów: Jakuba Fontany i Dominika Merliniego, nie powiedzie się w pełni, gustu królewskiego nie zadowoli, co w rezultacie przesądzi o prozaicznym losie tego zamku. Stanisław August wielkopańskim gestem odda go w 1784 roku na koszaży Gwardii Pieszej Litewskiej. Pozostanie jednak po tych staraniach wspaniała Droga Królewska (dziś — Aleja Wyzwolenia i ulica Nowowiejska), która, prowadząc od strony Woli do Ujazdowa, otwierała rozległą perspektywę na planowaną monarszą rezydencję. Na jej przecięciu z saską Drogą Kalwaryjską (dziś Aleja Ujazdowskie), łączącą Warszawę z Ujazdowem, wyznaczono w 1768 roku okrągły plac Na Rozdrożu, z którego promieniście rozchodziło się sześć prosto wytyczonych alei. Przekształcono w nie wszystkie szlaki wiodące do Ujazdowa, obsadzając je ozdobnymi lipami. Cała okolica otrzymała gwiazdzisty układ placów z odchodzącymi od nich promieniami ulicami. Dzisiejsze place Unii Lubelskiej i Zbawiciela są częścią tego założenia, którego koncepcję ogólną wypracował August Moszyński, dyrektor budowli królewskich, i które utrwaliło się w dziejach warszawskiej urbanistyki pod nazwą Osi Stanisławowskiej.



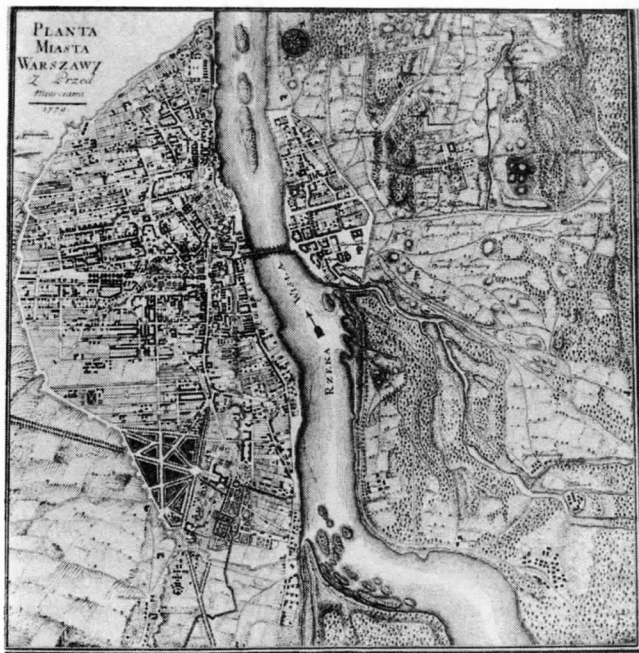
Pieczęć miasta Warszawy z 1791 r.

Ożywienie przemysłu...

W tym samym 1768 roku jeszcze ruszą zakłady Kompanii Manufaktur Welnianych. Uruchamiane z wielką nadzieją, miały być jaskółką zwiastującą tak pożądany rozwój rodzimego przemysłu. W ich powstanie zaangażują się najpierwsze nazwiska epoki, z kanclerzem Andrzejem Zamoyskim na czele. Grunty na Gołędzinowie pod budowę fabrycznych baraków i cegłę z królewskiej cegielni ofiarował król. Sprowadzonym specjalnie zagranicznym rzemieślnikom powierzono szkolenie i nadzorowanie przymusowo werbowanych do tej pracy „pensjonariuszy” warszawskiego Zuchthausu, czyli Domu Poprawy. Z dumą oglądano pierwsze własnej produkcji sztuki sukna, kapelusze, pończochy... Z zadowoleniem — produkty innej manufaktury: belwederskiej farfurni królewskiej. Uruchomiona w tej samej szlachetnej intencji ożywienia krajowego przemysłu, do końca swego istnienia przynosić będzie królowi zaszczyt, ale i deficyt, ponieważ jakością wytwarzanych fajansów nie dość fachowi „farfurnicy” nie potrafili dorównać produktom zagranicznym.

Nie będzie miał natomiast takich kłopotów indywidualny wytwórca — Tomasz Dangel. W 1769 roku otworzy on przy ulicy Rymarskiej skromny zakład siodlarski. Londyńska praktyka i posażne małżeństwo uczynią z drobnego rzemieślnika wielkiego przedsiębiorcę, który zatrudniać będzie około 300 osób i produkować (już przy ulicy Elektoralfiej) renomowane powozy i karety, poszukiwane w kraju i za granicą.

Przyszłość należeć będzie do takich zakładów. W 1784 roku Warszawa mieć będzie już 169 budynków przemysłowych: browarów, garbarni, cegielni. Zasłynię



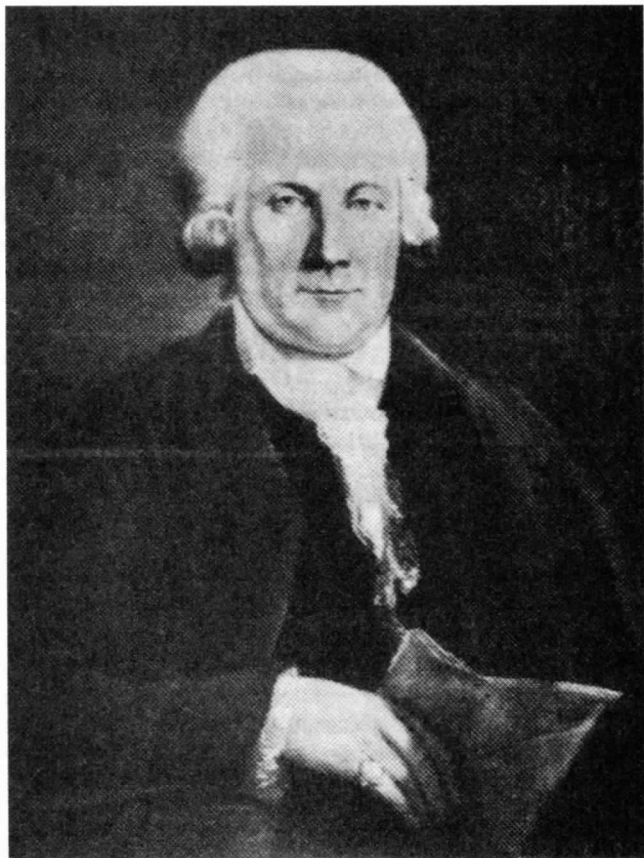
Plan Warszawy z 1779 r., autorstwa majora Hennequina

młynami, persjarniami, czyli manufakturami wyrabiającymi pasy kontuszowe, i doskonałym papierem z zakładów w Jeziornej — istniejących do dziś.

...i handlu

Ożywienie przemysłowe zaowocuje ożywieniem handlu, to zaś zrodzi potrzebę nowych gospodarczych unormowań prawnych. Uchwalone zostanie nowoczesne prawo weksłowe, uregulowane zostaną zasady kredytowania. Pomyślność banków i rozwój handlu wspomogą także kontrowersyjna decyzja sejmowa równouprawnienia dysydentów. Coraz liczniej osiedlający się w Polsce cudzoziemcy objęci zostaną wówczas miejskim prawem do wolnego handlu. Powstaną więc liczne firmy kupieckie: niemieckie, francuskie, ormiańskie, nawet czeskie. Zaroi się w stolicy od wielkich i wytwornych magazynów, które handlować zaczną najwykwintniejszymi towarami, sprowadzanymi z całej Europy: meblami, tkaninami, porcelaną, koronkami, dziełami sztuki. Świetnością warszawskie sklepy bić będą wiedeńskie, petersburskie, berlińskie... Legendarne fortuny polskich panów, z niepomierłą fantazją szastających groszem, a i narodowa skłonność do wystawności — wytworzą spory, a dość niezwykły w niebogатым kraju, jakim wówczas była Polska, popyt na kosztowne, importowane towary. Sławne były, na przykład, zakupy Karola Radziwiłła „Panie Kochanku” — na metry albo raczej na dziesiątki metrów, „stąd — dotąd”, wszystko jak leci, przez połowę albo i więcej ogromnego magazynu.

Pieniądz robić będzie pieniądz. Poważni kupcy: Hampeln (meble, dzieła sztuki), Roesler (towary norym-



Jan Dekert (1738—1790), kupiec, prezydent Warszawy

berskie), Jarzewicz (towary angielskie) utrzymywać będą rozległe stosunki z zagranicą. Poważni bankierzy, jak sławny Piotr Tepper czy Fryderyk Kabryt, hojnie kredytując swych ziemiańskich najczęściej klientów, dorobią się legendarnych fortun, szlacheckich indygenatów, ziemskich posiadłości i pałaców przyćmiewających przepychem magnackie. Ideę rozwoju przemysłu i handlu wspierać będzie Warszawskie Towarzystwo Handlowe, założone w 1786 roku. Jego organ prasowy, „Dziennik Handlowy”, przynosić będzie użyteczne informacje o targach krajowych i zagranicznych, o sprzedaży ziemi i o transporcie, o produkcji krajowych manufaktur, o projektowanych traktatach handlowych, nawet o cenach w różnych regionach kraju. Król życzliwie oceni tę formę handlowej propagandy, prenumeratorów też „Dziennikowi” nie zabraknie.

Księgarnie, drukarnie

Jest rzeczą ciekawą, że w tłumie kupujących nie brakowało... amatorów książek. „Chudzi literaci” raczej pozostawali chudzi, ale księgarzom wiodło się w ówczesnej Warszawie całkiem nieźle. Stolica była potężnym ośrodkiem księgarskiego handlu. Na niewielkim obszarze handlowej Warszawy — na Starym Mieście i w pobliżu — działało w tych latach aż dwanaście księgarni,

sprzedających książki polskie i obce, a także nuty, sztychy, a nawet instrumenty muzyczne. Nie brakło też w Warszawie przekupniów-bukinistów, jak ten z obrazu Canaletta *Ulica Miodowa*. Księgarski towar często przyjeżdżał z zagranicy, ale przede wszystkim dostarczały go miejscowe drukarnie, których liczba w czasach stanisławowskich szybko rosła. Po zasłużonym Mitzlerze de Kolof, który „zaprzedał się” Szkole Rycerskiej, przybyli do stolicy kolejni cudzoziemscy drukarze: Piotr Dufour z Francji i Michał Gröll z Saksonii. Dufour, sprowadzony przez księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, zdobył stołeczny rynek iście kapitalistycznym rozmachem. W krótkim czasie zorganizował wielkie przedsiębiorstwo drukarskie. Spod jego pras wychodziła między innymi cała polska literatura dramatyczna, zebrana w 56 tomów, pod tytułem *Teatr polski*. Rzutki Francuz wydawał też liczne pisma polityczne i literackie (wśród nich „Monitora”), nieprzeliczone druki ulotne w okresie Sejmu Wielkiego i insurekcji kościuszkowskiej, a nawet pożyczal na procent pieniądze. Zbudował więc też sobie cztery dworkowe rezydencje...

Michał Gröll zasłynął nieposzlakowaną jakością swej produkcji. Zaczął od księgarni i kantoru ogłoszeń, a uzyskawszy w 1775 roku przywilej królewski na założenie drukarni dawał przykład najwyższego poziomu edytorstwa, wykwintu i staranności szaty graficznej wydawanych przezeń książek, no i, co najważniejsze, ich przedniej zawartości. Opatrzony Gröllowskim wydawniczym godłem — medalionem z profilami Sarbiewskiego i Naruszewicza — wychodziły tomy najwybitniejszych polskich autorów: Krasickiego, Trembeckiego, Karpińskiego, Zabłockiego, Niemcewicza i, oczywiście, samego Naruszewicza. Tu wychodziły przekłady najznaczniej-



Medalion z wizerunkami Macieja Sarbiewskiego i Adama Naruszewicza

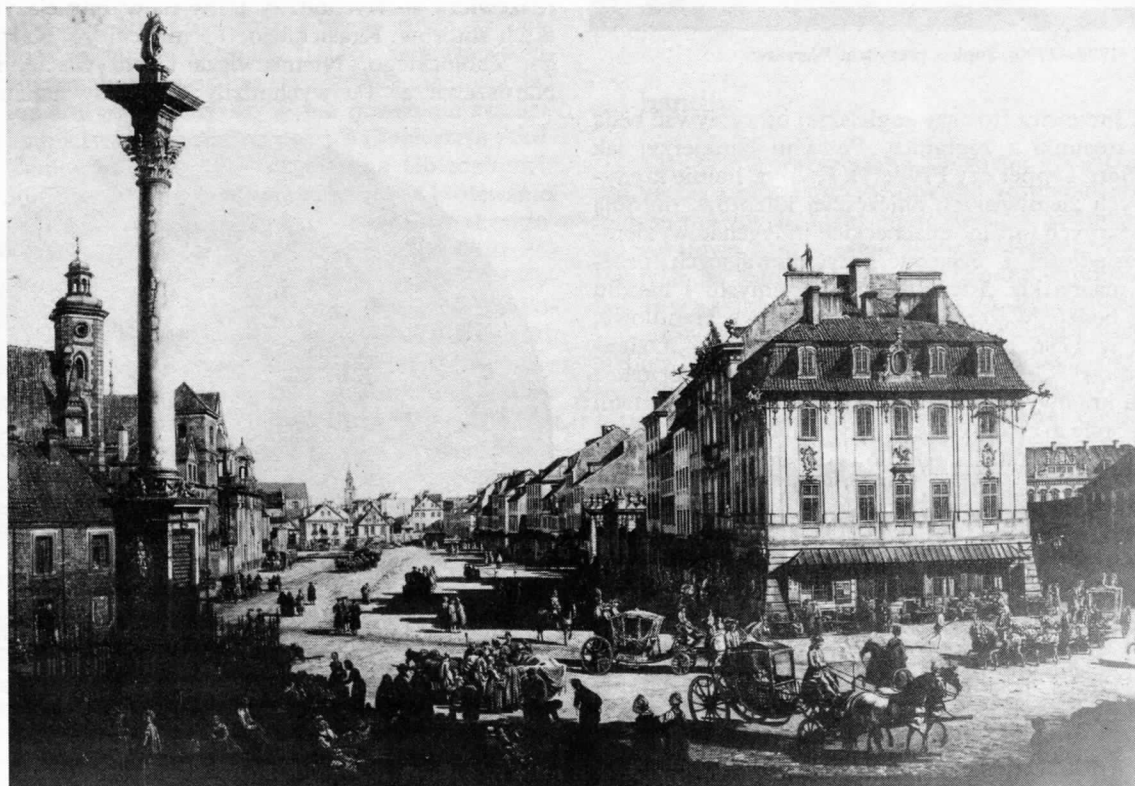
szych autorów zagranicznych: Woltera, Rousseau, Racine'a, Lesage'a, Defoe; po 30—40 tytułów rocznie. Były także czasopisma, a wśród nich „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne” i postępowy miesięcznik „Pamiętnik Polityczny i Historyczny” Piotra Śwйтkowskiego, bardzo aktywny w czasach Sejmu Czteroletniego, brutalnie zlikwidowany przez władze targowickie. W księgarni Grölla można było nabyć *Encyklopedię* francuską i wszelkie poszukiwane przez klientelę nowości zagraniczne. Informowały o tym wydawane co rok katalogi (z nich wiemy, że w 1778 roku *Bajki i przypowieści* Krasickiego kosztowały 2,15 zł, a *Satyry* — 3 złote), rozsyłane przez dbałego przedsiębiorcę po całym kraju. W ślad za nimi jechały książki — do własnych składów firmy albo do okazjonalnej sprzedaży na kontraktach (zjazdach handlowych) w Dubnie, Mińsku, a nawet na targach w Lipsku.

Drukarni Uprzywilejowanej Michała Grölla, księgarni nadwornej Jego Królewskiej Mości, przypadł zaszczyt opublikowania Ustawy Rządowej — Konstytucji 3 maja.

Na mniej zasobnych, a spragnionych drukowanego słowa, czekały w Warszawie wcale liczne „gabinety literatury” — jak je z francuska nazywano — czyli czytelnie i wypożyczalnie książek, zakładane zwykle przy księgarniach. Opłaty pobierały skromne, za to oferowały sporo atrakcji. U Józefa Lexa, na przykład, można było uczyć się języków obcych, napić kawy lub czekolady. W czy-

telni u Jana Potockiego, właściciela Drukarni Wolnej, działał dyskusyjny klub polityczny. Bezpłatnie zaś, dwa razy w tygodniu, udostępniała swe zbiory Biblioteka Załuskich. Ta przezasobna księżnica, założona jeszcze w 1747 roku przez dwóch braci biskupów: Andrzeja Stanisława i Jana Andrzeja, od 1773 roku była własnością skarbu i biblioteką publiczną. Moment jej założenia uznaje się dziś symbolicznie za początek odrodzenia umysłowego Polski po latach saskiego zastoju. Sława pomieszczonych w niej rarytasów (200 tysięcy woluminów pozostawionych przez fundatorów, powiększone przez Rzeczpospolitą o następne 200 tysięcy) przesądziła jej los. Po upadku powstania kościuszkowskiego wywieziona do Petersburga przez rosyjskich zaborców, posłużyła tam do zbudowania Cesarskiej Biblioteki Publicznej, dziś noszącej imię Sałtykowa-Szczedrina i chlubiącej się nadal posiadaniem wielu jeszcze unikatów, którymi i Załuscy się chlubili.

Póki wszakże była własnością Rzeczypospolitej — wypożyczała swe książki nawet do domu! Podobnie czynił król, udostępniając chętnym swój starannie wyselekcjonowany księgozbiór, pięknie rozlokowany w zaprojektowanej przez Merliniego Bibliotece. Można też było korzystać z książek w bibliotece Szkoły Rycerskiej lub w zbiorach niektórych magnatów... Po ciekawej świata Warszawie książki krążyły gęsto, niczym — jak to bystro dostrzegł Franciszek Salezy Jezierski — „weksle prawdy i nieprawdy, mające wypłacać wiadomość w potomności”.



Krakowskie Przedmieście w Warszawie. Mal. Bernardo Belotto, zwany Canalettem

Rozbudowa miasta

Pęczniejące od przybyszów miasto rozrastało się wzdłuż i wszerz. Potrzebne były wciąż nowe tereny pod zabudowę mieszkalną. Dotychczasowy ośrodek miejskiego życia — Stare Miasto stopniowo traciło swoje znaczenie. Rozbudowują się nowe dzielnice: Powiśle, Żoliborz — na razie wciąż jeszcze jako jurydyki magnackie. Szeroko wytyczona ulica przecinająca jurydykę Bielino (zagospodarowaną jeszcze przez marszałka Bielińskiego) obrośnie domami, dając początek dzisiejszemu Śródmieściu, skupionemu wokół Marszałkowskiej. Podejmie się wiele czynności porządkowych i cywilizacyjnych: ulice otrzymają nazwy, a domy — numery, zinwentaryzuje się nieruchomości i majątek miejski, sporządzi spisy ludności. Stolica otrzyma straż ogniową i w roku 1777, po prawie siedemdziesięcioletniej przerwie — most, wprowadzie tylko łyżwowy, rozbierany na zimę, niemniej łączący brzegi Wisły przez większą część roku.

I wreszcie — miasto piękniało. Przybywało mu wiele nowych lub pięknie odnawianych, cieszących oko gmachów. I w tym dziele przykładem świecił król. Poza budowlami królewskimi, miał wzgląd i na publiczne. W zamkowych pracowniach architektonicznych powstawały niezliczone, wielowariantowe projekty budowy i przebudowy gmachów powszechnej użyteczności: Pałacu Rzeczypospolitej, teatru, muzeum, Akademii Nauk, kościołów, Biblioteki Załuskich i Pałacu Kazimierzowskiego. Nie wszystkie udało się królowi zrealizować, głównie ze względów finansowych, ale ważna okazała się „idea zapalna”. Królewskie zamięłowanie do budownictwa, do pięknej architektury i wysmakowanych wnętrz,

sprawokowało dziesiątki magnackich i nawet mieszczańskich przedsięwzięć w tej dziedzinie. Potrzeba, snobizm i pieniądze zmieniały wygląd warszawskiej ulicy.

W cenie byli architekci dworscy, choć rozmach był tak wielki, że i niedworscy mieli pełne ręce roboty. Najwięcej budowano w pobliżu Zamku Królewskiego, przy ulicach: Senatorskiej, Miodowej, Długiej, Krakowskim Przedmieściu. Do dziś architektoniczna uroda tych okolic jest wizytówką Warszawy. To tu, na Krakowskim Przedmieściu, architekt królewski Jan Chrystian Kamsetzer wznosił w latach 1785—1792 dla hetmana Ludwika Tyszkiewicza piękny pałac z klasycystycznymi wnętrzami, uchodzącymi w mieście za najpiękniejsze, dziś służącymi zbiorom Starych Druków Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Tu także przebudowana została w tymże czasie przez Piotra Aignera fasada kościoła Bernardynów, czysta i jasna w swych klasycznych proporcjach i oszczędnym wystroju, zwieńczona emblematem z królewską cyfrą SA. Nieco dalej, przy Senatorskiej, książd prymas Antoni Ostrowski pozostawił pamiątkę swej architektonicznej troski: przebudowany i rozbudowany przez Efraima Schrögera pałac Prymasowski. Dodane wówczas półkoliste skrzydła i kolumnady uczyniły ze skromnej budowli prawdziwie imponującą siedzibę władców Kościoła. Tę nowatorską formę architektoniczną powtórzyły i rozwinęły magnackie rezydencje w Kocku, Siedlcach, Świacku pod Grodnem, a przede wszystkim w Tulczynie — u przebogatego Szczęsnego Potockiego.

W odległości dwustu metrów od pałacu Prymasowskiego przy ulicy Miodowej 7, ten sam Efraim Schröger zbudował najbogatszemu bankierowi warszawskiemu Piotrowi Tepperowi pałac-kolos, który można dziś zobaczyć jedynie na starych fotografiach i, oczywiście,



Pieczęć Administracji Dochodów Publicznych m. Warszawy (1795 r.)



Pałac Tyszkiewiczów w Warszawie (1785—1791), zaprojektowany przez J. Ch. Kamsetzera i S. Zawadzkiego



Sala Balowa w Pałacu Prymasowskim, przebudowanym w 1784 r. przez Efraima Schroegera

u Canaletta. Solidny, w kształcie — jak to złośliwie zauważono — „skrzyni kasowej”, parter przeznaczal na pomieszczenia bankowe, pierwsze piętro na wytworny apartament do wynajęcia, drugie zaś — na rezydencję właściciela. Przepychem urzędzenia onieśmiał przybyś-zów. Bogaty bankier podejmował w nim samego króla, magnacki apartament natomiast służył w 1807 roku napoleńskiemu ministrowi spraw zagranicznych, księciu Talleyrandowi, który wydał tu bal na cześć cesarza Francuzów... Napoleon miał tu tańczyć z panią Walewską.

Obok takich, wcale licznych delicii architektonicznych, które przyciągały wzrok i absorbowwały uwagę mieszkańców miasta tym, co działo się w ich wnętrzu, pozna wówczas Warszawa prawdziwą nowość, która stopniowo rozprzestrzeniając się — zdominuje pejzaż stołeczny, w każdym razie w centralnym, przyzamkowym rejonie. Tą nowością — obyczajową, cywilizacyjną, gospodarczą — będą kamienice mieszczańskie, już nie rodzinnym wyłącznie klanom służące, ale mające przynosić właścicielom dochody przez wynajmowanie w nich mieszkań. Wzdłuż najlepszych stołecznych ulic sytuować się będą takie kamienice czynszowe, wypierając nierzadkie jeszcze w tej okolicy drewniane domki, spajając w harmonijną całość uliczne ciągi zabudowy, dostrajając się wyglądem do nadających ton i narzucających poziom

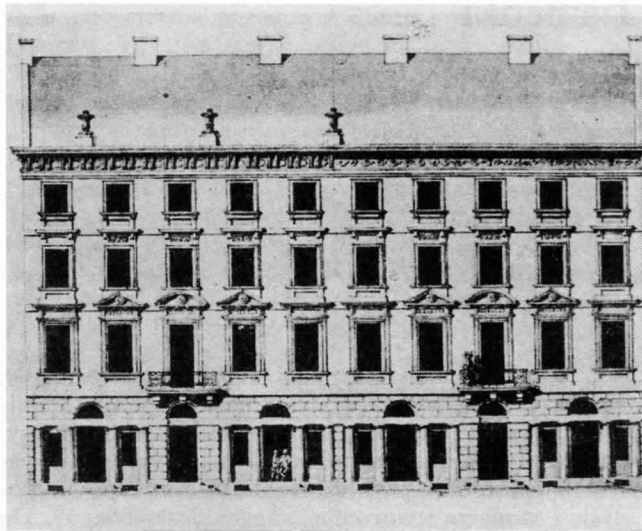
architektoniczny pałacowych rezydencji. Rodzącym się kapitalistycznym ambicjom mieszczańskiego biznesu przewodzić będą bracia Roeslerowie, kupcy warszawscy. Zakupiwszy od wojewody sieradzkiego — Mikołaja, jego magnacką, ojcowską siedzibę — pałac Małachowskich, na dziedzińcu przylegającym do atrakcyjnej handlowo ulicy Krakowskie Przedmieście wybudują ogromną, trzy-piętrową kamienicę. Po 200 latach świetny znawca architektury tej doby i miłośnik starej warszawskiej zabudowy, Marek Kwiatkowski uzna takie praktyki za „negatywny przejaw niszczenia dawnych założeń przez zabudowę typu kapitalistycznego”. Bogaci mieszczenie jednakże, zupełnie wówczas nieświadomi odpowiedzialności za zagładę kulturowego dziedzictwa, świadomi natomiast okazji do zrobienia interesu, na parterze swej kamienicy umieszczą obszerny magazyn mebli i „towarów norymberskich”, jak wówczas nazywano galanteryjne przedmioty domowego użytku, a trzy piętra wypuszczą w zyskowną, mieszkaniową dzierżawę.

Narodzą się warszawscy kamienicznicy.

Ale warszawskie mieszczaństwo nie ograniczy się w swej inwestorskiej działalności do przedsięwzięć wyłącznie dochodowych. Wspólnym sumptem najzamożniejszych obywateli i króla wystawiony zostanie w latach 1777—1781 ewangelicko-augsburski kościół, projektu Szymona Bogumiła Zuga. Budowlą tą, wznoszona pod

osobistym protektorem króla, do dziś jest chlubnym świadectwem stanisławowskiej architektury (monarcha sam dokonał wyboru projektu) i wymownym świadectwem oczywistej tolerancyjności władcy, który pierwszy w dziejach zezwolił na budowę „dysydenckich” świątyń (cztery lata wcześniej zbudowany został na Lesznie zbór kalwiński) w środku stolicy katolickiego państwa.

Budowano także na obrzeżach miasta. Podstołeczne okolice zaroily się od wytwornych letnich rezydencji, służących niedługiemu wypoczynkowi swych właścicieli, pragnących w urodziwym, pięknie zakomponowanym otoczeniu odetchnąć po trudach wielkomiejskiego życia. Jabłonna księcia prymasa Michała Poniatowskiego, Mokotów księżnej marszałkowej Lubomirskiej czy Bażantarnia (dziś — Natolin) księcia Augusta Czartoryskiego — ofiarowały przybywającym gościom tysiące wielkopanńskich letniskowych rozkoszy. Wdzięczne, białe pałacyki tonące w bujnej zieleni przepyszenie zaprojektowanych parków, wypełnionych dekoracyjnymi „drobiazgami”, posagami, pawilonami i romantycznymi „ruinami”, naśladowały niedościgniony wzór: królewskie Łazienki.



Kamienica Rösslera i Hurtiga na Krakowskim Przedmieściu, wg projektu S. B. Zuga

Łazienki w ostatnich latach XVIII w.



Ta najwspanialsza do dziś w Warszawie pamiątka tamtych czasów była ulubionym miejscem pobytu Stanisława Augusta, miejscem, gdzie czuł się najszczęśliwszy. Jego osobistym dziełem, przemyślanym, wypielegnowanym w najdrobniejszych szczegółach. Własnym — w po-myśle i zamiarze stworzenia „czegoś doskonałego”. Do Łazienek uciekał w najcięższych chwilach swego panowania, z cisy i urody tego azylu czerpiąc siły do pokonywania trudów sprawowania swych obowiązków.

Zachętą do ich budowy był pięknie na wiślanej skarpie usytuowany park, od czasów pierwszych właścicieli, książąt Mazowieckich, zwany Zwierzyńcem, i istniejący w nim łązebnny pawilon (od niego ustalila się nazwa miejsca), wzniesiony niegdyś przez marszałka wielkiego koronnego i poetę, Stanisława Herakliusza Lubomirskiego. Park ten stanowił fragment dóbr Ujazdów, które król kupił w roku 1764 od wnuka Stanisława — Kacpra (za sumę 1 100 000 złotych wypłaconą 13 stycznia 1766 roku), po to, by główną ujazdowską budowlę, Zamek Zygmunta III, przekształcić w królewską rezydencję. Ponieważ przebudowa ta, wiemy to już, szła opornie, król w roku 1774 zmienił swe rezydencyjne plany i zainteresował się ukrytym w zieleni zwierzyńskiego parku pawilonem Stanisława Herakliusza. Postanowił mieszkać tu latem.

Wszystkiego doglądał sam. Osobiście sformułował artystyczny i, rzec by można, ideowy program swojej rezydencji. Z pomocą oddanych mu architektów Dominika Merliniego i Jana Chrystiana Kamsetzera, malarzy Jana Bogumiła Plerscha i Marcella Bacciarellego oraz rzeźbiarzy: André Le Bruna, Franciszka Pincka i Jakuba Monaldiego, pracujących — co podkreśla Władysław Tatarkiewicz — wyraźnie pod „dyrektywą królewską”, wykreował Stanisław August wyjątkowy w wyrazie zespół pałacowo-parkowy, który przez lata był największą radością swego twórcy. Cieszyła oko harmonia natury i architektury, gustownie porozrzucanej wśród parkowej zieleni, a najbardziej — darowana możliwość „stworzenia czegoś doskonałego”. Łazienki miały dawać wytchnienie, a ta odrobina nie zawsze pogodnej zadumy nad życiem i światem, którą w zamierzeniu króla budzić musiała każda forma artystycznego wyrazu tutaj powoływana do istnienia, nie powinna mącić uczucia radości doznawanego na jej widok — estetycznego wzruszenia delikatnością linii i barwy, ogólnym pięknem.

Do tej stworzonej przez siebie krainy szczęścia tęsknił Stanisław August na dalekim, petersburskim wy-

gnaniu, skąd nigdy już, po upadku kraju, nie miał powrócić. Wpatrywał się w pogodne widoki na zawsze utraconych Łazienek, utrwalone w akwrelach Vogla...

Napis wyrity nad drzwiami głównej siedziby królewskiej — Pałacu na Wodzie, gdzie Stanisław August przebywał od wiosny do jesieni, głosił: „Ten dom nie-nawidzi smutku, kocha pokój, ofiarowuje kąpiel, zaleca życie na wsi i życzy sobie gości ludzi zacnych”. Za drzwiami witał owych „zacnych ludzi” posąg odpoczywającego boga wojny, Marsa. Naprzeciwko niego zaś inny posąg wyobrażał rozkwitającą Polskę. Pałacowemu salonowi patronował król Salomon, przedstawiony na dekorujących ściany malowidłach Bacciarellego. Ten izraelski władca, młodo objawwszy rządy, umocnił państwo, unikał wojen, zabiegał o przyjazne stosunki z sąsiedami, a dwór swój uczynił ośrodkiem kultury; zasłynął także jako gorliwy budowniczy, wznoszący pałace. Z imieniem mądrego króla Salomona łączy się złoty wiek biblijnej historii państwa Izrael. Czytelność wyboru takiego patrona dla reprezentacyjnej sali zebrań towarzyskich wydaje się przejrzysta...

„Na pożytek świata postawione i za wzór” postacie czterech królów Polski: Kazimierza Wielkiego, Zygmunta Starego, Stefana Batorego i Jana III, umieszczone w Rotundzie Pałacu, są hołdem gospodarza, składanym jego wielkim na tronie Polski poprzednikom. Ich chlubne cnoty wyobrażały cztery malowidła pędzla Bacciarellego: Mars symbolizował męstwo, Minerva — mądrość, Temida — sprawiedliwość i Clementia — łaskawość.

Dawny łązebnny pawilon Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, zgodnie z wolą królewskiego właściciela zmieniający swój wygląd zewnętrzny i wewnętrzny, przechodził metamorfozę, która — zdaniem wspomnianego tu już Władysława Tatarkiewicza — miała przełomowe znaczenie dla architektury całej Polski. Wykreowany przez Stanisława Augusta odrębny styl architektoniczny, którego najdoskonalszą egemplifikacją był właśnie Pałac na Wodzie, bazując na powszechnie już wtedy w Europie panującym, ale przez króla-mecenasa przetworzonym klasycyzmie, zyskał miano „stylu stanisławowskiego”. Pod tą nazwą zdobył popularność, niezależnie od opinii specjalistów, podważających czasem jego istotę, wartości i prawo do takiego „terminologicznego honoru”. Owo nieskrępowane, osobiście „stanisławowskie” gospodarowanie motywami architektonicznymi, te charakterystyczne, a z upodobaniem przez króla stosowane kolumnowe portyki, pilastry i balustrady, ta monumentalność, choć

klasykzna „z urodzenia” — wprost spod królewskiej ręki wybiegały, zdaniem Tatariewiczza, ku mającemu nadejść stylowi cesarstwa. I podobały się, zyskując licznych naśladowców. Uważany dziś powszechnie za „czysto polski”, ganek z kolumnkami, zdobiący nawet i obecnie stawiane „dworki” — zaczął swą ogólnokrajową karierę od... Łazienek. Ponadczasowość i olbrzymi zasięg tego królewskiego wzoru potwierdził Tatariewicz: „Przedtem nie było ich w Polsce, od tej daty, w ciągu kilku pokoleń tysiące portyków i ganków wyrosło u wejścia pałaców, dworów i dworków”. W architekturze zresztą, której w swym mecenasowaniu Stanisław August poświęcał może — obok malarstwa — najwięcej troski, powstanie chyba najwięcej dowodów upowszechnienia jego stylu i inspiracji. Przykład dworu i moda na dworskich architektów sprawiła, że i w Warszawie, i na prowincji wyrosną liczne budowle, pozwalające prześledzić całą ewolucję gustów architektonicznych samego króla, jak i jego epoki. Od baroku, do którego pierwszy z królewskich architektów, saskiej jeszcze proveniencji — Jakub Fontana wprowadził klasycyzujące elementy, przez swoisty monumentalizm Włocha Merliniego, chętnie wcielającego w życie idee swego rodaka — Andrei Palladia, po surową i czystą linię klasycyzną w dziełach architektonicznej „młodzieży” już rodzimego chowu — Jakuba Kubickiego, Piotra Aignera czy Stanisława Zawadzkiego. Wystarczająco wiele dzieł tych mistrzów (i ich kolegów) dochowało się do naszych czasów, by dziś jeszcze patrząc na Rogalin, Walewice, Królikarnię czy Siedlce można się było przekonać o olbrzymim zasięgu i ideowej sile dworskich inspiracji i mód tamtej doby.

Ale powróćmy do Łazienek.

Niezależnie od rozbudowy pałacu, powstawały w otaczającym parku budowle, których piękno architektury i wewnętrznego wystroju pogłębiało dodatkowo urok tego miejsca. Biały Domek niczym ozdobne puzzle; Pałacyk Myślewicki darowany księciu Józefowi Poniatowskiemu; antyczny Teatr na Wyspie, wzorowany na oryginale z odkopywanego wówczas z popiołów lawy Herkulanum — z włączonymi do dekoracji sceny naturalnie rosnącymi drzewami i ustawionymi w amfiteatrze pomnikami najślawniejszych dramatopisarzy, wśród nich dwu Polaków — Trembeckiego i Niemcewicza, którym król hołd ten składał jeszcze za ich życia; łazienkowskie kanały i stawy otoczone zielenią, altanki, mostki, nawet chińskie domki dla łabędzi, budziły najwyższy zachwyt spacerujących warszawiaków, którzy mieli tu zawsze wstęp wolny.

Łazienki zresztą były miejscem wcale częstych imprez, które dziś moglibyśmy nawet nazwać masowymi. Organizował je król i dwór, z myślą o oddziaływaniu na szeroką publiczność. Największą sławę zyskał tzw. karuzel ku czci Jana III Sobieskiego, zorganizowany we wrześniu 1788 roku, przy okazji odsłonięcia w Łazienkach pomnika zwycięskiego króla, w sto piątą rocznicę wiktoria wiedeńskiej. Uroczystość ta, sławiąca imię szczególnie przez Stanisława Augusta ulubionego bohatera dziejów, zaprojektowana została z patriotycznym zamy-

słem pobudzenia narodowej dumy i ducha bojowego Polaków. Zgromadziła w jesiennym parku prawie „całą Warszawę”, dla której przygotowano wspaniałe iluminacje, patriotyczne śpiewy, balet „heroiczny”, a nawet „średniowieczny” turniej rycerski z udziałem elewów Korpusu Kadetów. Podniosła impreza była swoistą akcją propagandową na rzecz rozważanego przez króla sojuszu z Rosją w jej zmaganiach z Turcją, i ewentualnej polskiej pomocy wojskowej, w zamian za którą Stanisław August wyjednać chciał u Katarzyny II ustępstwa na rzecz polskich reform, a przede wszystkim zgodę na zwiększenie liczebności wojska. Niechętni idei wojny rodacy oparli się „czarom” królewskiej propagandy. Wtedy to właśnie obok sporej liczby anonimowych i nieanonimowych panegiryków sławiących światłego i mądrego króla Stanisława, korzystnie przyrównywanego do jego wielkiego poprzednika — Jana, pojawił się najzjadliwszy może ze wszystkich antystanisławowskich paszkwili, jakich nie mało podczas panowania ostatniego władcy Rzeczypospolitej stworzono. Krótki wierszyk *Na króla* sporządzony został ręką nieznanego, ale na pewno zacieklego wroga:

*Ten, co kraj rozdawając, w hańbę naród wprawił,
Janowi, co go bronił, statuetkę postawił;
Sto tysięcy na pomnik! Ja bym dwakroćłożył,
Gdyby Staś był skamieniał, a Jan Trzeci ożył!*

Pozostawmy jednak na razie ten przykry incydent bez komentarza, bo to nie koniec łazienkowskich uroczystości i wspaniałości.

Dla uświetnienia tej samej rocznicy otworzył tu swe podwoje stały dworski teatr, umieszczony w budynku Wielkiej Oranżerii, dziś znanej jako Stara Pomarańczarnia. To świetne dzieło królewskiego budowniczego Merliniego doskonale zachowało się do naszych czasów. Z kunsztownym wystrojem widowni, z rzeźbami Le Bruna, Monaldiego i Staggiiego, z malowidłami Plerscha wyobrażającymi Apolla (boga sztuki i nauki, przewodnika muz, których przybytkiem w zamierzeniu Stanisława Augusta były całe Łazienki), dekorowane wizerunkami ulubionych przez króla twórców dramatów: Sofoklesa, Szekspira, Moliera i Racine’a — było najdoskonalszym wcieleniem artystycznych gustów gospodarza. „Szczęśliwe zespolenie sztuki rzymskiej z francuską, takie samo jakie istniało w latach Ludwika XIV, daje temu teatrowi uderzający rys wielkości i bogactwa” — notował w zachwycie gość inauguracyjnej premiery, Francuz *abbé Renaud*. To wysmakowane wnętrze służyć miało rozrywkom dworu, króla i jego gości. Jednakże w okresie Sejmu Czteroletniego, podczas remontu stołecznego teatru publicznego (który w 1779 roku otrzymał własną stałą siedzibę, zbudowaną wszakże zbyt pośpiesznie), król udostępnił teatr trupie znakomitego reżysera i aktora Wojciecha Bogusławskiego. Był to już rok 1791 i Warszawa, w tym momencie zwłaszcza, nie mogła obejść się bez publicznych przedstawień teatralnych. Scena Narodowa z pełnym oddaniem włączyła się w nurt wydarzeń politycznych.

Na narodowej scenie

Uruchomiony ponownie w 1774 roku po siedmioletniej przerwie, teatr stołeczny pod rządami nowego organizatora — wojewody gnieźnieńskiego Augusta Sułkowskiego — wyraźnie zbacał w kierunku zyskoadajnego przedsięwzięcia, przyciągającego klientów głównie dozwolonym tu hazardem. Skończyło się to po dwóch latach odebraniem przywileju zbyt zachłannemu wojewodzie, po którym pozostała wszakże wcale niezła nowo skompletowana trupa aktorska, z Agnieszką i Tomaszem Truskolaskimi i Kazimierzem Owsieńskim, którzy na trwałe zwiążą się z tą sceną. Książę Adam Kazimierz Czartoryski nadal chciał otaczać ją swym zaszczytnym protektorem, więcej nawet, zaczął wprowadzać do jej repertuaru komedie własnego autorstwa. Dyrektorzy polskiej sceny (francuska i włoska — także reaktywowane — żyły odrębnym życiem) zmieniać się będą jeszcze kilkakrotnie, niezmienna wszakże pozostanie nowa tendencja repertuarowa: poszukiwanie sztuk oryginalnych, mocniej osadzonych w bliskich każdemu, krajowych realiach, i coraz ambitniejszych. Będą to nadal głównie komedie, najbardziej przez publiczność lubiane, ale na przykład 11 lipca 1778 roku wystawiona tu zostanie pierwsza rodzima opera — *Nęcza uszczęśliwiona*, na motywach „komedyjki do śpiewania” Franciszka Bohomolca, z muzyką Macieja Kamińskiego. Przeróbka była dziełem młodego, obiecującego aktora i śpiewaka — Wojciecha Bogusławskiego, świeżo do polskiego teatru zaangażowanego, a w przyszłości mającego znacząco wpłynąć na jego losy.

Wprowadzony do własnej siedziby na placu Krasieńskich, vis-à-vis Pałacu Rzeczypospolitej, Teatr Narodowy dawać będzie premierę za premierą. Jeszcze w tym samym 1779 roku Warszawa zobaczy pięć nowych przedstawień operowych, w tym trzy polskie, a także komedię księcia Czartoryskiego *Kawa*, dwie komedie Ignacego Krasickiego oraz *Syna marnotrawnego* Stanisława Trembeckiego — pierwszą komedię wierszem, będącą udaną przeróbką Wolterowskiego pierwowzoru. Wszystko to w cztery miesiące! Ta niemal „taśmowa” produkcja była odpowiedzią na życzenie publiczności warszawskiej, która upodobała sobie tę rozrywkę tak bardzo, że często widownia nowego gmachu, choć dla tysiąca osób przewidziana, nie mogła pomieścić wszystkich chętnych, zresztą na ogół tych samych co wieczora widzów. Ci teatromani wyrabiali się przy tym wyraźnie. Edukowali... Zbyt umoralniające, prościutkie sztuczki, choćby samego klasyka, księdza Bohomolca — zaczęły z czasem okrutnie nudzić tę „opatrzoną” widownię. Oczekiwano podniesienia poziomu, wysublimowania treści. Podwyższano autorem poprzeczkę.

Zaspokoił te potrzeby utalentowany komediopisarz Franciszek Zabłocki. Lata osiemdziesiąte staną się pas-

mem jego niewątpliwych sukcesów. W przypadku *Fircyka w zalotach* czy *Sarmatyzmu* — aktualnych do dziś. Ujrzy też wtedy Scena Narodowa debiut komediowy wybitnego prawnika, autora głośnych *Listów patriotycznych do Jaśnie Wielmożnego eks-kanclerza Zamoyskiego, prawną układającego, pisanych*, a w przyszłości — *Mazurka Dąbrowskiego*. Komedia Józefa Wybickiego *Kulig, czyli staropolska zabawa* będzie życzliwie przyjęta przez publiczność.

W dobie Sejmu Czteroletniego Scenę Narodową zdominuje życie polityczne. Dopilnuje tego Wojciech Bogusławski, którego zmienne dyrektorskie losy oddalać będą co jakiś czas od Warszawy. Na wyraźne jednak życzenie Stanisława Augusta mistrz przyzwany zostanie do stolicy z początkiem 1790 roku i właśnie narodowej scenie poświęci cztery nadchodzące najgorętsze lata. 15 stycznia 1791 roku teatr poruszy stolicę premierą pierwszej całkowicie oryginalnej polskiej komedii o aktualnej politycznej wymowie. Będzie nią *Powrót posła* Juliana Ursyna Niemcewicza, dedykowany marszałkowi sejmowemu Stanisławowi Małachowskiemu, świeżo — podczas burzliwych obrad przełomowego parlamentu — napisany. Ta sztuka, pozornie osnuta wokół tradycyjnego wątku miłosnych perypetii dwojga młodych — niosła ważne polityczne treści. Konfrontowała program reform państwowych sejmowego stronnictwa patriotycznego, głoszony tu przez tytułowego bohatera, Walerego, i jego rozumnego ojca, Podkomorzego — z opozycyjnymi poglądami zwolennika starszylacheckich tradycji i dawnych porządków (wciąż nie odwołane: wolna elekcja i *liberum veto*), starosty Gadulskiego i jego sędziowiczęcej żony. Warszawa hurmem biegła na tę zabawną, a i pouczającą komedię, i za nic sobie miała wściekłość posła Suchorzewskiego, który dopatrzawszy się w niej obrazy sejmujących stanów — w zajadłych interpelacjach nieustępliwie żądał pociągnięcia autora do odpowiedzialności... Król tymczasem pomyślał o... uhonorowaniu twórcy i za życia wystawił mu pomnik. W dwa lata później kamienna postać Juliana Ursyna wraz z takąż postacią Stanisława Trembeckiego i czternastoma innymi, wyobrażającymi najślawniejszych dramaturgów wszech czasów, ozdobi — jak już wspomniano — Amfiteatr na Wyspie w Łazienkach.

Rwący nurt życia publicznego powstrzymać się wszakże nie dał, bieżące więc wydarzenia polityczne będą puentowane kolejnymi wydarzeniami teatralnymi. *Dowodem wdzięczności narodu* Wojciecha Bogusławskiego czcić będzie Warszawa rocznicę elekcji króla, który dał swemu narodowi Konstytucję. *Szlachcic mieszczańinem* Józefa Wybickiego chwalić będzie kwietniowe ustawowe zrównanie dwu stanów, zaś dramat *Kazimierz Wielki* Juliana Ursyna Niemcewicza — sławić rocznicę Konstytucji majowej, osobę monarchy i dzieło Sejmu Wielkiego,

bo tych treści słusznie dopatrywano się w tekście, w sposób aluzyjny przedstawiającym odległe czasy ostatniego Piasta i wywołującym patriotyczną euforię.

W połowie 1792 roku Targowica zdławi te nastroje. Katastrofa drugiego rozbioru zwróci uwagę Warszawy ku patriotycznym spiskom, przygotowującym wyzwolenie i powstanie. Bohaterami ulicy staną się radykalni przywódcy: wielki intelektualista Hugo Kołłątaj i szewc warszawski Jan Kiliński. W szczycie rewolucyjnego września, 1 marca 1794 roku, Teatr Narodowy wystawi śpiewogrę Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego *Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale*. Rodzima w treści, porywała akcją, w której lud był bohaterem i przeżywał zwykłe, swojskie właśnie (spór o piękną młynarzównę, Krakowiankę Basię, mającą iść za mąż wbrew swej woli za „obcego” — Górala), kończące się ugodą, zawsze pozytywną i możliwą „między swoimi”. Taka wymowa gwarantowała entuzjazm publiczności, a w mig rozumiane aluzyjne treści śpiewek podgrzewały atmosferę na widowni. W dzień po premierze śpiewała je cała Warszawa i nie pomogło nic, że po trzech przedstawieniach carski ambasador, arogancki Józef Otto Igelström, zdjął sztukę z afisza. „Operetka ta miała w sobie arie zupełnie do okoliczności kraju stosowne, a bardzo zapalające — wspominał premierę *Krakowiaków i Górali* Franciszek Karpiński. — Była początkiem i rozgrzała umysły do przyszłej rewolucji, była osnową rozmów po domach i czyniono sobie nadzieję szczęścia, które zdawała się obiecywać ta sztuka teatralna”. Arie *Cudu mniemanego* głosiły zwykłe prawdy. Te najprostsze:

*Im srożej los nas nęka,
Tym mężniej stać mu trzeba,
Kto podłe przed nim kłęką,
Ten niewart względów nieba.*



Aktor Tomasz Truszkowski

W kilka tygodni później teatr zamknięto. Aktorzy porzucili scenę, literaci — pióra, kadeci — szkolne ławki, a rzemieślnicy — warsztaty. Pospieszyli do powstania, które w Warszawie wspierać miało wysiłki oddziałów Kościuszki, od 24 marca walczących w głębi kraju. Broniła się Warszawa jeszcze i po Maciejowicach, póki Suworow szturmem Pragi nie przesądził o losie miasta.

Czasy, które nadchodziły, niosły stolicy i krajowi dołę bolesną, gorzką. Prawie półtorawiekowe rozstanie z suwerennym bytem państwowym i katastrofalne tego skutki. Z tego zniewolenia Warszawa próbować będzie oswobadzać się wielokrotnie, przy każdej iskieierce nadziei. Podąży za Napoleonem, uwierzy w kongresowe Królestwo. Kiedy w 1830 roku w powstańczym zrywie pociągnie za sobą kraj, mijać będzie ledwie piętnaście miesięcy od dnia pogrzebu na Powązkach ojca teatru polskiego, Wojciecha Bogusławskiego, któremu niegdyś Stanisław August w uznaniu zasług dla narodowej sprawy wystawił przed domem honorową wartę. Wtedy jeszcze miasto pamiętać będzie dobrze jego śpiewogrę, w której kazał swej bohaterce — młynarzównie Basi zmuszanej do małżeństwa — wyśpiewać prostą prawdę, oznajmijającą ludzką niezgodę na życie w niewoli. Niezgodę „trwalszą niż spiż”:

*Gdzie się w niewoli żyje,
Nie mas tam swej lubości;
Pies na powrozie wyje,
Każdy pragnie wolności.*



Wojciech Bogusławski (1757—1829), nazywany ojcem sceny polskiej

Był postacią tragiczną

Praca niniejsza napisana została ze świadomością stereotypów ocen jej bohatera, funkcjonujących w opinii publicznej i w środowiskach opiniotwórczych przez ponad dwa wieki. Stanisław August był i pozostał jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci naszej historii. Owszem, ma on swych zwolenników, a nawet admiratorów. Niektórzy z nich głoszą, że zachowanie narodowej świadomości i ocalenie polskiej kultury w okresie półtorawiekowej niedoli rozbiorów jest zasługą poczyniłą Stanisława Augusta. Przede wszystkim jednak ma on przeciwników, a zwłaszcza wrogów. W oderwaniu od kontekstów epoki i sytuacji kraju, abstrahując od nikłych możliwości skutecznego wówczas działania na rzecz niepodległości, kształtują oni wizerunek króla jako serwilisty uległego wobec carycy i jej reprezentantów w Polsce. Utrzymują, że w ostatnich latach panowania przyczynił się on do upadku państwa, nie mając ani odwagi, ani godności, by stawić opór posunięciom nieprzyjaciela, zmierzającym do ujarznienia Polski, doprowadzenia do utraty przez nią suwerenności.

Tak zbudowany stereotyp ostatniego króla Polski wykazał szczególną żywotność. Współgra z nim uparcie odnawiający się w obiegowej mitologii przekaz o władcy leniwym, zniewieściałym, folgującym luksusowym uciechom. Rozrzutnym i zadłużonym. O orędowniku cudzoziemszczyzny, który nad wagę spraw państwowych przedkładał przyjemność obcowania ze sztuką i artystami. Ci z przeciwników króla, którzy chcą wykazać się obiektywizmem, przyznają, że był on wykształconym i hojnym mecenasem sztuki, że zainicjował obiady czwartkowe, zbudował Łazienki, upiększył Warszawę. Ale to zdaje się w ich mniemaniu wyczerpywać repertuar dodatnich cech Stanisława Augusta. I tak oto mit mecenasa kultury funkcjonuje w cieniu dominującego stereotypu władcy zasługującego jednoznacznie na potępienie.

Obszar faktów i przedstawianych na ich podstawie argumentów, które przyczyniły się do utrwalenia niekorzystnego stereotypu króla, jest też terenem polemiki historyków penetrujących skrupulatnie źródła, dbających o poprawną interpretację dostępnych relacji z epoki. Ci wnikliwi znawcy czasów stanisławowskich doceniają determinujący wpływ wewnętrznych, a zwłaszcza zewnętrznych okoliczności na układ spraw polskich. Rozumieją złożony mechanizm gry politycznej, w jaką los wkiął tego monarchę. Gry wymykającej mu się z rąk, jako że dysponował on w niej coraz bardziej ograniczonym polem manewru. Historycy formułują swe sądy — z natury rzeczy — bardziej powściągliwie. Innym, przede wszystkim, językiem. Wyroki ferują raczej rzadko, choć ich prace nie są pozbawione określonej wymowy. W miarę upływu lat, i coraz lepszej znajomości epoki, zdają się mieć dla polityki króla wobec państw ościennych więcej zrozumienia. Wiele potrafią wytłumaczyć. Usprawiedliwiają rzadko. W gruncie rzeczy przekonują

ją — przekonanych. Nieprzekonani trzymają się mocno przy swoim.

Tego obszaru antykrólewskich argumentów ta praca nie dotyczy. Skupia się natomiast na innym obszarze, na którym rola króla zdaje się być pomniejszana bądź przemilczana, być może z braku zainteresowania nią. W każdym razie — mało eksponowana. Tymczasem sprawy tu przedstawione są dla okresu panowania Stanisława Augusta i schyłku I Rzeczypospolitej równie znamienne, co ważne, tyle że leżące niejako w innej płaszczyźnie. Mowa tu o kulturalno-cywilizacyjnym rozkwicie Polski w dobie stanisławowskiej, o jej drodze do nowoczesności i europejskości, także w gospodarce i administracji — a więc o zjawisku tym bardziej zdumiewającym, że dokonującym się na tle agonii niepodległego państwa.

Współtwórcą tego przełomu, czasem tylko inspiratorem, ale zawsze na pewno protektorem i rzecznikiem, prawdziwym protagonistą, był Stanisław August. Prezentując jego działania w sposób w miarę możliwości scalony, a zarazem przywołując tu i ówdzie historyczny kontekst, książka ta zbiera „prokrólewskie” argumenty w celu przywrócenia zachwianej równowagi w ocenie tej postaci. Przedstawia obraz człowieka, którego pożyteczna, organizująca, społecznikowska działalność daleko wykracza oza chlubny, ale nader zawężony stereotyp mecenasa kultury. Człowieka niepospolicie zatroskanego o los swego kraju, czynnego na zaskakująco wielu polach. Mającego własną wizję budowania pomyślności kraju, mimo, a może właśnie na skutek obaw, a później chyba i przeświadczenia o niepewnej przyszłości państwa, którą złowróżbne zwiastuny zdawały się zapowiadać.

Na taką szarą czy czarną godzinę król przygotowywał swój kraj i swój naród. Wiedział, że nie jest w stanie zapewnić niepodległości Polsce, ale wierzył, że potrafi ocalić narodową samodzielność, a więc wewnętrzną suwerenność. W chwili gdy wstępował na tron, nie miał złudzeń co do katastrofalnego zacofania państwa i co do nastrojów jego obywateli, nieświadomych zagrożeń lub zamykających na nie oczy, błogo pogrążonych w saskim odurzeniu. Z determinacją i odpowiedzialnością mandariusza Oświecenia podjął pilne zadanie zaprowadzenia szeroko zakrojonych reform wewnętrznych i przebudowy świadomości tradycjonalistycznie zorientowanych rodaków. Pomagali mu w tym dziele najświatlejsi, których na szczęście nie zbrakło, których on do tej pracy jednak i zachęcał.

Czuł się do tego dzieła zobowiązany. I powołany.

Przez trzy dziesięciolecia jego panowania w upadającej nieuchronnie Rzeczypospolitej działał się więcej dobrego, niż przez poprzednie półtora wieku. I tyle rzeczy po raz pierwszy — od drobnych po podstawowe. Były więc: piorunochrony, szczepienia ospy, publiczne źródła czystej, pitnej wody, emerytury dla pracowników królewskich i opieka lekarska, pierwsze „akcje kultural-



Stanisław August Poniatowski w 1797 r., portret E. Vigée Lebrun

ne”, czyli darmowe bilety do teatru dla dworskiej służby, i „akcje ochrony przyrody” — czyli królewskie prośby o oszczędzanie żubrów podczas polowań w Puszczy Białowieskiej. Jeszcze starania o polski port w Połędzie, z dostępem wolnym od grabieżczych cel pruskich (udaremnione przez rosyjskiego ambasadora), loty balonem, pierwsza polska fabryka czekolady i ustawa o mundurach obywatelskich, nakazująca reprezentantom różnych województw w stolicy ujednolicenie i uskromnienie dowolnie fantazyjnych i rozrzutnie bogatych ubiorów. To wszystko obok spraw najbardziej zasadniczych: mennicy i uregulowania gospodarki monetarnej, organizacji i unowocześniania wojska, nowych zasad podatkowych i reformy

prawa, kanałów i bitych gościńców przecinających błotne Polesie, Komisji Edukacji czy wreszcie Konstytucji 3 Maja.

Tak więc zbroił Stanisław August materię kraju i ducha narodu. Upewniał naród w jego tożsamości. Potęgował jego siłę wewnętrzną. Wzmacniał odporność.

Jako król i mąż stanu nie ustrzegł się w swym postępowaniu pomyłek i błędów. Co więcej, nie umiał zdobyć się na godne decyzje w obliczu upadku państwa, wówczas gdy uświadomił sobie, że na niepodległość Polski nie miał już wpływu. Dostało mu się przeto od współczesnych, a i od historii, solidnie. Zasłużenie i niezasłużenie.

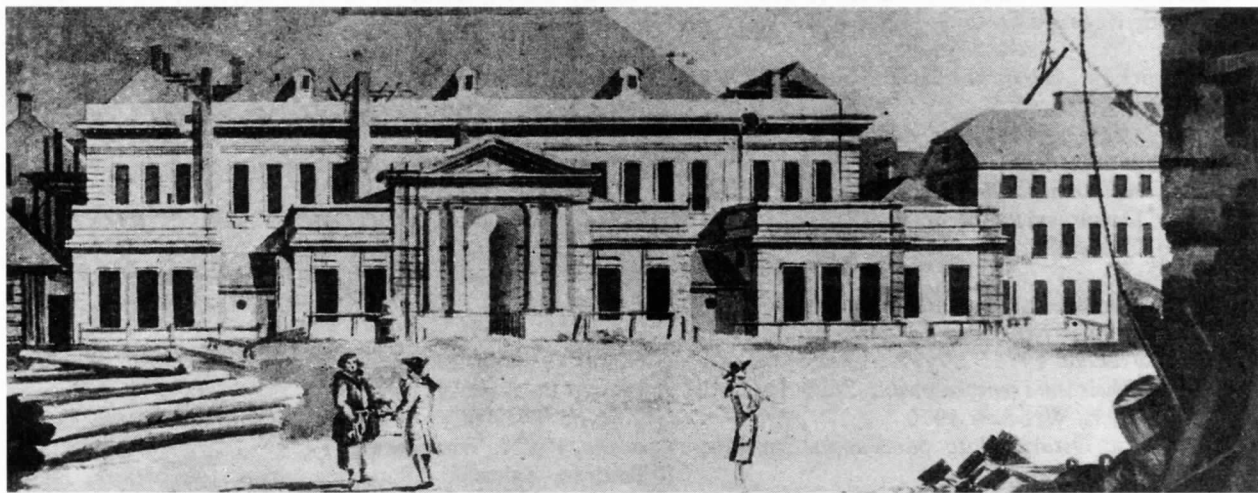
Z upływem swego panowania coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że doczesny odbiór jego posunięć nie może być jednoznaczny. Wierzył wszakże w sens swego dzieła i miał nadzieję, że w końcu, już po jego śmierci, zostanie ono uszanowane i uznane. Towarzyszyło mu jednak poczucie zawodu. Nawet w chwili największego triumfu: po ustanowieniu Konstytucji 3 maja, dzieła, które współtworzył, i za które w tamtej chwili naród go przecież wielbił, zwierzał się w liście przyjacielowi: „Jestem przeznaczony do wyrządzenia dobra mej Ojczyźnie, ale w czasie i sposobie [takim], że ktoś inny zbierze żniwo z mojego posiewu”. A przecież nie wiedział wtedy, że najgorsze było jeszcze przed nim: Grodno, Targowica, posłuszna abdykacja...

To „najgorsze” właśnie nie poddaje się naszemu zapomnieniu. Ale też zapomnieniu, a już na pewno bagatelizowaniu nie powinno poddawać się i to „najlepsze”, co robił. Dokonywane świadomie, z prawdziwie romantycznym rozmachem i pragmatyczną rozwałą.

Miała mu wystarczyć — pisał w tym samym liście — świadomość, że „jednak wyrządził dobro, które trwać będzie po nim”.

Osądźmy sprawiedliwie: dziedzictwo tego dobra trwa z pożytkiem — do dziś.

On pozostał postacią tragiczną. Narodowego rozgrzeszenia nie uzyskał.



Teatr Narodowy na placu Krasińskich w Warszawie. Fragment obrazu Z. Vogla

Warto przeczytać

Większość prac historycznych dotyczących okresu panowania króla Stanisława Augusta wskazała już Zofia Zielińska w wydanym w tej serii zeszycie III-41, zatytułowanym *Ostatnie lata pierwszej Rzeczypospolitej*. Tam też Czytelnik znajdzie obszerny wybór szczegółowych opracowań naukowych z zakresu politycznej historii lat 1764—1795. Tutaj więc przypomniemy tylko pozycje podstawowe oraz wskażemy publikacje związane bezpośrednio z tematyką tej książki. Przydatne zdają się zwłaszcza następujące prace:

Abyśmy o Ojczyźnie naszej radzili. Antologia publicystyki doby stanisławowskiej, Opracował Zbigniew Goliński, PIW, Warszawa 1984
Świat poprawiać zuchwałe rzemiosło. Antologia poezji polskiego Oświecenia, Opracowali: Teresa Kostkiewiczowa i Zbigniew Goliński, PIW, Warszawa 1981
Dzieje Warszawy, Pod redakcją Stefana Kieniewicza, Tom II: *Warszawa w latach 1526—1795*, Opracowanie zbiorowe, PWN, Warszawa 1984
Historia nauki polskiej, Tom I, Opracowanie zbiorowe, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1970
Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców, Opracował Wacław Zawadzki, PIW, Warszawa 1963
Sztuka Warszawy, Pod redakcją Mariusza Karpowicza, PWN, Warszawa 1986
Warszawa wieku Oświecenia, Wybór i opracowanie Jan Kott i Stanisław Lorentz, PIW, Warszawa 1954
Warszawa w wieku Oświecenia, Pod redakcją Andrzeja Zahorskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1986
Warszawa XVIII wieku, „Studia Warszawy”, t. 12, PWN, Warszawa 1972; t. 16, PWN, Warszawa 1973; t. 22, PWN, Warszawa 1975
Anna Berdecka, Irena Turnau, *Życie codzienne w Warszawie w okresie Oświecenia*, PIW, Warszawa 1969
Marek Borucki, *W kręgu króla Stanisława*, LSW, Warszawa 1984
Aleksander Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, KiW, Warszawa 1958
Jan Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, PIW, Warszawa 1960
Renata Dutkova, *Komisja Edukacji Narodowej*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973
Józef Andrzej Gierowski, *Historia Polski*, PWN, Warszawa 1986
Tadeusz Stefan Jaroszewski, *Architektura doby Oświecenia w Polsce. Nurty i odmiany*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1971
Roman Kaleta, *Oświeceni i sentymentalni*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1970
Walerian Kalinka, *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, Poznań 1868
Franciszek Karpiński, *Pamiętniki*, Warszawa 1898
Jędrzej Kitowicz, *Pamiętniki czyli Historia polska*, PIW, Warszawa 1971

Mieczysław Klimowicz, *Oświecenie*, PWN, Warszawa 1977
Mieczysław Klimowicz, *Początki teatru stanisławowskiego 1765—1773*, PIW, Warszawa 1965
Marek Kwiatkowski, *Stanisław August, król — architekt*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Warszawa 1983
Alfred Lauterbach, *Styl Stanisława Augusta*, Warszawa 1918
Jerzy Lilejko, *Zamek Królewski w Warszawie*, PWN, Warszawa 1980
Zdzisław Libera, *Życie literackie w Warszawie w czasach Stanisława Augusta*, PIW, Warszawa 1971
Alfred Lauterbach, *Styl Stanisława Augusta*, Warszawa 1918
Tadeusz Łepkowski, *Polska — narodziny nowoczesnego narodu 1764—1870*, PWN, Warszawa 1967
Stanisław Mackiewicz, *Stanisław August*, Pax, Warszawa 1956
Antoni Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1963
Tadeusz Mańkowski, *Mecenat artystyczny Stanisława Augusta*, Warszawa 1976
Jerzy Michalski, *Próba portretu*, [w] „Wiek Oświecenia”, nr 2, 1978
Kamilla Mrozowska, *Komisja Edukacji Narodowej 1773—1794*, Kraków 1973
Kamilla Mrozowska, *Szkoła Rycerska Stanisława Augusta Poniatowskiego (1765—1794)*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1961
Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, PIW, Warszawa 1957
Jan Duklan Ochocki, *Pamiętniki*, Wilno 1857
Pamiętniki króla Stanisława Augusta, Tom I, Warszawa 1915
Emanuel Rostworowski, *Legends i fakty XVIII wieku*, Warszawa 1963
Emanuel Rostworowski, *Ostatni król Rzeczypospolitej. Geneza i upadek Konstytucji 3 maja*, PIW, Warszawa 1966
Andrzej Rottermund, *Zamek Warszawski w epoce Oświecenia*, Zamek Królewski, Warszawa 1989
Władysław Smoleński, *Przezwrot umysłowy w Polsce wieku XVIII*, PIW, Warszawa 1979
Franciszek M. Sobieszczański, *Warszawa. Wybór publicystyki*, PIW, Warszawa 1967
Władysław Tatarkiewicz, *Łazienki Warszawskie*, Arkady, Warszawa 1957
Władysław Tatarkiewicz, *Rządy artystyczne Stanisława Augusta*, Warszawa 1919
Władysław Tatarkiewicz, *O sztuce polskiej XVII i XVIII wieku*, PWN, Warszawa 1966
Irena Turowska-Barowa, *„Zabawy Przyjemne y Pożyteczne” (1770—1777). Ze studiów nad literaturą stanisławowską*, Kraków 1933
Stanisław Wasylewski, *Na dworze króla Stasia*, Wydawnictwo Polskie, 1921
Karyna Wierzbicka-Michalska, *Teatr w Polsce w XVIII wieku*, PWN, Warszawa 1977
Andrzej Zahorski, *Stanisław August — polityk*, KiW, Warszawa 1959
Andrzej Zahorski, *Warszawa za Sasów i za Stanisława Augusta*, PIW, Warszawa 1970

Serię wydawniczą *Dzieje narodu i państwa polskiego* redagują dwa zespoły: krakowski i warszawski Krajowej Agencji Wydawniczej. Każdy z woluminów posiada własny tytuł i numer i omawia odrębny okres dziejów Polski, bądź temat ujęty monograficznie, przy zachowaniu przyjętej w historii Polski chronologii wydarzeń.

Cena zł 4,60
w subskrypcji zł 3,90

II-38

